

OSKAR

kot, który przeczuwa śmierć



David Dosa

Świat Książki

David Dosa

OSKAR

Kot, który przeczuwa śmierć

A stylized, handwritten signature or logo in black ink, consisting of three interconnected, flowing letters that resemble 'MKS'.

Rodzinom i opiekunom pacjentów z demencją na całym świecie

Od autora

Postacie pacjentów, ich historie oraz doświadczenia opiekunów zajmujących się osobami w końcowej fazie demencji oparte są na moich własnych obserwacjach. Jestem wysoce zobowiązany wielu ludziom za podzielenie się ze mną swoimi historiami, w tym personelowi Steere House oraz rodzinom osób, którym przy śmierci towarzyszył kot Oskar.

Sądzę, że czytelnicy będą tak samo poruszeni tymi relacjami jak ja, gdy usłyszałem je po raz pierwszy. Starłem się przytoczyć opowieści na tyle wiernie, na ile to było możliwe. Przepraszam za wszelkie błędy rzeczowe, jakie popełniłem przy odtwarzaniu owych historii i przepisywaniu wywiadów. Jeśli pojawiły się pomyłki, nie były zamierzone.

Na potrzeby narracji dokonałem kilku zmian w stosunku do rzeczywistych wydarzeń. Ponadto w celu zachowania anonimowości pacjentów, będących w końcowym stadium demencji, zmieniłem niektóre imiona, nazwiska oraz informacje dotyczące ich przeszłości. Co więcej, niektóre postacie, występujące w książce, to bohaterowie fikcyjni, ich dzieje są zlepkiem - historii różnych osób. Niemniej jednak ich doświadczenia opisane w tej książce zostały oparte na przeżyciach prawdziwych pacjentów i ich opiekunów, z którymi miałem szczęście obcować przez lata.

Chociaż na początku byłem nastawiony sceptycznie do całej sytuacji, szczególnie rola Oskara wydaje się równie prawdziwa, co tajemnicza, a kot nadal regularnie pełni straż przy umierających pacjentach, to mam nadzieję, że czytelnicy pozwolą mi nie skrępowanie kontynuować "niezwykłą misję" tak długo, jak będzie chciał i wybaczą błędy, jakie popełnia od czasu do czasu. W końcu żaden człowiek (czy kot) nie jest doskonały.

Rozdział pierwszy

Zwierzęta to wymarzeni przyjaciele nie kwestionują, nie krytykują.

George Elliot

Jeśli kochasz swój zawód, twoje miejsce pracy może wydawać ci się piękne bez względu na to, jakie ono jest w ocenie reszty świata. Nafciarz patrzy na płaską, zakurzoną równinę i widzi w niej potencjał nienaruszonych złóż ropy. Strażak dostrzega płonący budynek i wbiega do niego z adrenaliną buzującą w żyłach, chcąc służyć pomocą. Miłość kierowcy ciężarówki to szeroka droga, czas, kiedy przebywa sam ze swoimi myślami oraz podróż i miejsce przeznaczenia.

Jestem geriatrą i pracuję na drugim piętrze Ośrodka Pielęgnacyjno-Opiekuńczego Steere House w centrum Providence. Ludzie mówią, że uważają moją pracę za przygnębiającą, ja jednak patrzę na to inaczej. Obcując z moimi pacjentami i ich rodzinami, widzę często wspaniałe, niezamarnowane przecież życie, obserwuję wiele oddania i miłości. Nie zrezygnowałbym z tego za nic w świecie. Oczywiście, czasami opiekuję się ludźmi w najtrudniejszych dla nich chwilach, ale mam również szczęście być z nimi w ich najlepszych momentach.

Moi rodzice, obydwój lekarze, myśleli, że oszalałem, decydując się na geriatrię. Naszą rodzinną specjalnością była zawsze pediatria - moja mama i wujek są pediatrami, był nim również mój dziadek. Nie rozumieli mojego wyboru, uważali, że popełniam błąd. Dlaczego koniec życia, a nie początek?

- Czyż dzieci nie są o wiele bardziej urocze? - pytała moja mama.

Zastanawiałem się, czy nie wybrać pediatrii. Kocham dzieci i niemowlęta, sam mam dwójkę maluchów. Dla mnie różnica była w historiach. Dzieci to puste strony, obrazy czekające na namalowanie. Ich życie dopiero się zaczyna, czujemy smak odnowy i przestrzeń nieskończonych możliwości.

Z kolei moi starsi pacjenci są jak wspaniałe obrazy - jakież oni mają historie do opowiedzenia! Gdy mam dobry dzień, potrafię na nich spojrzeć i sięgnąć wzrokiem daleko wstecz, aż do ich dzieciństwa. Wyobrażam sobie ich rodziców (którzy już dawno odeszli), miejsca, w których byli, rzeczy, które widzieli. To jak patrzenie przez drugi koniec teleskopu z powrotem ku początkowi.

Dlatego w moich oczach Steere House wygląda pięknie - właśnie z tego powodu. Poza

tym to całkiem miłe miejsce jak na zakład opieki. W słoneczne dni, przez duże, wysokie od podłogi do sufitu okna, światło zalewa każde piętro, a przez większość czasu z holu dobiega fortepianowa muzyka. I jest jeszcze Oskar... Chciałbym powiedzieć, że jako pierwszy zauważyłem osobliwe zdolności tego kota, ale to nieprawda. Szczęśliwie znaleźli się w domu opieki inni, którzy byli o wiele bardziej spostrzegawczy.

Tego letniego poranka 2006 roku oddział był pusty, jeśli nie liczyć pary oczu przyglądającej mi się z blatu dyżurki pielęgniarek. Niczym strażnik oceniający gościa wkraczającego na jego teren, badawczym spojrzeniem próbowałem ustalić, czy nie stanowiłem zagrożenia.

- Cześć, Maja. Jak się masz?

Śliczna biała kotka nie poruszyła się, aby mnie przywitać; pochłonięta była lizaniem swoich przednich łapek.

- Gdzie są wszyscy, Maja?

Nie licząc kota, drugie piętro z korytarzami o posadzce wyłożonej twardym drewnem sprawiało wrażenie pustego; jedynym świadectwem życia było kilka przypadkowo ustawionych chodzików, zaparkowanych przy drzwiach sal pacjentów. Pozbawione "pasażerów", te czworoboczne chodziki wydawały się dziwne i niezgrabne, jak pomysłowe dziecięce konstrukcje z klocków i drutu, opuszczone po zabawie; Na dalekim końcu wschodniego korytarza poranne światło sączyło się przez duże widokowe okno, rozjaśniając szeroki pas holu.

Szukałem Mary Mirandy, pielęgniarki z dziennej zmiany. Mary jest skarbnicą wiedzy na oddziale - zna nie tylko historię każdego pacjenta, ale również historię Steere

House. Chociaż formalnie nie ma kierowniczego stanowiska, dla lekarzy i personelu jest jasne, że w praktyce to ona zarządza drugim piętrem. Matkuje wszystkim swoim podopiecznym i zażarcie ich broni, gdy wie, że tego potrzebują. Nic na oddziale nie dzieje się bez wiedzy Mary. Nawet przełożeni czasem jej ustępowali.

Drzwi do pokoi rezydentów o tej wczesnej porze były zazwyczaj zamknięte i pokój 322, w którym Mary zajmowała się poranną toaletą swojej pacjentki, nie stanowił wyjątku.

Zapukałem i usłyszałem stłumiony głos nakazujący, żebym poczekał. Stojąc na korytarzu, przyglądałem się wystawce rodzinnych zdjęć na korkowej tablicy przymocowanej do ściany przed pokojem Brendy Smith.

Dane pani Smith - GERTRUDE BRENDA SMITH - i data urodzenia, 21 STYCZNIA 1918, zostały odwzorowane wielkimi literami z szablonu na prostokątnym kawałku papieru u góry tablicy. Każda z liter była wycięta z brystolu i skrupulatnie udekorowana paciorkami i

innymi błyskotkami - bez wątpienia pełna poświęcenia praca któregoś z wnuków.

Pod grafiką umieszczone zostało czarnobiałe zdjęcie pięknej młodej kobiety. Ciemna szminka kontrastowała z jej bladą twarzą. Kobieta ubrana była w letni kostium, modny w latach czterdziestych. Szła pod ramię z przystojnym mężczyzną w mundurze marynarki wojennej. Na jej drugim ramieniu wisiała parasolka. Wyobraziłem sobie ten spacer w parku, w ciepłe słoneczne popołudnie tuż po wojnie.

Przyglądałem się ich twarzom. Sprawiali wrażenie szczęśliwych zakochanych.

Niżej ujrzałem drugą fotografię tej samej pary, zrobioną kilka lat później, tym razem z dwójką małych dzieci. Ta była kolorowa, wyblakłe lekko wspomnienie minionych dni.

Włosy mężczyzny trochę się przerzedziły, a u niej pojawiło się kilka pasemek siwizny. To zdjęcie stanowiło świadectwo innego rodzaju. Nie ukazywało już młodych kochanków, lecz dumnych rodziców, myślących o przyszłości dla dzieci lepszej niż ich własne życie.

Ostatnia fotografia w kolekcji przedstawiała panią Smith w zaawansowanym wieku, starannie ubraną. Srebrne włosy zostały schludnie zebrane do tyłu pod gustownym kapeluszem. Jej mąż już odszedł, a ona stała w otoczeniu wielopokoleniowej rodziny. W tle wisiał transparent głoszący "Szczęśliwych osiemdziesiątych urodzin, Babciu". Od tej chwili minęło osiem lat.

Zapukałem ponownie i wszedłem do pokoju, gdzie Mary pielęgnowała swoją pacjentkę. Pełna energii, dobrze ubrana babcia z urodzinowego zdjęcia zniknęła. Jej miejsce zajęła mniejsza kopia tamtej kobiety. Zanim zacząłem pracować z pacjentami w późnym stadium Alzheimerera, wyrażenie "cień dawnej siebie" było dla mnie tylko pustym sloganem. Takie właśnie cienie ujrzałem tutaj - stało się nimi wielu rezydentów, także pani Smith. Jednak pod tym cieniem wciąż widziałem istotę, człowieka, jakim kiedyś była, nawet jeśli ona zdawała się mnie nie dostrzegać.

Mary siedziała przy łóżku, pochylając się nad pacjentką.

- Jestem ci potrzebna? - zapytała trochę zirytowana moim wtargnięciem.

- Tak - odpowiedziałem. - Muszę wiedzieć, do kogo mam dziś zajrzeć.

- Pozwól mi skończyć i spotkamy się w recepcji.

Gdy odwracałem się, żeby odejść, wyprostowana spojrzała na mnie.

- Albo nie, David. Będę tu zajęta jeszcze przez jakiś czas.

Może byś wobec tego poszedł i zerknął na nogę Saula? Jest czerwona i zaogniona. Myślę, że to infekcja skóry.

- Niech ci będzie. Pójdę go obejrzeć.

Wyszedłem z pokoju i ruszyłem na poszukiwanie Saula

Strahana, osiemdziesięcioletniego mężczyzny, który mieszkał na oddziale od wielu lat. Znalazłem go ubranego w jego zwykły strój - bluzę Boston Red Sox i bejsbolówkę - w ulubionym miejscu, przed telewizorem na rozkładanym fotelu. Odbiornik nastawiony był na poranny talk show.

- Co jest w telewizji? - spytałem, nie oczekując odpowiedzi. Usiadłem obok Saula i rzuciłem okiem na ekran.

Młoda aktorka opowiadała gospodarzowi programu, jak drażnią ją paparazzi, którzy wszędzie za nią chodzą, - Wszyscy mają problemy, prawda, Saul?

Przyjrzałem mu się dokładniej. Saul miał nie tylko zaawansowanego Alzheimera, był również ofiarą paskudnego udaru, który cztery lata wcześniej odebrał mu mowę.

Jednakże jego oczy spoglądały na mnie z życiem i wydawało się, że próbuje mi coś przekazać. Położyłem mu rękę na ramieniu i powiedziałem, że jestem tu, aby zbadać nogę

Tak jak powiedziała Mary, obie nogi Saula były obrzęknięte - efekt jego dwudziestoletniej walki z przewlekłą niewydolnością serca. Na domiar złego prawa noga wyglądała na bardziej zaognioną i była gorąca w dotyku. Obawy

Mary wydawały się potwierdzać.

- Saul, mój przyjacielu, przykro mi, ale chyba będziesz musiał wrócić do antybiotyków. - Odnutowałem w głowie, aby zadzwonić do jego córki.

Wróciłem do dyżurki pielęgniarek, gdzie Maja wciąż zajmowała się pucowaniem swojego futerka. Na mój widok zeskoczyła z blatu, rzuciwszy mi oburzone spojrzenie, mówiące: To miejsce nie jest wystarczająco duże dla nas obojga.

Skończyłem notatkę i siedziałem przy biurku, czekając na przyjście Mary. Mary, która była pielęgniarką przez większość swojego życia, zaczynała jako pomoc pielęgniarska, ucząc się jeszcze w liceum w latach siedemdziesiątych.

W szkole pielęgniarskiej odkryła, że kocha opiekować się ludźmi starszymi. Jest nie tylko niezwykle oddana swojej pracy, ale ma również pewien rodzaj, intuicji, niezwykle istotny w jej profesji. Zawsze zdaje się wiedzieć, kto aktualnie potrzebuje największej uwagi. Dlatego to ona decydowała, kim powinienem się zająć w pierwszej kolejności i dlatego byłem skazany na czekanie, póki nie znajdzie dla mnie czasu... I na jej humory.

- Cześć, przepraszam, że musiałeś czekać - przyjazny głos Mary przerwał mi uzalanie się nad moją zależnością.

Jeśli nawet wcześniej sprawiała wrażenie poirytowanej, teraz najwyraźniej wszystko już było w porządku.

- David, masz chwilę? Chcę ci coś pokazać w pokoju trzysta dziesięć.

Gdy szliśmy wzdłuż korytarza, Mary opowiadała o jego lokatorce, Lili Davis. - Jest jedną z pacjentek twojego kolegi. Ma około osiemdziesiątki i przebywa na naszym oddziale od osiemnastu miesięcy. Jakies trzy miesiące temu zaczęła szybko tracić na wadze. Potem pewnego ranka dostała krwotoku. Wysłaliśmy ją do szpitala i zdiagnozowali u niej raka jelita grubego, pojawiły się już przerzuty. Biorąc pod uwagę jej posuniętą demencję, rodzina zdecydowała się jej nie leczyć; odesłali ją z powrotem pod opiekę hospicyjną.

Rozsądne podejście - pomyślałem w duchu.

Znaleźliśmy panią Davis leżącą na plecach, z zamkniętymi oczami i oddychającą płytko. Pompa morfiny była podłączona wkłuciem dożylnym do jej lewego ramienia. Po drugiej stronie pokoju stało składane łóżko, z prześcieradłem zepchniętym na jedną stronę. Nie tak dawno ktoś tu spał.

- Córka pani Davis - powiedziała Mary, zanim zdążyłem spytać. - Wysłałam ją do domu na kilka godzin, żeby wzięła prysznic i się przebrała. Myślę, że spędziła tu co najmniej trzydzieści sześć godzin.

- Więc co chciałaś mi pokazać? - zapytałem.

- Spójrz - Mary wskazała na posłanie.

Gdy się zbliżyłem, znad prześcieradeł uniosła się głowa czarnobiałego dachowca. Dzwonek jego obroży zabrzczał lekko. Uszy kota poruszyły się i popatrzył na mnie jakby pytająco. Zignorowałem go i podszedłem do pacjentki. Zwierzak położył głowę z powrotem na przednich łapach i zamruczał delikatnie, wtulając się w prawą nogę pani Davis.

Spojrzałem na twarz pacjentki i zauważyłem, że najwyraźniej jej to nie przeszkadza - sprawiała wrażenie wręcz zadowolonej.

- Wygląda na to, że wszystko z nią w porządku - stwierdziłem. - Potrzebujesz zlecenia na leki?

- Nie chodzi o pacjentkę, David. Ona ma się dobrze.

Chciałam ci pokazać kota.

- Kota? Przyprowadziłaś mnie tutaj, żeby zobaczyć kota?!

- To jest Oskar - powiedziała, jakby przedstawiała mi kogoś na przyjęciu.

- W porządku - odparłem, nie rozumiejąc, po co mi zawraca głowę. Zaczynał mi się udzielać zły humor Mai. - To jest kot, który przesiaduje z pacjentką.

- No cóż, dokładnie tak. Wiesz przecież, że Oskar nie lubi spędzać czasu z ludźmi. Zastanów się, jak wiele razy naprawdę go tutaj widziałeś? Zazwyczaj gdzieś się chowa.

To była prawda. Oskara spotkałem zaledwie kilkakrotnie, chociaż mieszkał już wtedy

na oddziale blisko rok. Czasami widywałem go przy dyżurce, gdzie stały jego miseczki z jedzeniem i piciem, lub jak skulony spał pod resztkami starego podartego koca. Ten kot nie cieszył się opinią towarzyskiego.

- Pewnie wreszcie. trochę się z nami oswaja - odparłem. - Nie jestem wprawdzie ekspertem, jeśli chodzi o koty, jednak mam wrażenie, że one na ogół robią wyłącznie to, na co mają ochotę. Pewnie siedzi tutaj, bo znalazł miejsce, gdzie mu nikt nie będzie przeszkadzał.

- Wiem, że to dziwne, David, ale sedno w tym, że Oskar nigdy tak naprawdę nie spędza czasu z pacjentami. Zwykle gdzieś się ukrywa, przeważnie w moim biurze. Ale ostatnio kilkoro z nas zauważyło, że niektórym rezydentom jednak towarzyszy. ‘

- I dlatego to takie dziwne? - Wzruszyłem ramionami.

Spojrzałem na Oskara zwiniętego w kłębek przy pani Davis i przypomniały mi się koty, które grzebano ze starożytnymi Egipcjanami. Ten obraz jakoś mi się z nimi skojarzył...

- Sęk w tym - Mary mówiła powoli - że Oskar towarzyszy pacjentom, którzy lada chwila umrą.

Teraz usłyszałem już dość, by wzruszyć ramionami.

- Więc chcesz mi wmówić, że pani Davis dzisiaj umrze? - w moim głosie dało się wyczuć sarkazm. Skierowałem spojrzenie na pacjentkę. I nagle zrobiło mi się przykro, że to powiedziałem. Jej oddech był wyraźnie ciężki i poczułem się winny naruszenia dobrych manier. Uświadomiłem sobie, że pani Davis rzeczywiście może dzisiaj umrzeć. Wnioskowałem to jednakże z faktu jej demencji i szybko postępującego raka, a nie z obecności kota na jej łóżku.

Mary uśmiechnęła się, ale wyczułem jej zakłopotanie.

Zrobiło mi się trochę głupio, że ironizowałem, przecież jednak trudno mnie winić, że nie wziętem poważnie pomysłu, iż jakiś kocur przepowiada śmierć.

- Sądzę, że jest możliwe, aby kot mógł wiedzieć, kiedy ktoś umrze - powiedziałem ugodowo. - Pamiętasz artykuł o psie wyczuwającym raka? I są jeszcze te japońskie ryby, które potrafią przestrzec przed trzęsieniem ziemi, zanim nastąpi. A Lassie? Ona zawsze wiedziała, kiedy Timmy miał kłopoty - próbowałem rozładować napięcie.

Mary to nie rozbawiło.

- Wiesz, Oskar zawędrował do pokoju innej pacjentki wczoraj, tuż przed jej śmiercią - próbowała mnie przekonać do swojej teorii.

Wyraz mojej twarzy musiał być wymowny, gdyż w końcu zrezygnowała. Przez chwilę patrzyliśmy w ciszy na scenę przed nami. Kot zwinięty w kłębek obok nogi pani Davis

mruczał cichutko. To był miły widok. Tchnął... spokojem.

- Nie zrozum mnie źle, Mary - odezwałem się po chwili, sprawiając, że czar prysł. - Podobają mi się idea zwierzęcia siedzącego przy mnie, gdy umieram. To jest naprawdę całkiem urocze. Miałem psa, gdy dorastałem, i on zawsze był u mego boku.

Podszedłem do łóżka i wyciągnąłem dłoń, aby pogłaskać

Oskara. W mgnieniu oka trzepnął mnie w rękę przednią łapą. Uzbrojoną w pazury. Cofnąłem się.

- Mówiłam ci, że on nie jest przyjacielski - powiedziała z uśmiechem Mary.

- Przyjacielski! Do diaska, próbował mnie zmasakrować - odparłem oburzony, z przesadnym dramatyzmem w głosie.

- Och, Oskar jest w porządku. Ten kot bywa naprawdę uczuciowy, gdy ma odpowiedni nastrój. Odnoszę jednak wrażenie, że próbuje bronić swoich pacjentów. Właśnie miałeś przykład.

- Mary, to tylko kot. Koty nie robią nic, chyba że coś z tego robienia mają. On pewnie po prostu szuka jakiejś wygodnej miejscówki i ciepłego koca, w który mógłby się wtulić, a jak sobie go znalazł, to pilnuje, by mu nikt nie przeszkadzał - tłumaczyłem z irytacją, oglądając zaatakowaną rękę i szukając nieistniejącego zadrapania.

- Boże, zachowujesz się jak dzieciak. Przecież Oskar ledwo cię dotknął. - Mary się zniecierpliwiła.

- Prawda jest taka, Mary, że ja nie przepadam za kotami, i to z wzajemnością. W każdym razie ten konkretny kot udowodnił chyba, że mnie nie lubi,

- Koty nie mają nic przeciw tobie, one po prostu wiedzą, czy się boisz, czy nie - zaśmiała się Mary. - Jeśli tak, reagują odpowiednio.

- Nie śmieję się ze mnie - oburzyłem się. - Miałem złe doświadczenia z kotem, gdy dorastałem, i to pozostawiło we mnie lekki uraz.

Przez chwilę rozważałem, czy nie opowiedzieć jej historii o kocie należącym niegdyś do mojego dziadka, ale wyraz udawanego współczucia na twarzy Mary przekonał mnie, że lepiej dać temu spokój.

- Niektóre koty są po prostu drażliwe - przerwała w końcu przeciągające się milczenie. - Podobnie jak ludzie. Nie wolno ci skreślać każdego kota z powodu jednego złego doświadczenia. Poza tym przecież wiesz, że nie trzymalibyśmy tu zwierzęcia, gdyby istniało najmniejsze prawdopodobieństwo, że mógłby kogoś skrzywdzić. Nawet lekarza!

- Bardzo śmieszne. - Ponownie spojrzałem na Oskara i na panią Davis. - Wiesz, może on lubi pacjentów, którzy umierają, bo nie sprawiają mu żadnych kłopotów.

- Nie sędę, David. Naprawdę uważam, że jest w tym coś więcej.
- Więc upierasz się, że jego obecność tutaj oznacza, że pani Davis dzisiaj umrze?
- No cóż, zobaczymy.

Opuściłem szpital i pojechałem do mojej przychodni ambulatoryjnej. Nagle złapałem się na tym, że myślę o kocie z domku mojej babci. Nazywał się Puma; imię doskonale do niego pasowało. W mojej pamięci był czternastokilogramową bestią - jak powie wam każdy wędkarz, rozmiar zwiększa się wraz z upływem czasu - i przez lata mnie terroryzował, ilekroć wchodziłem do "jego" domu. Gdy ujrzałem w pamięci jego płonące nienawiścią oczy, zdecydowałem, że mój strach przed kotami nie jest irracjonalny. To ja byłem obiektem owej nienawiści...

To wspomnienie przerwał mi telefon. Dzwoniła Mary.

- Pani Davis zmarła kilka minut po tym, jak wyszedłeś - powiedziała.

Od momentu, gdy stałem w pokoju pani Davis, patrząc, jak oddycha, nie minęła nawet godzina. Nawet po latach ciągłej styczności ze śmiercią czuję pokorę przed byciem tak blisko niej.

- Mary... Nie rób wielkiej sprawy wokół tego kota - poprosiłem. - Ona przecież była bardzo chora. Diagnozy nie pozostawiały żadnej nadziei...

- To prawda, ale mówię ci, że sytuacja z tym kotem regularnie się powtarza. Właściwie zawsze, gdy ktoś umiera.

Nawet niektóre rodziny podopiecznych zaczynają już o tym mówić... - Zamilkła na chwilę. - David - dodała w końcu - naprawdę jestem zdania, że kot wie.

Rozdział drugi

Człowiek, który niesie kota za ogon, dowiaduje się czegoś, czego nie byłby w stanie dowiedzieć się w żaden inny sposób.

Mark Twain

Czy miewacie czasem naprawdę złe dni - takie, gdy zmuszeni jesteście do kwestionowania wszystkiego, co zrobiliście i zaczynacie się martwić o wszystko, co niesie przyszłość?

Ja miałem dokładnie taki dzień jakieś sześć miesięcy po moim pierwszym spotkaniu z Oskarem. Siedziałem w swoim gabinecie, gapiąc się za okno. Przy bezchmurnej pogodzie roztacza się stąd wspaniały widok, zwłaszcza w okresie letnim, gdy błękitne wody zatoki Narragansett migoczą pod jasnym 'niebem i mlecznopiankowymi chmurami.

W styczniu jednakże widok zmienia się w smutny, nawet ponury, a woda staje się zniechęcającą taflą asfaltu. Tak to wyglądało owego dnia i to było doskonałe odbicie mojego stanu umysłu.

Wpatrywałem się we frachtowiec, który rozładowywano, ale jednak nie to zaprzętało moją uwagę. Mój umysł przetwarzał wydarzenia z ostatnich kilku dni, stale zatrzymując się na pewnej scenie jak zniszczona płyta DVD. Trzy tygodnie wcześniej dowiedziałem się, że zostałem finalistą pretendującym do nagrody za ważne badania, przyznawanej przez prestiżową fundację z Nowego Jorku. Takie granty to dla mnie więcej niż pieniądze; moje badania w dziedzinie geriatry i medycyny zakładów pielęgnacyjnoopiekuńczych są tym, co daje mi siłę do życia i otrzymanie wyróżnienia nie było jedynie kwestią prestiżu, lecz potwierdzeniem wagi wszystkiego, co zrobiłem.

Dwa dni wcześniej wsiadłem do pociągu do Nowego

Jorku. Spotkanie poszło dobrze lub tak mi się wydawało.

Wyszedłem z rozmowy kwalifikacyjnej przepełniony pewnością siebie, a nawet lekką dumą. Ta nagroda była moja; czułem to. Pracowałem bez wytchnienia nad wnioskiem aplikacyjnym, ślęczałem do późnych godzin nocnych po codziennej harówce w pracy i wypełnieniu obowiązków rodzinnych. To siedzenie po nocach miało się teraz opłacić.

Komisja dostrzeże znaczenie mojej pracy i sfinansuje badania, bo dlaczego niby

mieliby tego nie zrobić? Były ważne i unikatowe - komisja musiała to rozumieć. W drodze powrotnej do Providence zacząłem rozmyślać nad tym, żeby wykorzystać nagrodę jako argument dla szefa, by dał mi podwyżkę, na którą zasługiwałem. Gdybym miał cygaro, zapaliłbym (albo raczej zrobiłbym tak, gdybym palił - wciąż pozwalają na to w pociągach).

Wszystko zmienił jeden telefon. Tamtego ranka, w chwili, gdy rozległ się dzwonek, dźgnęło mnie zimne ukłucie strachu. Poczułem, że coś jest nie tak. Może zadzwoniono zbyt wcześnie. Może było to tylko przeczucie. Wstrzymując oddech, podniosłem słuchawkę i powiedziałem "halo". Głos kobiety po drugiej stronie brzmiał od początku ponuro; gdy jej słuchałem, rozumiałem, jak muszą się czuć rodziny moich pacjentów, kiedy dzwonię ze złymi wiadomościami.

- Chcemy podziękować panu za przybycie do Nowego

Jorku na spotkanie z komisją. Byli naprawdę pod wrażeniem pańskiej pracy...

Przerwa, która nastąpiła, trwała bez końca.

- Niestety, z przykrością informujemy, że nie został pan wybrany do dofinansowania.

Kobieta trąkotała jeszcze parę chwil o wielu "utalentowanych kandydatach", z którymi rozmawiali, ale ja przestałem już słuchać.

Poniosłem porażkę.

Nici z awansu. Nici z podwyżki.

Kolejne niepowodzenie w karierze.

Tak jakby komputer został zresetowany - byłem z powrotem na zerze.

Parę godzin po owym telefonie wciąż nie potrafiłem przestać o nim myśleć. Znacnie to powiedzenie "Której części nie rozumiesz?"... Nie mogłem zrozumieć żadnej z nich.

Jak oni mogli nie dostrzec wagi mojej pracy? Tak niewiele osób zajmuje się działalnością zakładów opiekuńczoopiełnacyjnych! I wniosek był dobry; może najlepszy, jaki kiedykolwiek złożyłem. Co takiego robili inni kandydaci, że ich dokonania wydały się ważniejsze?

Czy chodzi o to, co napisałem?

Sposób, w jaki mówiłem?

Nie spodobał się mój garnitur?

Oderwałem się od okna i zmusiłem do zajęcia miejsca za biurkiem. Przebywałem w swoim biurze już przeszło godzinę i nawet się nie zalogowałem. Patrzyłem na kursor migający na komputerze niczym urządzenie monitorujące niewydolne serce.

Może to przez mój krawat?

Podniosłem słuchawkę, aby zadzwonić do fundacji. Zdeterminowany chciałem

dowiedzieć się, co zdecydowało o odrzuceniu mojego wniosku. Wystukałem numer, chcąc znaleźć kogoś, kogokolwiek, kto by wysłuchał mojej prośby o ponowne rozpatrzenie.

Nagle odezwał się mój pager. Świat na chwilę przestał wirować, dając mi szansę na przemyślenie swoich działań.

Popatrzyłem na cyfry na wyświetlaczu.

To ze Steere House.

Zignorowałem brzęczyk i pogрузyłem się ponownie w swoim wewnętrznym dialogu. Czy naprawdę dowiem się czegokolwiek, dzwoniąc? Której części nie rozumiałem?

Może po prostu nie byli zainteresowani.

Pager odezwał się ponownie. Ten sam numer. Czy nie wiedzą, że to niewłaściwy moment? Sfrustrowany podniosłem słuchawkę i wybrałem numer.

- Dzień dobry, doktorze, jak pan się miewa?

- Dobrze, Mary, czego chcesz? - W moim głosie brzmiało wyraźne poirytowanie.

- No proszę, ktoś wstał dziś z łóżka lewą nogą. Coś nie tak?

- Po prostu zły dzień, Mary.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? - Jej zaniepokojenie wydawało się szczere.

- Nie dzisiaj. Ale dziękuję, że pytasz. - Nie byłem w nastroju na usprawiedliwianie się, a tym bardziej na przepraszanie.

- W każdym razie chciałam dać ci znać, że Ellen Sanders umarła. - Mary zrezygnowała z pocieszania mnie.

- Przynajmniej ktoś ma gorszy dzień niż ja - wyrwało mi się.

Nastąpiła długa cisza, zapewne dlatego, że Mary zastanawiała się, jak ma zareagować. Zrobiło mi się głupio.

Naprawdę przepraszam, Mary. id było nie na miejscu.

Nie zwracaj na mnie uwagi. - Przyłożyłem rękę do czoła.

- W porządku, David. - Najwyraźniej Mary postanowiła mi odpuścić. Wiem, że miewała dni gorsze, niż ja mogłem sobie wyobrazić. Taktownie zmieniła temat. - Przy okazji, chciałam ci powiedzieć, że Oskar tam był.

- Gdzie?

- Przy łóżku. Oskar tam był, gdy Ellen umierała. Tak jak przy wszystkich innych ostatnio.

- Możesz powtórzyć?

- Mówię o kocie. Oskar ciągle składa te swoje wizyty.

Złożył ich pięć czy sześć od czasu, gdy pani Davis zmarła.

Każdego innego dnia pewnie po prostu wzruszyłbym ramionami, tak jak to miało miejsce sześć miesięcy wcześniej.

Ale jest coś w tych wyjątkowo złych chwilach, że zmuszają cię do przemyślenia dotychczasowego pojmowania życia.

A to z pewnością była dla mnie jedna z takich chwil.

Podczas gdy Mary trajkotała o wytycznych do wypełniania niezbędnej papierkowej dokumentacji, wyobraziłem sobie Oskara siedzącego naprzeciw Ellen i jej córki Kathy.

- Gdzie on teraz jest? - zapytałem.

- Kto? Oskar? Och, wciąż w pokoju Ellen. Kierownik zakładu pogrzebowego jeszcze tam nie dotarł. Wprawdzie pani pastor już tutaj jest, ale Oskar po prostu siedzi na łóżku

Ellen. Wiesz, chyba powinienes przekazać kondolencje Kathy. Ona naprawdę cię lubi. Może byś tak przyjechał i się przywitał? Chociaż... Biorąc pod uwagę twój humor, lepiej zostań tam, gdzie jesteś. - Zaśmiała się.

Ja także się zaśmiałem. Nic, tak jak utrata przez kogoś ukochanej osoby nie pozwala spojrzeć na własne problemy z dystansu. Nie musiałem Mary tego mówić: jej mąż odebrał sobie życie tuż po urodzeniu się ich drugiego dziecka, pozostawił ją jako samotną matkę, która teraz uczyniła z dorosłych dzieci w Steere House sens swojego życia. Moi rodzice żyli i mieli się dobrze, żona i dzieci były zdrowe - nie mogłem zatem narzekać, nawet jeśli mój stan ducha, powiedzmy, zależał od dnia. Carpe diem lub jak w piosence Get it while you can",

Rozmawialiśmy jeszcze przez kilka chwil o pani Sanders i jej rodzinie. Pierwszy raz tego ranka myślałem nie o sobie, lecz o kimś innym.

Mimo iż śmierć Ellen Sanders nie była, biorąc pod uwagę jej wiek, całkowitym zaskoczeniem, w tym konkretnym momencie raczej nikt się tego nie spodziewał. Ellen nie cierpiała na żadną nagłą chorobę, która mogłaby jej skrócić życie. Nie licząc demencji, cieszyła się całkiem dobrym zdrowiem.

Jednak gdy nikomu z pracowników medycznych, wliczając mnie, nie przyszło na myśl, że dolegało jej coś poważnego, że śmierć nadchodzi, kot to wyczuł. Moja wiara w naukę i własna intelektualna próżność wcześniej spowodowały odrzucenie pomysłu, że jakiś dachowiec wie więcej niż my, personel medyczny, a teraz poczułem się dziwnie podekscytowany ideą, że mogłem się całkowicie mylić.

Czy to zbieg okoliczności, że Oskar był obecny przy śmierci każdego pacjenta? Przyszło mi na myśl powiedzenie Einsteina: "Zbiegi okoliczności to Boski sposób na pozostanie anonimowym". Nagle zaczęła wciągać mnie owa zagadka. Chwyciłem płaszcz i poszedłem do Steere House, zdecydowany dowiedzieć się czegoś więcej o zachowaniu

naszego tajemniczego kota.

*Bierz, póki możesz. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Rozdział trzeci

Jakiż może być większy dar niż miłości kota?

Charles Dickens

Ciężko jest patrzeć, jak pogarsza się stan zdrowia ukochanej osoby. Większość rodzin znajduje w końcu siłę, by się z tym pogodzić i ruszyć dalej. Wielu ludzi robi to nawet z wdziękiem i godnością. Mary często wspominała pewnego mężczyznę, który pozostawał niezmiennie pogodny w obliczu demencji swojej matki.

- Jak ty to robisz? - spytała go któregoś dnia.

- Och, z mamą pożegnałem się jakiś czas temu - odpowiedział.- Teraz po prostu pokochałem tę małą panią!

To była reakcja zaawansowana, na poziomie czarnego pasa. Może to poczucie winy lub strach przed śmiercią, albo po prostu ból związany ze stratą, gdy widzimy jak ktoś, kogo kochamy staje się inną istotą powoduje, że wiele osób zdaje się obumierać, gdy ukochana osoba słabnie. Tak jakby ich własny stan ulegał pogorszeniu.

Ale nie Kathy. Jej duch zawsze wydawał się nieugięty w obliczu choroby matki i każdy krok w tył przyjmowała optymistycznym: "szklanka jest w połowie pełna", co było inspiracją dla personelu. Znajdowała otuchę w małych triumfach - "małych zwycięstwach", jak je nazywała.

Pamiętam, jak pewnego popołudnia wpadłem na Kathy i jej matkę siedzące na ławce w różanym ogrodzie zakładu opiekuńczo-pielęgnacyjnego. Był wyjątkowo wietrzny dzień października i zastanawiałem się, co też u licha one robią na zewnątrz, skulone pod swoimi płaszczami. Obok leżały puste tace obiadowe.

- Nie jest wam zimno? - zapytałem Kathy.

- Wolę o tym myśleć jak o orzeźwieniu - zażartowała. - Wie pan, doktorze, przez następne trzy do czterech miesięcy moja mama będzie gnieździć się w zamkniętym pomieszczeniu. Niech sobie odetchnie świeżym powietrzem, popatrzy na świat. Co znaczy trochę zimna? I proszę spojrzeć, jak śliczne są liście o tej porze roku. - Popatrzyła na matkę i objęła ją ramieniem. - Czyż nie są piękne, mamó? - spytała, wskazując czerwone i złote listki

drżące na pobliskim drzewie. Ellen nie odpowiedziała, ale jakiś ślad uśmiechu pojawił się na jej twarzy.

- Małe zwycięstwa, doktorze - przypomniała mi Kathy, gdy odchodziłem, by się schronić w ciepłe swego gabinetu.

Jej ostatnie słowa jak echo pobrzmiwały w mojej głowie, gdy teraz mijałem miejsce, gdzie wówczas siedziały kobiety. Ów październikowy dzień był zapewne ostatnim, w którym pani Sanders cieszyła się świeżym powietrzem.

Ostry zimowy wiatr przeprowadził mnie szybko przez zamrożony ogród do wnętrza jadalni na parterze domu opieki. Nadeszła już prawie pora obiadu i asystentka pielęgniarki nakrywała stoły. Polerowała srebrną zastawę, jakby przygotowywała stoliki w najlepszej restauracji w mieście.

Ta dbałość o szczegóły jest, jak sędzę, jednym z elementów, które czynią Steere House miejscem wyjątkowym. Szacunek dla podopiecznych przejawia się w każdym drobiazgu, w najmniejszym nawet geście.

W rogu jadalni siedziała na wózku inwalidzkim Ida Portier, cierpliwie czekając na obiad. W milczeniu obserwowała asystentkę pielęgniarki, gdy ta czyściła i rozkładała każdą sztukę srebrnej zastawy. Kiedy wszedłem, staruszka podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

Ida była rezydentką Steere House od wielu lat, skazana na dom opieki z powodu reumatycznego zapalenia stawów.

Jej obolałe nogi i ręce stały się niemal niewładne, jednak umysł pracował doskonale, jak za młodych lat. Charakteryzowało ją prześmiewcze poczucie humoru, które zachowała mimo długoletniej walki z chorobą. Ludzie przewlekle chorzy mają wybór: mogą albo nauczyć się żyć ze swoją przypadłością, nie zapominać o śmiechu i szukać choć odrobiny radości w życiu, albo poddać się cierpieniu.

Schyliłem się i uściśnąłem ją.

- Co dziś na obiad, pani Ido?

- Jak zwykle świątwno, doktorze. Nie wiem, jaki mamy dzień: poniedziałek, wtorek?

- Jest czwartek, Ido.

- Myślę, że w takim razie to dzień zapiekanki mięsno-

- warzywnej. Nie, żeby to miało znaczenie; wszystko smakuje tak samo.

Uśmiechnąłem się.

- Starają się, jak mogą. Niestety, nie mają do dyspozycji budżetu, który pozwalałby na serwowanie filet mignon.

- Może i nie, doktorze, ale czy nie moglibyśmy przynajmniej od czasu do czasu dostać

homara? W końcu jesteśmy w Rhode Island.

- Porozmawiam z szefem kuchni.

- Taaa, pewnie! - Potrząsnęła głową z pozorowanym oburzeniem, spoglądając na mnie z filuternym błyskiem w oku. Miło jest przekomarzać się z Idą.

- Doktorze, wejdzie pan na górę zobaczyć pacjentkę, która zmarła?

- Dlaczego pani pyta, Ido? - Zdziwiłem się.

- Słyszałam, że gdy umierała, był tam kot.

- Jak się pani o tym dowiedziała? - spytałem po chwili milczenia.

- Niektóre z pielęgniarek tu, na dole, opowiadały o Oskarze i o tym, co robi. Ja osobiście kocham zwierzęta.

Trzymałam koty chyba przez całe życie. Nawet teraz Billy lub Munchie często mi dotrzymują towarzystwa - odparła, mając na myśli nasze dwa koty, które mieszkały na parterze. - Ale nic nie wiem o kocie z góry.

- Wierzy pani, że on wie? - spytałem.

- Och, wierzę w to. Gdy lata temu umarł mój mąż, kupiłam sobie kota, aby mieć towarzysza. Nazwałam go Łatka, bo miał małe łatki białego koloru na swoim czarnym futerku. - Uśmiechnęła się przelotnie na to wspomnienie. - Tak czy owak, Łatka zawsze wiedział, kiedy byłam chora lub kiedy odzywał się mój artretyzm. Wskakiwał na łóżko i po prostu przy mnie siedział. W innym wypadku nigdzie nie mogłam go znaleźć. Zawsze chował się gdzieś w mieszkaniu - pod łóżkiem, w szafie, różnie.

- Co się z nim stało? - zaciekałem się i od razu pożałowałem pytania.

Na twarzy Idy zagościł smutek.

- Zapadł na jakiś rodzaj kociego raka. Musiałam go uśpić.

- Przykro mi, pani Ido.

- Nie, doktorze, niech panu nie będzie przykro, że pan zapytał. Musiałam to zrobić. Tak było dla niego lepiej. Przestał cierpieć. Czasami wydaje mi się, że jesteśmy miłsi dla zwierząt niż dla ludzi - spojrzała przez okno i zamyśliła się.

Nie przerywałem milczenia.

- Wie pan - odezwała się w końcu - każdego dnia siedzę tu i czekam. Czekam na kogoś, kto pomoże mi się ubrać.

Czekam na śniadanie, potem na obiad. Potem wracam do mojego pokoju na drzemkę lub żeby obejrzeć jakiś głupi serial, albo talk show w telewizji. Później czekam na kolację.

Gdy byłam młoda, wciąż brakowało mi czasu. Żyłam zawsze w biegu; nie miałam minuty dla siebie. Teraz wszystko, co mam, to czas.

Skierowała spojrzenie z powrotem w dal, zagubiona w myślach. Gdy ponownie na mnie popatrzyła, wyczułem, że jej nastrój zmienił się raz jeszcze.

- Doktorze, niemal zazdroszczę tej pacjentce z góry.

Przynajmniej jest wolna od tego wszystkiego. - Podniosła ręce tak, jakby prezentowała dowód w sprawie. Jej palce, wygięte do wewnątrz pod dziwnym kątem, zdradzały, że dłonie są bezużyteczne. - Dawniej uwielbiałam robić na drutach - ciągnęła. - Siedziałam godzinami w pokoju słonecznym i dziergałam szaliki i koce. Nie miało znaczenia, dla kogo były przeznaczone. Czasami dziergałam kocyki dla któregoś z moich kotów. Niektóre zносиłam do szpitala położniczego po drugiej stronie ulicy, dla noworodków. Teraz nawet tego nie mogę robić...

Przygnębiona opuściła ręce na kolana. Patrzyłem na nią, głowiąc się, co powiedzieć, aby zmniejszyć jej smutek. Nie miałem nic - do zaoferowania.

- Bardzo za nim tęsknię - powiedziała raptownie. - Za kotem, znaczy - dodała. - Tęsknię za Łatką.

Położyłem rękę na jej ramieniu i siedzieliśmy razem w ciszy. Przyjęła mój dotyk z uśmiechem, ale nie mogłem odegnać myśli, że pewnie wołałaby, bym był kotem.

- Doktorze, zwierzęta posiadają szósty zmysł i mogą się z nami komunikować, jeśli mamy wolę rozumieć ich język.

Mówię panu, że Łatka nie oddalał się ode mnie, kiedy byłem chora.

- Wspominała pani o innych kotach. Jakie były? Podobne do Łatki?

- Nie, Ginger była tak przyjacielska, jak tylko może być kot. - Ida się uśmiechnęła. - Zawsze leżała u moich nóg lub na kolanach, ale nie miała tej umiejętności wyczuwania, kiedy jej potrzebuję. Zaś Grover, on był...

- Nazwała pani swojego kota Grover? - Przerwałem zdumiony.

- Pozwoliłam mojej siostrzenicy wybrać imię. Chociaż raczej powinnam nazwać go Oskar Zrzęda *, bo potrafił być złośliwy.

- Więc wierzy pani w te wszystkie historie o kocie z góry? - upewniłem się.

Ida popatrzyła na mnie z wszystkowiedzącym uśmiechem.

- Nie jest pan wielbicielem kotów, prawda?

- Nie mogę powiedzieć, żebym był, ale staram się, jak mogę. - Troszkę chyba nagiąłem prawdę.

Wtedy Ida zaśmiała się głośno.

- Wiedziała! Czuję, że jest pan raczej miłośnikiem psów. Jest pan zbyt miły.

Jej śmiech był zaraźliwy i spostrzegłem, że śmieję się razem z nią. Potrzebowałem w

tamtej chwili odrobiny humoru...

* Grover - niebieska, włochata kukielka z programu dla dzieci "Ulica Sezamkowa",
Oskar

- Dzięki, Ido, nie wiem, czy miało to oznaczać komplement, ale tak to dzisiaj odbiorę.

- Proszę bardzo. - Przyjrzała się uważnie mojej twarzy. - Coś pana trapi - orzekła w końcu. - Nie chce pan o tym mówić?

- Po prostu zły dzień - zbagatelizowałem.

- Nie pierwszy, nie ostatni. - Uśmiechnęła się. - Niech pan zapomni o nim jak najszybciej. W większości przypadków nie jest tak źle, jak się wydaje. Po prostu niech pan idzie do domu, ucałuje swoją żonę i dzieci, wypije piwo, położy się wcześniej do łóżka i rano poczuje się pan lepiej!

- Zalecenie lekarza? - spytałem.

- Zalecenie lekarza!

Jadąc windą na drugie piętro, myślałem o bystrym umyśle Idy i jej bezużytecznych rękach. Byłem zmartwiony.

Gdybym miał powiedzieć prawdę - a to zdawał się być dzień uświadamiania sobie pewnych prawd, chcianych bądź nie - niepokoiła mnie więź, jaka zaistniała między mną a pacjentką. Patrząc na nią, czułem czasami, że spoglądam na własną przyszłość. Zerknąłem na swoje ręce i obejrzałem powiększony lewy kciuk. Minęło dziesięć lat od czasu, gdy zdiagnozowano u mnie zapalenie stawów bardzo podobne do przypadłości Idy. Pomyślałem o spuchniętym prawym nadgarstku i o obrzęku lewego kolana i kostki. Nie odczuwałem już takiego bólu, jak kiedyś, dzięki skomplikowanej terapii - konsekwentnie brałem zastrzyki i łykałem tabletki.

Mimo to oznaki zapalenia nie zniknęły i zdawałem sobie sprawę, że tak jak u Idy stawy w końcu mnie zawiodą i nogi nie będą mnie nosiły w mojej przysłowiowej jesieni życia, a ramiona nie będą w stanie utrzymać wnuków...

Przeszedł mnie dreszcz, gdy pomyślałem o Idzie i przekleństwie, jakim jest niemożność robienia rzeczy, które kiedyś wydawały się takie oczywiste. Pozwoliłem, by to doznanie mną owładnęło, czułem, jak żal nad samym sobą rośnie i opada na mnie jak całun, ale w końcu się otrząsnąłem. Zamiast o swoim strachu pomyślałem o Kathy i o tym, co powiedziała o znaczeniu małych, codziennych zwycięstw w walce z przewlekłą chorobą. Kathy miała rację. Istnieją w życiu ważniejsze rzeczy niż awanse w pracy i granty. Są codzienne zwycięstwa, dary od losu tutaj i teraz.

Zamiast martwić się o swoją przyszłość i stosunki z wnukami, czyż nie lepiej radować się noszeniem mojej nowo narodzonej córki albo grą w piłkę nożną z synem? Wciąż byłem w stanie schylić się i zawiązać buty. Jutrzejsze problemy będą musiały zaczekać.

Na drugim piętrze opuściłem windę i przy recepcji wpadłem na grupę kilku asystentek pielęgniarek i na pielęgniarkę hospicyjną. Były w trakcie intensywnej wymiany zdań, która, jak się szybko zorientowałem, dotyczyła Oskara.

- Więc on znów to zrobił - wtrąciłem się.

- Tak - odparła Lisa, pielęgniarka hospicyjna. - To zdumiewające. Ma niespotykany talent.

Dołączyła do nas Sally, jedna z pastorów hospicyjnych.

Właśnie wróciła z pokoju pani Sanders.

- Jak się miewa Kathy? - spytałem ją.

- Jest zdenerwowana, ale myślę, że w końcu dojdzie do siebie. Miała wiele czasu, żeby pogodzić się z tym, co nieuniknione - odparła.

Zostawiłem je i udałem się do pokoju pani Sanders. Kathy ścisnęła rękę matki, płacząc cicho, podczas gdy Oskar rozłożył się na łóżku. Przednie i tylne łapy miał wyciągnięte, jego tułów opierał się delikatnie o nogę Ellen. Kathy odwróciła głowę, żeby mnie przywitać. Miała opuchnięte oczy, ale zmusiła się do lekkiego uśmiechu i wstała, aby mnie uścisnąć.

- Przykro mi - powiedziałem.

Zaczęła znowu płakać i czułem jej ciepłe łzy przez materiał koszuli. Trwaliśmy tak przez chwilę. Oczy Kathy były przekrwione. Wyglądała, jakby nie spała od kilku dni. Jej bluzka, mokra od łez, pomięta się podczas czuwania w fotelu przy łóżku matki. Próbowałem wymyślić coś, co mógłbym powiedzieć, co uczyniłoby stratę łatwiejszą do zniesienia, ale miałem pustkę w głowie. Na szczęście Kathy sama przerwała ciszę.

- Doktorze, chciałam panu podziękować za wszystko, co pan zrobił dla mojej mamy.

Przetarła oczy rękawem i odwróciła się, aby usiąść z powrotem przy łóżku. Chwyliła rękę matki i kołysała ją w swojej dłoni. Ruch rozbudził Oskara, który także wyglądał na zmęczonego. Zamrugał i popatrzył na Kathy.

- Niezwykły kot... - stwierdziła.

- Słyszałem, że był tutaj, gdy pani mama umarła - odpowiedziałem.

Uśmiechnęła się nieznacznie przez łzy.

- Taaa, on i ja jesteśmy teraz kumplami - odparła i pogłaskała Oskara po głowie. Kocur zaczął się ocierać o jej rękę. - Pielęgniarka hospicyjna i pani pastor powiedziały mi, że on to robił już wcześniej - dodała.

- Z tego, co mi mówiono, zdarza się to już od roku - wyjaśniłem. ‘

- Więc to jest bardzo wyjątkowy kot.,

- Przypuszczam, że tak... - potwierdziłem i uświadomiłem sobie, że zaczynam w to wierzyć.

Położyłem dłoń na ręce pani Sanders i pożegnałem się ze swoją pacjentką. Ani Kathy, ani ja nie odzywaliśmy się przez chwilę. Oskar wciąż cicho mruczał. W końcu po kilku minutach zadałem pytanie, które nurtowało mnie od czasu rozmowy z Mary.

- Kathy, nie miała pani nic przeciwko temu, aby Oskar był tutaj pod koniec?

Spojrzała na mnie z poważną miną.

- Doktorze, myślę o Oskarze jako o swoim aniele. Był tu dla mojej mamy i był tu również dla mnie. Z nim u boku... cóż, czułam się trochę mniej samotna. Trudno to wytłumaczyć, ale niektóre zwierzęta, no... ma się wrażenie, że rozumieją, co się dzieje. Nawet więcej, jakby godzą nas z tym.

Nie pojmuję tego, ale Oskar dał mi poczucie, że to wszystko jest naturalne. I tak jest, czyż nie? Jeśli narodziny są cudem, czy i śmierć nie jest cudem? Moja matka... Cóż, jej walka się skończyła. Nareszcie jest wolna.

Kathy wpatrywała się we mnie, czekając na odpowiedź, ale co mogłem jej powiedzieć? Sam nie bardzo wiedziałem, co o tym myśleć.

- Moja matka nigdy nie chciała żyć tak, jak w ostatnich miesiącach - dodała Kathy. - Ona była dumną kobietą. Nie znał jej pan przedtem, ale była kiedyś... silna. Zawsze modnie się ubierała i zawsze miała jakiś żart w pogotowiu.

Uśmiechnęła się, pewnie na wspomnienie jednego z żartów mamy. Patrząc na nią, zrozumiałem, że da sobie radę.

- Niech pani dba o siebie - powiedziałem.

Kathy kiwnęła głową, gdy wychodziłem i powróciła do swoich myśli i do Oskara.

Rozdział czwarty

Koty to sybaryci

James Herriot

Gdy kilka dni później wróciłem do Steere House, znalazłem Mary siedzącą w dyżurce pielęgniarek; szczotkowała Oskara. Wyciągnięty na całą długość wyglądał jak bokser po trudnej walce, bądź też jak jeden z zapaśników u szczytu sławy.

- Ostatnio Oskar zdaje się porządnie wyczerpany tym swoim czuwaniem - stwierdziła Mary.

- Pewnie, wylegiwanie się na łóżku to niezwykle ciężka praca - droczyłem się z nią.

- Śmieję się, David, śmieję, jednak faktem jest, że Oskar zawsze wygląda na bardzo zmęczonego po czyjejś śmierci.

To tak, jakby oddawał część siebie, towarzysząc komuś w umieraniu, a po wszystkim jest wycieńczony.

Przewróciłem oczami, manifestując niedowierzanie. Ten gest zwykle denerwuje Mary, podobnie jak złości moją żonę.

- Wiesz, udomowione koty miały kiedyś swoje obowiązki jak psy - mówiła, kontynuując szczotkowanie. - Musiały zapracować na swoje utrzymanie. Może towarzyszenie przy przechodzeniu na tamtą stronę to zadanie Oskara.

- Cóż, najwyższy czas, żebym się zajął własnymi obowiązkami - powiedziałem, otwierając kartę pacjenta, za którą rozglądałem się przez ostatnie dziesięć minut.

Jak powie wam każda pielęgniarka lub lekarz, karta, której akurat potrzebujesz, niezmiennie jest tą, która się zapodziała. Być może moja radość, że wreszcie namierzyłem zgubę, dotarła jakoś do Oskara, bo ni stąd ni zowąd porzucił Mary i skoczył na blat tuż przy mnie. Obrócił się wokół dwa razy i przycupnął na moich papierach.

- Czy ty to widzisz? - rzuciłem z pretensją.

- Ten świat należy do kotów - odparła Mary. - One tylko pozwalają nam w nim przebywać.

Wyrwałem kartę spod Oskara. Spojrzał na mnie z urazą.

- Chcesz mnie zmusić, abym przesiadł się gdzie indziej?

- spytałem rozbawiony.

Mary zaczęła się śmiać.

- David, nigdy nie wygrasz sprzeczki z kotem. Jeszcze się tego nie nauczyłeś? - Wstała ze swojego miejsca i wskazała mi je. - Siadaj tutaj i tak muszę pójść zobaczyć Ruth

Rubenstein.

- Czy dzieje się u niej coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Jeszcze nie wiem, ale pan Rubenstein chce mnie widzieć.

- Przyda ci się wsparcie? - zapytałem, uśmiechając się.

- Nie, myślę, że dam sobie radę, ale trzymaj swój pager w pogotowiu na wypadek, gdybym cię później potrzebowała.

Gdy Mary wyszła, cofnąłem się myślami do chwili, gdy po raz pierwszy spotkałem Franka i Ruth Rubensteinów.

Kocham swoją pracę, mimo iż czasami nie jest satysfakcjonująca. Często bywam posłańcem dostarczającym złe wiadomości, detektywem odkrywającym niechcianą prawdę. Tropieni nierzadko pracują w parach, kryjąc się nawzajem: najczęściej matka i córka lub, jak w przypadku Rubensteinów, mąż i żona. Jeśli współdziałają, aby trzymać mnie z dala od swego życia - nawet gdy przychodzą do mnie szukać pomocy - to dlatego, że obawiają się odkrycia prawdy, która często okazuje się wyrokiem. Potwierdzam to, co oni w głębi duszy już wiedzą i przeczuwają. Nie istnieje łatwy sposób, by powiedzieć komuś, że ma raka, chore serce, odmę bądź jakąś inną przerażającą chorobę, która tyle zabiera, zanim zakończy się śmiercią. Ale szczególnie ciężko jest poinformować kogoś, że ma demencję, nawet jeśli ta osoba intuicyjnie już to przeczuwa.

Z państwem Rubenstein przeszedłem przez ten etap jakieś trzy lata temu. Musiałem spojrzeć w oczy osiemdziesięcioletniej kobiecie, którą przed chwilą zbadałem i zrujnować jej życie. Wiedziałem z doświadczenia, że jej mąż będzie przy niej i u obojga dostrzegę charakterystyczne spojrzenie jak u sarny złapanej w światło nocnych reflektorów. Znałem je dobrze - mówiło, że jestem ich sędzią, ławą przysięgłych i katem. I tak się w podobnych chwilach czułem. Czasem przychodzi mi wtedy na myśl zakończenie opowieści myszy w Alicji w Krainie Czarów: "Jam tu świadek, sam za katy - tak przebiegle rzekł Kosmaty. - Jam tu sąd i jam tu sędzia i skazuję cię na śmierć!"*.

Wcześniej, w dniu, w którym po raz pierwszy spotkałem Rubensteinów, widziałem się z panem Earlem, czarującym osiemdziesięcioletniakiem z niewielkimi problemami zdrowotnymi. Jego umysł pracował na pełnych obrotach.

Podczas badania opowiadał niezwykle szczegółowo o książce, którą czytał. Następnie uraczył mnie wspomnieniami związanymi z jego ostatnią pracą - był wolontariuszem w lokalnej organizacji non profit. W końcu zaznajomił mnie ze swoimi planami podróży na Florydę zimą. Gdy zakończyłem badanie, usiadłem obok niego. Mimo iż byłem nieco spóźniony, nie chciałem przerywać opowieści nagle, jakby mnie wcale nie interesowała.

Dałem mu więc jeszcze parę minut, zanim ruszyłem ku drzwiom, co było znakiem, że nasz wspólny czas się skończył. Odebrał to ze zrozumieniem i przeprosił za przedłużającą się rozmowę.

- Panie Earl - powiedziałem, machnąwszy ręką na znak, że nie ma sprawy - mam nadzieję, że będę tak zdrowy jak pan, gdy osiągnę pana wiek.

- Jestem szczęśliwym człowiekiem, doktorze. - Uśmiechnął się. - Sztuczka polega na ośmiu godzinach snu, zdrowym odżywianiu i mnóstwie kochania!

Czyż można z tym dyskutować?

Donna Richards, kierowniczka administracyjna, podeszła do mnie, gdy szedłem do holu. Spoglądała na zegarek.

Wyglądała na trochę znużoną.

- Skończyłeś już? - spytała.

Skinąłem głową.

- Masz nową pacjentkę w pokoju numer trzy, która się niecierpliwi. Jej mąż zdążył już dwukrotnie wyjść, by zapytać, gdzie jest lekarz. Uspokoiliam go, ale musisz się pośpieszyć.

Powiedziałem, że staram się, jak mogę. Ze wszystkich ludzi Donna najlepiej powinna wiedzieć, jak dużej uwagi potrzebują starsi ludzie - nie wolno im żałować czasu, na jaki zasługują. Jej matka była pacjentką naszej przychodni.

Chwyciłem kartę pacjenta i przez chwilę uważnie przeglądałem dokumentację zgromadzoną przez mojego kolegę po fachu, zanim zapukałem do drzwi. Dobrze ubrana para, którą tam zastałem, nie wyglądała na zadowoloną. Mężczyzna spojrział na zegarek i postukał w niego kilka razy palcem.

- Doktorze, byliśmy umówieni na czternastą piętnaście.

Spóźnił się pan dwadzieścia minut - wypomniał mi.

- Bardzo mi przykro, że musieli państwo czekać. Proszę przyjąć moje przeprosiny - pokajałem się.

Wizyta u lekarza to nie czyszczenie butów i niestety zdarza się, że muszę poświęcić pacjentowi więcej czasu, niż przewidywałem. Ale w ciągu lat pracy nauczyłem się, że próby usprawiedliwiania tylko pogarszają sprawę. Proste przeprosiny sprawdzają się lepiej. Nie w tym przypadku jednakże, jak się okazało.

Frank Rubenstein, dżentelmen starej daty, zapewne pochodzący ze starego świata, był obrażony. Zorientowałem się natychmiast, że chodziło o żonę. Rozpoznałem jego wschodnioeuropejski akcent, podobny do akcentu moich rodziców. Zachowaniem również przypominał mego ojca.

Troska przyjmuje różne formy, czego od lat się uczę, pracując jako lekarz. Frank zachowywał się jak lew broniący swojej lwicy przed drapieżnikami, prawdziwymi bądź wymyślanymi. I mimo iż nie stanowiłem zagrożenia dla jego żony - raczej wręcz przeciwnie - jawiłem się jako zagrożenie, choć prawdziwe niebezpieczeństwo czaiło się w jej głowie.

Ruth Rubenstein, która siedziała naprzeciw małżonka, wyglądała na zakłopotaną.

- Och, doktorze, bardzo przepraszam za nieuprzejme zachowanie mojego męża. Jestem przekonana, że ma pan dużo innych pacjentów pod opieką. Frank po prostu nie lubi odwiedzać gabinetu lekarskiego.

Posłała mi rozbijający uśmiech, a następnie odwróciła się szybko, aby utkwilić wzrok w mężu. Zrozumiał wiadomość; żyli ze sobą wystarczająco długo. Gdy Ruth wpatrywała się w niego, ja przyglądałem się jej. Była gustownie ubrana w długą spódnicę i białą bluzkę. Wydała mi się atrakcyjna. Miała niebieskozielone oczy, które promieniowały ciepłem, i długie srebrne włosy spięte za uszami czymś, co wyglądało na drogą perłową spinkę. Jej skóra zachowała młodzieńczą sprężystość i odniosłem wrażenie, że ta kobieta jest w dobrej formie psychicznej i fizycznej.

Wyciągnąłem do niej rękę. Chwyliła ją mocno i poczułem silną woń perfum. Ale oprócz nich...

Serce mi zamarło. Przysunąłem się bliżej i upewniłem się, że miałem rację. Pod kwiatowym aromatem czaiła się charakterystyczna stęchła woń moczu, objaw inkontynencji (nietrzymanie moczu). Przedstawiłem się raz jeszcze i zapytałem, w czym mogę im pomóc. Pan Rubenstein zaczął wyjaśniać:

- Doktorze, jak już pan zapewne zauważył, żadne z nas nie pała szczególną chęcią bycia tu, ale niepokoję się o zdrowie żony. - Spuścił wzrok, zbierając myśli. - Martwi mnie... - Przerwał i zastanawiał się, jak opisać problem.

- Proszę mówić - Zachęciłem go skinieniem głowy.

Odnalazł w końcu właściwe słowa i znów skierował na mnie wzrok.

- Moja żona zaczęła robić dziwne rzeczy. Gubi przedmioty. Któregoś dnia nie mogła znaleźć kluczy. Obwiniła mnie. W końcu znalazłem je w zamrażalniku wraz z artykułami spożywczymi, które wcześniej przyniosła do domu.

Parę razy zgubiła się w drodze powrotnej ze sklepu. Kiedyś zadzwoniła i znalazłem ją po drugiej stronie miasta.

Spojrzał na panią Rubenstein, która zachowywała się, jakbyśmy rozmawiali o kimś innym. Wpatrywała się w okładkę czasopisma na swoich kolanach.

Frank kontynuował. Był prawdopodobnie w tym samym wieku co żona, chociaż wydawał się znacznie starszy. Miał na sobie klasyczny garnitur z lat siedemdziesiątych. Resztki włosów, które pozostały na jego głowie, były nieuczesane. W czasie gdy opowiadał więcej o zanikach pamięci

Ruth - o dniu, gdy zapomniała spotkać się z nim na kawie bądź o poranku, gdy wstawiła mleko do kredensu zamiast do lodówki - przyjrzałem się jego żonie ponownie.

Teraz zwracała uwagę na jego słowa, i gdyby spojrzenie mogło zabić, on byłby tym, który potrzebowałby pomocy medycznej.

Kiedy Frank skończył mówić, zadałem Ruth kilka pytań, mających na celu ocenę jej pamięci. Zręcznie uchylała się od odpowiedzi na część z nich, czasem prosząc o pomoc męża. Zdarza się, że pomiędzy partnerami, którzy są małżeństwem od długiego czasu, powstaje niemal symbiotyczna relacja. Tak było w przypadku Rubensteinów. Gdy zapytałem Ruth o jej ulubioną restaurację, zareagowała, figlarnie prosząc męża, aby odpowiedział za nią.

- Kochanie, jak się nazywa ta restauracja, w której jedliśmy wczoraj wieczorem?

- "Złoty Pałac", Ruth.

- Zgadza się, doktorze. Jadł pan tam? - spytała.

Zaprzeczyłem.

- Musi pan do nich zajrzeć. My naprawdę kochamy to miejsce. Mają doskonałe jedzenie.

- Co lubi pani tam jeść? - Kontynuowałem śledztwo a la porucznik Columbo.

- Och, lubię wszystko.

- Co pani zamówiła ostatnim razem?

Ruth wpatrywała się we mnie bezmyślnie. Wyobraziłem sobie, jak przerzuca kartki w kalendarzu pamięci i każda z nich okazuje się pusta. W końcu wzrokiem poprosiła męża o pomoc.

- Jedliśmy kaczkę po pekińsku, Ruth - przypomniał.

- Dokładnie, kaczkę po pekińsku. - Ruth ucieszyła się, jakby to ona znalazła prawidłową odpowiedź. - Była taka dobra. Naprawdę musi pan jej spróbować.

Uśmiechnąłem się i obiecałem, że spróbuję. Wszystko to jednakże brzmiało niepokojąco. Towarzyska ogłada i wdzięk nie zdołały ukryć problemów, jakie Ruth miała z pamięcią.

Chociaż zręcznie korzystała z pomocy męża, to gdy zacząłem ją odcinać od podpowiedzi, wszystko stało się oczywiste. Proste testy pamięciowe, które następnie przeprowadziłem, potwierdziły moje obawy.

Wręczyłem Ruth kartkę papieru i długopis.

- Poproszę panią o narysowanie dużego koła, które potraktuje pani jako zegar. Proszę wstawić cyfry na zegarze.

To było proste zadanie, nieprzekraczające możliwości ucznia szkoły podstawowej. Ruth jednak nie dawała rady.

Pozbawiona pomocy Franka, z trudem pisała cyfry na tarczy, przerywając co chwila, aby zastanowić się nad poszczególną pozycją każdej z nich, tak jakby od prawidłowego wykonania zadania zależało jej życie. Być może w pewnym sensie tak właśnie było... W końcu z dumą wręczyła mi kartkę papieru jak uczeń prezentujący rodzicom celującą ocenę ze sprawdzianu. Spojrzałem na jej pracę i odnotowałem, że cyfry zostały umiejscowione prawidłowo. Oddałem kartkę.

- Teraz proszę narysować wskazówki na godzinie drugiej czterdzieści pięć.

Moja prośba wzbudziła w niej niepokój. Oczy Ruth zboczyły ku zegarowi nad drzwiami. Przyglądała mu się przez chwilę, zanim zabrała głos.

- Doktorze, nie wiem, co te rzeczy mają ze mną wspólnego. Nic mi nie jest, naprawdę. Nie wiem, o co chodzi mojemu mężowi.

- Pani Rubenstein, zdaję sobie sprawę, że to się wydaje trochę głupie, ale ten test naprawdę pomoże mi ustalić, co się dzieje. Czy mogłaby pani jednak narysować wskazówki na godzinie drugiej czterdzieści pięć?

Ruth zmierzyła mnie wzrokiem, ale byłem nieugięty.

Popatrzyła ponownie na swój rysunek i potrząsnęła głową, jakby sfrustrowana nielogiczną naturą mojej prośby. Zastanawiała się, jak wykonać zadanie.

- Którą godzinę pan chce?

- Druga czterdzieści pięć.

W ciągu następnej minuty wysiłek umysłowy przy próbie ustalenia pozycji wskazówek stawał się coraz bardziej widoczny. Postukiwała długopisem w papier. W końcu zaśmiała się nerwowo.

- Nigdy nie byłem dobra w matematyce - oświadczyła.

Nie miałem serca tłumaczyć jej, że to zadanie miało więcej wspólnego ze zdolnościami wizualnoprzestrzennymi i funkcjami wykonawczymi niż z matematyką. Test z zegarkiem jest podstawowym sprawdzianem: jeśli go wykonasz prawidłowo, są ogromne szanse na to, że nie masz Alzheimera. Stanowi również wielce znaczący wskaźnik tego, jak będziesz sobie radził za kierownicą samochodu. Pragnąłbym, aby Wydział Ruchu Drogowego także przeprowadzał ów sprawdzian.

Czekałem cierpliwie, aż Ruth skończy. Wreszcie po kilku minutach narysowała małą wskazówkę skierowaną na cyfrę dwa. Potem, jak tysiące innych pacjentów z upośledzeniem pamięci, umieściła wskazówkę minutową pomiędzy czwartą a piątą, zamiast przy dziewiątej.

Przekonana, że ponownie zdała egzamin, spojrzała na mnie z satysfakcją. Gdy zerknąłem na jej męża, stało się dla mnie jasne, że nie podziela tego entuzjazmu. W jego oku pojawiła się łza, którą szybko wytarł, zanim spłynęła po policzku.

Ruszyłem niezwłocznie z następnym zestawem testów pamięciowych, nie komentując wyniku poprzedniego.

Przez chwilę wyglądała na rozczarowaną moim brakiem reakcji, za wcześnie jednak było na podsumowanie.

- W porządku, pani Rubenstein, powiem trzy słowa i proszę, aby je pani zapamiętała. Jabłko, książka, płaszcz...

Teraz proszę powtórzyć.

Powtórzyła dwa z trzech. Pięć minut później prawie na pewno nie pamiętała już żadnego.

Poprosiłem, by przeliterowała słowo "świat". Zrobiła to szybko i prawidłowo. Uśmiech, który pojawił się na jej twarzy, mówił: przecież tłumaczyłam panu, że nic złego się ze mną nie dzieje.

- Czy może pani teraz przeliterować je wstecz? - zapytałem.

Spojrzała na mnie morderczym wzrokiem, którego wcześniej zakosztował jej mąż.

- Doktorze, nie rozumiem, po co to wszystko jest potrzebne. Jestem całkowicie zdrowa.

Powtórzyłem swoją prośbę i znów zaczęła się męczyć; ostatecznie była w stanie podać we właściwej kolejności tylko dwie z pięciu liter. Kolejny test pamięciowy polegał na zanotowaniu przez pacjenta nazwy tylu czworonożnych zwierząt, ile tylko da radę w ciągu minuty. Zazwyczaj w tym teście funkcji wykonawczych badani są w stanie wymienić ponad dziesięć nazw. Mój pięcioletni syn potrafiłby pewnie podać ich dwa razy tyle. Ruth wymieniła tylko sześć i napisała "kot" dwa razy.

Zrobiliśmy jeszcze kilka testów i poprosiłem Franka, aby udał się ze mną do poczekalni, gdyż chciałem przeprowadzić bardziej szczegółowe badanie fizykalne. Nie kwapił się do wyjścia, dopóki żona nie posłała mu uspokajającego uśmiechu.

- W porządku, kochanie. To po prostu część badania - powiedziała.

Na korytarzu otwarcie zadałem Frankowi kilka trudnych pytań dotyczących Ruth. Nauczyłem się przez lata, że jest wiele spraw, których członkowie rodziny nie chcą ujawnić w

obecności osoby, u której podejrzewa się demencję.

- Czy zrobiła coś niebezpiecznego? - zapytałem.

- Co pan ma na myśli, doktorze?

- Na przykład nie zakręciła wody w kranie lub zostawiła włączoną kuchenkę?

- Chyba kilka razy spaliła obiad, ale nigdy nie była z niej dobra kucharka. - Próbował żartować.

- Czy rozbiła samochód lub miała jakąś stłuczkę?

U pacjentów z demencją odnotowuje się bardzo wysoki odsetek wypadków samochodowych, z których niewiele jest zgłaszanych. Frank kiwnął głową.

- Czy zachowywała się dziwnie, czy zauważył pan u niej jakąkolwiek zmianę w zachowaniu?

- Jest trochę bardziej podejrzliwa niż kiedyś. Któregoś dnia wyszedłem do baru z kilkoma znajomymi. Gdy wróciłem do domu, złapałem ją na przeszukiwaniu mojego portfela. Zapytałem, co robi, a ona oskarżyła mnie, że spotykam się z inną kobietą. Doktorze, musi pan wiedzieć, że ja nigdy, przenigdy czegoś takiego bym nie zrobił!

Pokiwalem głową i poprosiłem Franka, aby został w poczekalni. Wróciłem do gabinetu dokończyć badanie pani

Rubenstein. Przebrała się w szlafrok jednorazowy i siedziała na leżance, czekając na mnie.

- Doktorze, naprawdę myślę, że nic mi nie jest - stwierdziła stanowczo.

Popatrzyła, szukając w mojej twarzy potwierdzenia bądź zaprzeczenia. Nauczyłem się jednak nie okazywać wątpliwości: gdybym grał w pokera, pewnie zarobiłbym fortunę.

- Co powiedział panu mój mąż? - zapytała. - Nie rozumiem, dlaczego tak się o mnie martwi.

- On panią kocha, pani Rubenstein i niepokoi się o pani zdrowie - odparłem z uśmiechem. - Tak przy okazji, jak długo jesteście małżeństwem?

- Zbyt długo, doktorze. - Zaśmiała się. - Poznaliśmy się w Europie podczas wojny.

- Ach, tak? To było trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt lat temu? - Chciałem, by spróbowała samodzielnie to obliczyć.

- Zbyt długo, doktorze, zbyt długo! - Wzruszyła ramionami.

Znowu się do niej uśmiechnąłem, zastanawiając się, czy kiedykolwiek dojdę do punktu, w którym zapomnę, jak długo jestem żonaty. Zdawałem sobie sprawę, że ta próba żartu była z jej strony tylko fortelem mającym ukryć fakt, że tak naprawdę nie miała pojęcia. Mogła być zameżna od lat dziesięciu lub stu.

- Muszę przyznać, pani Rubenstein, że podzielam niektóre obawy pani męża dotyczące pani pamięci.

Pokiwała głową i wyciągnęła rękę, aby położyć ją na mojej dłoni w uspokajającym geście.

- Och, doktorze, jestem po prostu zmęczona. Naprawdę mam dużo na głowie.

- To może być przyczyną, Ruth, ale trochę się martwię, że nie tylko w tym problem. Pozwoli mi pani wykonać więcej testów?

- Ale, doktorze, czy to konieczne? Testów na co?

- Ruth, poczuję się lepiej, jeśli pozwoli mi pani przeprowadzić kilka innych testów - nalegałem.

- Jeśli pan uważa, że to niezbędne... - zgodziła się niechętnie.

- Ruth, od jak dawna mąż niepokoi się o pani zdrowie? - kontynuowałem "śledztwo".

- Nie wiem, doktorze. Ciągle mi powtarza, że moja pamięć nie jest tak dobra jak kiedyś. No pewnie, że nie... - Wskazała na siebie, uśmiechając się. - Proszę na mnie spojrzeć: widzi pan starszą panią!

Rozbawiła mnie jej szczerłość. Nawet gdy wszystko inne zawodziło, wciąż zachowała poczucie humoru. Ale jej mniemanie było błędne: wiek tak naprawdę nie ma nic wspólnego z pamięcią, poważne problemy z nią nigdy nie są oznaką normalnego starzenia. Ludzie zakładają, że te dwie rzeczy się łączą, ponieważ utożsamiają takie kłopoty z częścią naszej starości. Tymczasem upośledzenie pamięci wcale nie jest naturalne i zawsze należy sprawdzić jego przyczyny.

- Nie jest pani aż tak stara - powiedziałem. - Prawdę mówiąc, gdybym nie znał pani wieku, dałbym pani ze dwadzieścia lat mniej!

- Cóż, dziękuję panu, doktorze - odrzekła.

Wydawało mi się, że się zaczerwieniła.

Skończyłem badanie fizykalne i wyszedłem, aby mogła się ubrać.

Kiedy wróciłem - już w towarzystwie Franka - zauważyłem, że podczas mojej nieobecności nastrój Ruth uległ zmianie. Wyglądała na przestraszoną, wręcz zdesperowaną.

- Doktorze, te testy, które pan zrobił... wszystkie są nedorzeczne. Mam się dobrze, prawda? Po prostu ostatnio jestem trochę przemęczona. - Pragnęła, bym ją uspokoił, żebym potwierdził, iż nie ma powodu do obaw.

Ale jej oczy mówiły co innego. Ona wiedziała, że problem istnieje. Ludzie z reguły wiedzą.

Nie mogłem znieść tego spojrzenia i spuściłem wzrok na podłogę między nami.

Zrozumieli oboje.

Czasami, gdy przynoszę złe wiadomości, pojawiają się łzy. Tym razem była tylko cisza. Wolałbym łzy. Przynajmniej można jakoś zareagować. Na przykład sięgnąć po chusteczki i podać je. Można pociesząco położyć dłoń na czyimś ramieniu. Cisza jest najgorsza. W szkole medycznej uczą cię, abyś przekazując złe wiadomości, był zdystansowany, ale i współczujący. Słuchaj i wspieraj, lecz nie angażuj się.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić.

Jestem tylko człowiekiem i ze swoimi pacjentami nawiązuję bliskie kontakty. Poznaje ich rodziny, słucham opowieści o dzieciach i wnukach. Uczestniczę w świętowaniu osiągnięć i asystuję w trudnych chwilach. To część zawodu, którą uważam za najbardziej upajającą - praca nad budowaniem relacji lekarzpacjent, dzięki której moi podopieczni mogą czuć się swobodnie, dzieląc się ze mną wszystkim i radościami, i problemami. Gabinet lekarza powinien stanowić bezpieczne miejsce, scenę, na którą możesz wypuścić swoje demony i swoje anioły, wyrzucić z siebie najgłębsze obawy i najskrytsze sekrety. Ale w zamian muszę być szczery. To akurat bywa najgorszą stroną mojego zawodu.

- Przykro mi, pani Rubenstein. Testy pamięciowe, które zrobiliśmy, wskazują, że pewne obszary pani pamięci nie pracują tak dobrze jak dawniej. Kolejne badania dadzą nam lepsze rozeznanie w tym, co się dzieje. - Staralem się być delikatny.

Obojętny wyraz ich twarzy powiedział mi, że nie zrozumieli.

- Pani Rubenstein. - Spróbowałem raz jeszcze, tym razem mniej oględnie. - Myślę, że ma pani jakiś rodzaj demencji. To określenie medyczne, którego używamy, gdy ktoś ma problemy z pamięcią.

Cisza. Żadnych łez. Słyszałem, jak wskazówka sekundowa tyka na zegarze nad drzwiami, tym samym, na który

Ruth patrzyła, robiąc test. Frank w końcu przerwał ciszę.

- Czy to Alzheimer, doktorze? - spytał. Nagle stał się kapitanem statku pozbawionego steru na obcych wodach. Nawigował bez instrumentów, prowadził bez mapy.

- Chciałbym zlecić kilka innych testów, panie Rubenstein, ale Alzheimer jest najczęstszą formą demencji i testy pamięciowe, które przeprowadziłem do tej pory, sugerują taką diagnozę.

Frank skinął ponuro głową. Ponieważ nie mieli żadnych innych pytań, zacząłem opowiadać o chorobie Alzheimera, o tym, jak wpływa na komórki mózgowe. Wy tłumaczyłem im, że choroba będzie skutkować dalszą utratą pamięci i prawdopodobnie nawet zmianami w zachowaniu. Próbowałem ich pocieszyć, mówiąc, że jest kilka rodzajów leków, które mogą

opóźnić objawy i że pogarszanie się stanu zdrowia będzie następowało, miejmy nadzieję, stopniowo. Poinformowałem Ruth, że powinna regularnie ćwiczyć pamięć w sposób, który jak wykazano ostatnio, wspomaga ją. Na zakończenie powiedziałem, że istnieje wysokie prawdopodobieństwo, iż pewnego dnia umrze z demencją, ale nie z powodu demencji.

Niewielka pociecha dla kogoś, komu dopiero co powiedziano, że jego życie nigdy już nie będzie takie samo. Komu właśnie zawalił się świat.

Ta rozmowa nimi wstrząsnęła. Milczeli. W końcu przerwałem ciszę, pytając, czy chcą się jeszcze czegoś dowiedzieć. Potrzęsnęli głowami. Opuściłem pokój i poszedłem do swojego gabinetu.

- Doktorze! - Frank ruszył za mną korytarzem, aby zadać pytanie, na które wszyscy pacjenci i ich najbliżsi chcą znać odpowiedź. - Ile czasu jej zostało?

- Prawdę mówiąc, panie Rubenstein, nie wiem.

- Ale, doktorze, z pewnością ma pan jakieś wyobrażenie, ile to jeszcze potrwa...

- Ma stosunkowo wczesne stadium demencji, podejrzewam, że prawdopodobnie jakieś trzy do pięciu lat, zanim straci umiejętność dbania o samą siebie.

Moja odpowiedź spotkała się z niedowierzaniem, szybko zastąpionym przez gniew. Tak jakbym to ja był winien jej chorobie, a nie jedynie postawił diagnozę. Wszystko, czego w tym momencie potrzebował Frank, to broń, aby zastrzelić posłańca.

Jak już wspomniałem, czasami nienawidzę swojej pracy.

Rozdział piąty

Jeden kot prowadzi do drugiego.

Ernest Hemingway

Nad pianinem, w małym saloniku wydzielonym z holu wisi duży obraz Henry'ego Steere'a. Jest to przytulne miejsce, w porze popołudniowej oświetlane promieniami słońca. Ale nie tylko te elementy decydują o magii tej niewielkiej przestrzeni. Gdy zawędrowałem do owego pokoiku podczas swojej pierwszej wizyty w Steere House, salonik wypełniało preludium Chopina wygrywane na pianinie, chociaż nikogo poza mną nie było w pomieszczeniu. Rozglądałem się, oczekując, że zobaczę jednego z bardziej sprawnych pacjentów, bądź kogoś z rodziny usadowionego przy klawiaturze i ćwiczącego. Tymczasem były tam jedynie Billy i Munchie, dwa koty, mieszkańcy saloniku, wpatrujące się we mnie z zacisza ławy stojącej przed pianinem.

Dziwaczność owej sceny - dwa koty siedzące na ławie, gdy muzyka płynęła znikąd - była przytłaczająca do momentu, gdy uświadomiłem sobie, że pianino jest instrumentem samogrającym.

Dziś wykradłem kilka minut na przerwę pomiędzy obchodami. Usadawiłem się w jednym z wygodnych foteli w saloniku i cieszyłem muzyką. Zastanawiałem się również nad potrzebą umilenia codzienności w domu opieki - ostatniego domu większości naszych pacjentów. W Steere House efekt ten prawdopodobnie osiągnęliśmy dzięki rodzinie kotów, przeskłonemu dziedzicowi i muzyce klasycznej wydobywającej się z pianina, granej przez wirtuoza, którego nigdy nie widzieliśmy.

Jak na zawołanie jeden z kotów z saloniku zaczął się ocierać o moje nogi. To był Munchie, bardzo nietypowo wyglądający zwierzak: szaroczarny, z plamkami w kolorze kasztanowym i brązowym, jak na ekspresjonistycznym, trochę nieudanym obrazie. Miauczał głośno, domagając się uwagi.

Ostrożnie wyciągnąłem rękę i podrapałem go za uszami. To przestawiło dźwignię na opcję "mruczenie" i kot z jeszcze większym zapalem tarł bokiem o moje spodnie.

- Nie jesteś taki zły - powiedziałem. - Przynajmniej nie atakujesz mnie jak inne koty.

Munchie spojrzał, a następnie zwinął się w kłębek na moich stopach. Gdy mościł się do snu, przyszedł Billy, jego czarnobiały kuzyn o nieco bardziej pospolitym wyglądzie i wskoczył mi na kolana. Zrobił dwa kółka, nim zwinął się w kłębek. Potem zerknął na mnie,

jakby chciał powiedzieć:

„Nie sądziłeś chyba, że możesz się wymigać od głaskania?”.

Wtedy zabrzączał mój pager. Skrzywiłem się.

- Wybaczcie, chłopaki - rzuciłem, wstając. - Mary mnie wzywa. Chyba muszę sprawdzić, co słychać u pani Rubenstein na górze.

Munchie czmychnął, a Billy, zeskoczywszy z moich kolan, rzucił mi spojrzenie emanujące takim oburzeniem, jakie tylko koty potrafią okazać. Poczulem się tak, jakbym naprawdę go okantował. Ogarnęło mnie poczucie winy, więc schyliłem się i zaproponowałem delikatne pieszczoty. Przyjął je łaskawie, jednak już po kilku sekundach przestał się nimi interesować i powędrował w poszukiwaniu swojego przyjaciela. Powiedzenie, że kot jest niestały, to jak stwierdzenie, iż śnieg jest biały.

Gdy wyszedłem z saloniku, zauważyłem, że oba koty barszkują na dziedzińcu; ganiały się jak dwójka dzieciaków bawiąca się w berka. O mnie już zdążyły zapomnieć. One żyją chwilą i umieją się nią cieszyć. Moje życie ograniczają pagery, nieprzekraczalne terminy, umówione spotkania i obowiązki. W tamtym momencie egzystencja kota wydawała mi się godna pozazdroszczenia.

Wsiadłem do windy i odruchowo popatrzyłem na kąt z tyłu, podświadomie spodziewając się ujrzeć pierwszego kota, który mieszkał w Steere House, Henry' ego, zwiniętego w kłębek na podłodze. To on i jego następcy uczynili Steere

House tak innym od reszty zakładów opieki, jakby go "udomowili" - ta cała menażeria kotów, królików i ptaków.

Nie zawsze tak było. Zanim nie nadeszły lata osiemdziesiąte, nie istniała terapia z udziałem zwierząt. Dla czworonogów nie było miejsca w instytucjach opieki zdrowotnej.

Po co wprowadzać "niehigieniczne stworzenie" do sterylnej środowiska? Z czasem jednak niektórzy naukowcy poparli tezę, że zwierzęta mają korzystny wpływ na ludzkie zdrowie i psychikę. Badania zaczęły w coraz większym stopniu potwierdzać ten pogląd. Szczególnie pacjenci domów opieki - z zanikiem pamięci lub bez - dzięki obecności zwierząt stawali się mniej przygnębieni i samotni. Intuicja podpowiada mi, że jest w tym sens. Większość ludzi kocha zwierzęta. Dlaczego nie mieliby chcieć ich towarzystwa w swoim ostatnim domu?

Pragnąłbym powiedzieć, że zgoda na pobyt zwierząt w Steere House była wynikiem takich badań, ale prawdę mówiąc, myślę, że zawdzięczamy ją pewnemu małemu uparciuchowi, który zwał się Henry. Był, w sensie dosłownym, pierwszym mieszkańcem Steere House - i na dodatek tym, którego dom opieki najgorliwiej próbował się pozbyć.

Od czasu powstania ponad wiek temu Steere House przeszedł wiele przeobrażeń, rozrastając się, aby sprostać potrzebom społeczności. Gdy stawiano gmach, w którym się dziś mieści nasz zakład, robotnicy zauważyli, że jakiś bezdomny kot przywłókł się na miejsce budowy i zamieszkał w nieukończonym jeszcze budynku. Spostrzegli, że zwierzak podkrada im jedzenie. Potem na jakiś czas zniknął im z oczu - wydawało się, że opuścił teren budowy. Objawił się jednakże wkrótce po ceremonii otwarcia dzisiejszego domu opieki, aby poddać budynek swojej własnej inspekcji. Pewnego wczesnego poranka przywędrował z powrotem do placówki i widać spodobało mu się to, co zobaczył, bo natychmiast ulokował się w głębokim fotelu. Z początku personel próbował go przegonić, jednak bezskutecznie. Codziennie wracał, niezrażony, wchodząc przez przeszkłone, rozsuwane drzwi do saloniku. "Byłem tu pierwszy", zdawał się sugerować każdym machnięciem ogona.

Podobnie jak mnie starcia z Oskarem o miejsce przy biurku, ówczesnemu zarządcy również nie udało się wygrać sporu ze zwierzęciem. Ostatecznie wytrwałość kota opłaciła się i pracownicy zrezygnowali z przepędzania czworonoga. Kierownictwo Steere House zdecydowało się zaakceptować nieproszonego gościa. Nadano mu nawet imię otrzymał je po fundatorze budynku, Henrym Steere, tym, którego podobizna spoglądała na ulubiony fotel kota.

Tak więc Henry został i przez następne dziesięć lat był ulubieńcem zarówno personelu, jak i podopiecznych. Aż do swoich ostatnich dni podróżował windami w górę i w dół, zawsze w poszukiwaniu przytulnego miejsca, gdzie mógł się rozciągnąć w ciepłej plamie słońca. Ale podobnie jak w przypadku wszystkich innych rezydentów Steere House starość w końcu dopadła i kota. W ostatnim roku swojego życia zaczął tracić wzrok. W rezultacie biedactwo obijało się o ściany lub zamknięte drzwi. Z czasem jego zachowanie stało się nieobliczalne. Oddalał się z placówki i błąkał na zewnątrz. Organizowano ekipy poszukiwawcze i kot, którego kiedyś wyganiano, był teraz, jak na ironię, sprowadzany z powrotem do ośrodka. W inne dni wchodził po prostu do windy, zwijał się w kłębek w kącie i przez cały dzień jeździł pomiędzy piętrami, setki razy wjeżdżając na górę i zjeżdżając w dół.

- Czy pan wie, że tam u państwa w windzie siedzi kot? - pytali odwiedzający.

Personel odpowiadał z uśmiechem i delikatnie uspokajał, że to tylko "Henry zachowuje się jak Henry". Prawdę mówiąc, wielu pracowników po cichu zastanawiało się, czy u kota nie rozwinęła się demencja, tak jak u wielu rezydentów ludzi, z którymi mieszkał. Jego zachowanie zaczynało uwiarygodniać tę diagnozę.

Pod koniec swoich dni Henry miał problemy z jedzeniem, nie trzymał moczu i zaczął tracić na wadze. Niektórzy w ośrodku zaczęli zadawać pytanie, czy nie powinien zostać

uśpiony. Kilkoro członków personelu z poświęceniem się nim opiekowało, próbując odwiec podróż do weterynarza - dla kota byłaby to wycieczka bez powrotu. Myślę, że fakt, iż personel odmówił zaprzestania opieki nad niedomagającym zwierzęciem, był jedyną właściwą decyzją. Henry nie różnił się od wielu pacjentów, którymi zajmowano się tu na co dzień.

Na szczęście pracownicy nie zostali zmuszeni do podjęcia trudnej decyzji o uśpieniu kota. Jakby chcąc wyświadczyć im przysługę, Henry pewnej nocy ułożył się do snu i po prostu się nie obudził. Pogrzeb odbył się kilka dni później i brał w nim udział zarówno personel, jak i rezydenci.

To był rodzaj pożegnania, z którego zadowolona byłaby nawet głowa państwa. Jeden z członków personelu własnoręcznie wykonał trumnę z drewna, inny wygłosił mowę pogrzebową. Niejedna łza popłynęła. Gdy uroczystość dobiegła końca, a ludzie wycierali oczy, Henry'ego pochowano na terenie położonym za budynkiem ośrodka.

Ten kot zmienił obyczaje panujące w Steere House. Dzięki niemu zakład opieki stawał się w coraz większym stopniu przyjazny zwierzętom i chyba również coraz bardziej był domem dla ludzi. Przeczuwając utratę swojego ulubieńca, pracownicy i co bardziej sprawni rezydenci zaczęli zawzięcie zabiegać u kierownictwa o następcę Henry'ego.

Główny administrator z początku się opierał, w końcu jednak uległ i personel zaczął szukać potencjalnych kocich kandydatów. Oskar i Maja zostali znalezieni za pośrednictwem ogłoszeń prasowych i zamieszkali na drugim piętrze placówki. Billy i Munchie były "kotami z odzysku" - ich właściciel zmarł i pielęgniarka hospicyjna przyniosła je do ośrodka. I są jeszcze Chico i Molly, adoptowane na oddziale dla osób z łagodną demencją, znajdujące się na parterze.

W sumie Henry'ego zastąpiło sześć kotów oraz garstka innych zwierząt.

Być może, sprowadzając tu taką liczbę zwierząt, liczyliśmy, że to właśnie one zmienią ośrodek w dom "prawdziwszy". Ale zaczynałem uważać, że koty nauczyły wielu z nas, iż jedynie rodzina sprawia, że dane miejsce staje się domem.

Rozdział szósty o tym, jak ciepły naprawdę jest dzień, świadczy długość śpiącego kota.

Charles J. Brady

Gdy pacjent jest nieuleczalnie chory, lekarze zwykle zaczynają rozmowę dotyczącą ograniczania opieki. Ta wymiana zdań prowadzi do dyskusji o pierwszej pomocy w przypadku niewydolności oddechowo-kръżeniowej - reanimować bądź nie reanimować pacjenta, jeśli zatrzymuje się jego serce lub ustaje oddychanie. Na ogół dotyczy również tak trudnych kwestii jak ewentualność zaprzestania badań i leczenia oraz tego, czy dalsza opieka medyczna powinna zostać zawężona jedynie do działań podnoszących komfort życia pacjenta.

W przypadku gdy pacjent cierpi na nieuleczalną chorobę, taką jak nowotwór, dyskusje na temat opieki podnoszącej komfort jego życia są stosunkowo konkretne. Chory skarża się na bóle bądź nudności. Zdarza się, że gwałtownie chudnie i traci apetyt. Jego skóra może stawać się żółta z powodu żółtaczk. Niekiedy nawet jego organy przestają pracować. O podobnych objawach - widocznych i wyraźnych - choć sytuacja jest trudna, łatwo jest lekarzowi rozmawiać z członkami rodziny. Propozycję, aby uśmierzyć ból nawet za cenę skrócenia życia, akceptuje większość ludzi.

Robimy tak, gdy nie można zaoferować innego sposobu leczenia. Jednak nie dotyczy to demencji.

Mimo iż choroby takie jak Alzheimer również są uważane za nieuleczalne, postępują w znacznie wolniejszym tempie. Tak jak erozja, która zmienia krajobraz plaży, ich skutki obserwuje się raczej na przestrzeni miesięcy i lat niż tygodni.

Ponieważ pacjent z reguły nie skarża się na ból bądź inny dyskomfort fizyczny, dyskusje są bardziej złożone i abstrakcyjne, trudniejsze z punktu widzenia etyki. Pracownicy służby zdrowia i członkowie rodziny zmuszeni są borykać się z decyzjami, czy zrezygnować z antybiotyków przy potencjalnie uleczalnym zapaleniu płuc lub rozstrzygać, kiedy nie jest już wskazane prowadzenie dalszych badań diagnostycznych w przypadku dolegliwości takiej jak anemia lub brak apetytu. Lekarze dodatkowo muszą zmagać się z pytaniem, czy badania mają jeszcze sens. Czy takiego pacjenta należy leczyć, nawet jeśli ma nowotwór lub jakąś inną poważną chorobę? Jeśli nie, to po co zlecać badanie?

Chorobę Alzheimera można porównać do jazdy kolejką górską - ma swoje wloty i upadki. Po okresie, gdy występuje w ostrej postaci, czasem pojawia się częściowa poprawa,

co może dać rodzinie zwodnicze poczucie nadziei. Miałem już do czynienia z bliskimi pacjentów, mówiącymi mi na przykład: "Wiem, że jeśli tylko wyleczymy zapalenie płuc, moja mama poczuje się lepiej". "Jeśli tylko pomożemy tacie pokonać tę górkę, jestem pewien, że zobaczymy jakąś poprawę". Rodziny zaprzątnięte są myślą, że jeśli pacjent zostanie wysłany do szpitala, gdzie wyleczą jego zapalenie płuc (bądź infekcję gronkowcem czy złamanie biodra), odzyska w końcu zdrowie. Ich uwadze umyka fakt, że przewlekła choroba bezlitośnie postępuje, nawet jeśli uda się wyleczyć infekcję, przy czym rekonwalescencja zwykle pozostawia pacjenta znacznie słabszym i mniej przygotowanym do walki z następnym wyzwaniem.

Jednak określenie momentu, w którym należy zrezygnować z leczenia, jest niezwykle trudne - stanowi problem moralny, wiąże się z określonym dylematem etycznym dla lekarza, dla krewnych zaś także z kwestiami uczuciowymi.

Tak właśnie było w przypadku Franka i Ruth Rubensteinów.

- Doktorze, musi pan natychmiast zobaczyć moją żonę. - Ton Franka przestraszył Oskara wylegującego się na blacie i kot uciekł w bezpieczne miejsce. Znalazł je pod biurkiem przy nogach Mary. Miałem ochotę się do niego przyłączyć.

- W czym mogę panu pomóc, panie Rubenstein? - zapytałem.

- Chodzi o Ruth. Jest dzisiaj bardziej zdezorientowana niż wczoraj. I nie je. Martwię się o nią.

- Niech pan pozwoli mi dokończyć kilka spraw tu, w dyżurce i za minutę przyjdę.

Moja odpowiedź spotkała się z gniewnym spojrzeniem i przez chwilę myślałem, że będzie czekał, patrząc mi na ręce, aż skończę to, co miałem do zrobienia, ale jednak odwrócił się i odszedł, mamrocząc coś pod nosem. Starałem się pamiętać, że po prostu jest zdenerwowany stanem żony, i manifestuje niepokój gburowatością

- I jak, zechcesz mi powiedzieć, o co chodzi? - spytałem

Mary, gdy zniknął.

- Z Ruth nie jest ostatnio najlepiej, David. Przestała jeść i schudła kilka kilogramów. On pewnie się martwi, że nie traktujemy utraty jej wagi wystarczająco poważnie.

- O jakiej utracie wagi dokładnie mówimy?

- Około pięciu kilogramów.

Zmarszczyłem brwi. Wielu moich pacjentów mogłoby sobie pozwolić na zrzucenie kilku kilogramów bez uszczerbku dla zdrowia, a niektórym nawet pomogłoby w walce z cukrzycą, nadciśnieniem lub zbyt wysokim poziomem cholesterolu, ale nie dotyczyło to pani Rubenstein. Gdy trafiła do domu opieki, przy wzroście stu pięćdziesięciu siedmiu

centymetrów ważyła nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów. Zatem w tym przypadku ten ubytek był poważny.

- Myślisz, że coś jej dolega?

- Podejrzewam, że wszystko jest możliwe, ale szczerze mówiąc, uważam, że po prostu pogłębia się jej demencja. - Mary westchnęła. - Tak przy okazji, Frank prosił o skierowanie do gastroenterologa. Martwi się, że ona może mieć raka jelita.

Pomysł wykonania kolonoskopii przez gastroenterologa w celu zbadania utraty wagi byłby z pewnością trafiony, gdyby chodziło o zdrowego człowieka, jednak w przypadku Ruth i jej gwałtownie pogarszającego się stanu umysłu perspektywa poddania jej wielorakim, nieprzyjemnym badaniom i procedurom nie była najlepszym rozwiązaniem.

- Czy rozmawialiśmy z Frankiem na temat ograniczenia leczenia jego żony? - spytałem.

- David, boję się nawet o tym pomyśleć, a co dopiero zrobić! Wyobrażasz sobie jego reakcję? To graniczy z samobójstwem!

Westchnąłem i zerknąłem na Oskara zwiniętego w kłębek w kącie pod biurkiem.

- Masz tam trochę miejsca dla mnie?

- Nic z tego, David. Ja rozmawiałam z Frankiem ostatnim razem. Teraz twoja kolej.

Moje pierwsze spotkanie z państwem Rubenstein zakończyło się tak źle, że byłem lekko zdziwiony, gdy zobaczyłem, iż wrócili. Frank sprawiał wrażenie rozgniewanego, a Ruth wystraszonej - razem stanowili klasyczny przykład zaprzeczenia. Zastanowiłem się, czy odwiedzili innych lekarzy w nadziei, że usłyszą odmienną niż moja opinię. To normalne. Pewnie zrobiłbym tak samo. A może oni zdecydowali się nic z tą diagnozą nie robić? Jednakże chowanie głowy w piasek nie załatwia problemu, o czym każdy się w końcu przekonuje. Do mojego gabinetu Rubensteinowie powrócili mniej więcej po roku i potem już przychodzili regularnie.

Przez pewien czas ich wizyty w przychodni były udane.

Z każdym kolejnym spotkaniem para wydawała się godzić z diagnozą, jaką postawiłem, i robić wszystko, co w ich mocy, aby jakoś sobie poradzić z sytuacją, w jakiej się znaleźli.

Stan Ruth jednak się pogarszał, nie umiała już tak zręcznie jak na początku ukrywać zaników pamięci. Wstydząc się tego, zaczęła unikać swoich przyjaciół. W rezultacie dopadła ją depresja. Lekarstwa na chwilę pomagały, ale nie hamowały ciągłego postępowania ubytku funkcji poznawczych.

Ruth z coraz większym trudem radziła sobie z pracami domowymi. Wielokrotnie

przypalała posiłki i zapominała proste przepisy. Jej mąż zaczął zamawiać jedzenie lub kupować gotowe dania w sklepie spożywczym. Gdy już nie była w stanie sprzątać, wynajął pomoc do domu.

Pomimo pogarszającego się stanu wciąż tworzyli pełen miłości związek, o jakim można marzyć. Cierpliwość, jaką Frank okazywał żonie, była wzruszająca - świadczyła o głębokiej miłości, która utrwałała się przez lata. Gdy Ruth zapominała czyjeś imię lub jakieś zdarzenie, on delikatnie ją nakierowywał. Ubóstwiał ją nieprzerwanie, służył pomocną dłonią, gdy wstawała z krzesła, lub swoim ramieniem, gdy szli korytarzem. Pewnego dnia, chyba rok po pierwszej wizycie, Frank odciągnął mnie na bok, gdy już wychodzili z mojego gabinetu. Jak młodzik, który bojaźliwie po raz pierwszy kupuje prezerwatywy, spytał mnie, czy mam jakieś lekarstwo na impotencję. Ich pożycie intymne nigdy nie było lepsze, jak wyjaśnił speszony, ale miał problemy ze sprostaniem potrzebom seksualnym Ruth - co nie jest niezwykle w przypadku par małżeńskich, w których jedna osoba cierpi na demencję. Tego dnia opuściłem gabinet, uśmiechając się do siebie. Większość nie dopuszcza do siebie myśli, że nasi rodzice i dziadkowie uprawiają seks, wydaje nam się, że ta czynność zarezerwowana jest jedynie dla osób młodych i pełnych energii. Śmieszne, jak mało wiemy (lub chcemy wiedzieć).

Sprawność umysłowa Ruth pogarszała się w miarę upływu czasu, a Frank miał narastające problemy z zapewnieniem jej właściwej opieki i sprostaniem codziennym obowiązkom. Podczas kolejnych wizyt lekarskich on także wyglądał na coraz bardziej wyczerpanego i zaniedbanego.

Opieka nad żoną wymagała od niego praktycznie całodobowej uwagi. Obciążenie zaczęło dawać mu się we znaki.

To przecież nie był młody człowiek... Biorąc pod uwagę jego stan, zacząłem delikatnie sugerować, aby zastanowił się nad wynajęciem pomocy na pełen etat lub umieścił Ruth w domu opieki. Mogłem przewidzieć odpowiedź.

- Jak pan śmie sugerować mi, abym oddał żonę do domu opieki? Uważa pan, że sam nie potrafię się nią zająć?

Czy wygląda na zaniedbaną?

U gryzłem się w język, by nie wyjawić, co myślę naprawdę i jeszcze bardziej go nie rozsierdzić i równocześnie nie zranić. Poprosiłem, aby zastanowił się nad zatrudnieniem stałej opiekunki, co pozwoliłoby mu choć od czasu do czasu wyjść z domu. Ta sugestia nie spotkała się z dużo lepszą reakcją.

- Dlaczego Medicare nie może za to zapłacić? Pan myśli, że ile ja mam pieniędzy?

Z przykrością odpowiedziałem mu, że państwowy system opieki zdrowotnej nie przewiduje dopłat do opiekunki w takich sytuacjach, a wynajęcie kogoś i tak wypadnie taniej niż pobyt Ruth w domu opieki. Nie posiadał się z oburzenia.

- Dlaczego, do diabła, latami wpłacałem te wszystkie pieniądze do Medicare, skoro nic z tego teraz nie mam?! - wykrzyczał.

Zgadzałem się z nim, ale pretensje kierował do niewłaściwej osoby. A dawanie upustu złości może i przynosiło ulgę, lecz nie rozwiązywało problemu.

Mimo iż nie bardzo go było na to stać, kilka tygodni później Frank zatrudnił opiekunkę. Niestety, kłopoty się nie skończyły. Prawie trzy lata od dnia, w którym państwo Rubenstein po raz pierwszy weszli do mojego gabinetu, odebrałem telefon z izby pogotowia. Ruth miała zapalenie płuc i znalazła się w szpitalu. Dzięki antybiotykom zaczęła następować poprawa. Jednak już drugiego wieczoru pojawiła się u niej ogromna dezorientacja. Nie wiedząc, gdzie się znajduje, wstała w środku nocy z łóżka i zaplątała się w dren od kroplówki. Kiedy zaczęła chodzić po sali, niefortunnie upadła. Jakiś czas później asystentka pielęgniarki znalazła ją leżącą bezradnie na podłodze. Badanie rentgenowskie wykazało, że Ruth złamała biodro i potrzebna będzie operacja.

Sprawy miały się coraz gorzej. Podczas rekonwalescencji po zabiegu chirurgicznym Ruth przeżyła atak serca i jej stan zdrowia stał jeszcze bardziej niestabilny. Miała niskie ciśnienie krwi i z trudem oddychała. Gdy duszności się spotęgowały, poprosiłem Franka o rozmowę, należało bowiem przemyśleć decyzję dotyczącą dalszego postępowania. Powiedziałem mu, że jeśli dolegliwości będą się pogłębiały, konieczne będzie zaintubowanie, umożliwiające oddychanie. Czyli zrobilibyśmy coś, czego Ruth, jak kiedyś oświadczyła w moim gabinecie, nie chciała. Zasugerowałem, że może warto przestać ją męczyć i po prostu pozwolić na odejście. Pielęgowalibyśmy ją i zadbalibyśmy, aby nie odczuwała bólu.

Moje usilne prósy przeszły bez echa. W gardło pani Rubenstein została włożona rurka, mająca pomóc w oddychaniu i Ruth przewieziono na oddział intensywnej terapii. Kilka tygodni później stan jej zdrowia rzeczywiście uległ poprawie, potwierdzając słuszość uporu Franka. Niemniej jednak pacjentka była tak słaba, że nie mogła już wstawać z łóżka, nie wspominając o chodzeniu. Za zgodą męża została przeniesiona do Steere House.

Ruth spała w łóżku, pochrapując cichutko, gdy kilka minut po moim ostatnim spięciu z Frankiem wszedłem do jej pokoju. Mężczyzna pólleżał w rozkładanym fotelu, oczy miał przymknięte. Widocznie wcześniejszy poryw gniewu bardzo go zmęczył. Przysunąłem krzesło i także usiadłem. Może powinienem pozostawić ich na razie w spokoju, pozwalając na odpoczynek w świecie snu, jednak Frank nalegał przecież na szybkie podjęcie jakichś działań,

a i ja pragnąłem przedyskutować z nim kilka ważnych kwestii. Szturchnąłem go zatem delikatnie. Zadrżał i otworzył oczy. Wymamrotał coś pod nosem i wyprostował się w fotelu.

- Co się dzieje, panie Rubenstein? - spytałem.

- Proszę na nią spojrzeć, doktorze. Skóra i kości. Przychodzę tu każdego dnia w porze obiadowej, żeby ją nakarmić i mieć pewność, że zjada posiłek. Ale w ostatnich dniach nie mogę jej zmusić do przełknięcia czegokolwiek. - Wskazał na prawie nietkniętą grillowaną kanapkę z serem, leżącą na tacy w rogu pokoju. Pojemnik z sokiem jabłkowym również wydawał się nienapoczęty.

- Panie Rubenstein, pańska żona może teraz tracić na wadze z powodu demencji.

- Doktorze, jeśli jest pan tutaj, aby prosić mnie, bym ponownie rozważył przeniesienie Ruth do hospicjum, może się pan nie trudzić. W ogóle nie chcę o tym słyszeć. Już to przerabialiśmy.

- Tu nie chodzi o to, czy pana żona powinna być objęta opieką hospicyjną czy nie.

Widziałem w jego oczach determinację. Frank pełnił straż u bram jej zamku, a ja byłem przywódcą hordy najeźdźców. Nie ma co liczyć na porozumienie lub kompromis. Zdawałem sobie z tego sprawę i na razie mogło tak pozostać. Stan Ruth prawdopodobnie jeszcze nie uzasadniał takiej opieki, jednak rozwiązania wymagała inna kwestia.

Czy zasadne było zlecenie licznych testów i procedur medycznych, aby ustalić, dlaczego traci wagę?

Spróbowałem z innej strony.

- Panie Rubenstein, jak pan myśli, jak się czuje pana żona? - zapytałem.

To go zaskoczyło. Spodziewał się kolejnego szturmu na bramy zamku.

- Doktorze, wiem, że moja żona cierpi na straszną chorobę, ale nie jestem gotowy zrezygnować z walki o Ruth.

Ona wciąż mnie kocha i mój czas z nią jest ważny.

Ostrożnie formułowałem następną wypowiedź.

- Wiem, że pan bardzo się troszczy o żonę, ale powinienem powiedzieć, co myślę. Rozmawiał pan wcześniej z Mary o tym, żeby Ruth zbadał gastroenterolog w związku z jej chudnięciem. Nie sądzę, aby wysłanie jej do specjalisty miało coś zmienić. Skończy się na tym, że przejdzie mnóstwo badań. Niektóre z nich zapewne będą bardzo nieprzyjemne. Poza tym, nawet jeśli te badania wykażą, że żona ma raka, wie pan równie dobrze jak ja, że nie moglibyśmy się zdecydować na agresywną terapię. Nie przetrzymałaby tego.

W oczach Franka znowu pojawił się gniew. Przekroczyłem granicę i zareagował stosownie do tego.

- Doktorze, chcę, aby pan robił dla mojej żony wszystko, co chciałby pan, aby zrobiono dla pana żony lub dzieci. Jeśli bicie jej serca ustanie, chcę, aby pan je przywrócił. Gdy znowu zachoruje na zapalenie płuc, pragnę, aby natychmiast skierował ją pan do szpitala. Jeżeli potrzebuje specjalisty, żądam, aby pan ją do niego wysłał. Czy wyrażam się jasno?

- Zupełnie jasno, panie Rubenstein.

Podniosłem się i skierowałem ku drzwiom. Gdy do nich dotarłem, odwróciłem się i spojrzałem na niego i jego śpiącą żonę. Wbrew samemu sobie spróbowałem raz jeszcze przemówić mu do rozsądku.

- Panie Rubenstein, wiem, że bardzo kocha pan żonę... - Przerwałem na chwilę. Nie wiedziałem, jak daleko mogę się posunąć. - Czasami aktem najgłębszej miłości jest pozwolić komuś odejść - powiedziałem w końcu. - Proszę nie czynić z tego walki ze mną lub z kimś innym z personelu. Proszę myśleć o Ruth.

W recepcji zastałem Mary - czekała na mnie razem z Oskarem, który drzemał na swoim ulubionym miejscu.

- Jak poszło? - spytała.

- Bez zmian - odpowiedziałem.

Mary skinęła głową.

- Jutro zadzwonię do gastroenterologa i umówię wizytę - oznajmiła.

Wiedziała, czego chciał Frank i miała nadzieję, że uda mi się go od tego odwieść. Weszła do swojego gabinetu, aby zrobić notatkę na ten temat.

- To w niczym nie pomoże, prawda? - W jej głosie słychać było smutek.

- Nie, Mary, nie pomoże, ale on nie jest jeszcze gotowy, by to zrozumieć.

- Daj mu więc trochę czasu - powiedziała.

- Nie pozostaje nam nic innego... - Ja także czułem smutek. I zmęczenie.

Rozdział siódmy

Studiowałem wielu filozofów i wiele kotów.

Mądrość kotów jest nieskończenie większa.

Hippolyte Taine

To była zwyczajna środa i nic nie zapowiadało, że coś zacznie odbiegać od normy. Dzień jak co dzień... Tymczasem za biurkiem pielęgniarek w dyżurce na drugim piętrze odkryłem zupełnie nową twarz. Właściwie to była stara twarz - należała do kobiety, która, jak zgadywałem, miała około osiemdziesiątki. Owa pani, gustownie ubrana w jasnoniebieski kaszmirowy sweter, miała starannie nałożony makijaż i pomalowane paznokcie. Złote siwiejące włosy ściągnęła za uszami i upięła za pomocą kosztownie wyglądającej spinki.

- Doktorze, chciałabym przedstawić panu Louise

Chambers. Jest naszą nową recepcjonistką - powiedziała

Mary.

- Naszą czym? - Zdumiałem się. Na drugim piętrze nie było dotąd recepcjonistki; nie mieściła się w budżecie.

- To jedna z pacjentek, David - wyjaśniła Mary z rozbawieniem.

Zauważyłem, że Louise podnosi słuchawkę, chociaż telefon nie dzwonił, i mówi coś do aparatu. Przypomniałem sobie innego pacjenta, o którym opowiadała Mary, byłego sprzedawcę ubezpieczeń. Miał zwyczaj siedzieć w swoim pokoju z nogami na biurku, sprzedając ubezpieczenia przez niepodłączony telefon.

- Jest nowa? - zainteresowałem się.

- Och, nie, nic z tych rzeczy. Louise przebywa u nas od jakichś trzech miesięcy. Jednak dopiero ostatnio zaczęła zachodzić do dyżurki i przesiadywać tu z nami. Czasami, gdy nas nie ma w pobliżu, odbiera telefon.

Spojrzałem na Louise, która w czasie tej krótkiej rozmowy kilkakrotnie podnosiła słuchawkę i odkładała ją z powrotem, i zastanowiłem się, ilu członków rodzin mogło próbować połączyć się w czasie, gdy okupowała dyżurkę.

- Słuchaj, rozumiem, że z finansami krucho i przydałaby ci się pomoc... - zacząłem.

- Daj spokój, David. - Mary się zaśmiała. - Rozchmurz się. Rodziny ją uwielbiają. Myślę, że kiedyś była sekretarką jakiegoś ważnego dyrektora. Odbieranie telefonów ma pewnie we krwi. - Zerknęła na Louise, która zdawała się obserwować nas kątem oka. - I wiesz, David, ona po prostu kocha wysokich mężczyzn.

W tym momencie Louise wymamrotała coś, co rozbawiło Mary jeszcze bardziej.

- Co powiedziała? - spytałem, przysuwając się do biurka.

- Mówiłam, że cię polubi - odparła Mary.

- Ale co powiedziała?

- Że jesteś uroczy.

Potrząsnąłem głową z niedowierzaniem.

- Jak do tego doszłaś?

- Zapewne dzięki latom praktyki.

Zauważyłem już wcześniej, że Mary posiada tę niezwykłą umiejętność a la Doktor Doolittle. Była w stanie zrozumieć pacjentów wtedy, gdy nikt inny tego nie potrafił. Jeden z jej wielu talentów, po prostu.

Mary wstała od biurka i wzięła kartę pacjenta ze znajdującej się za nią półki.

- Rzuć na to okiem - powiedziała. - Właśnie przyszły z laboratorium wyniki Saula Strahama.

Antybiotyki, które przepisałem na jego nogę, nie działały i nastąpiły jeszcze inne powikłania. Poziom leukocytów wskazywał, że infekcja się pogłębia. Saul był również odwodniony.

- Zajrzę do niego - zdecydowałem.

- Myślę, że oboje wiemy, dokąd to zmierza - stwierdziła z westchnieniem Mary. -

Gdybyśmy tylko mogli ją o tym przekonać, sprawić, by zrozumiała...

Miała na myśli córkę Saula, daleką od pogodzenia się z myślą, że czas jej ojca się kończy.

- No dobrze, pozwól, że go zobaczę. - Powiedziałem i ruszyłem w kierunku jego pokoju. Gdy mijalem Louise, ta szybko wstała z krzesła i stanęła przede mną. Ręce rozłożyła szeroko, jakby oczekując na uścisk.

- Widzisz... - powiedziała Mary. - Ona naprawdę cię lubi.

Uścisnąłem Louise, co wywołało radosny uśmiech na jej twarzy.

Nagle zrozumiałem.

- Ona bierze mnie za kogoś innego! - Zrobiłem krok w tył, czując się nieco urażony, co było trochę absurdałne z mojej strony. Gdy szedłem do pokoju Saula, słyszałem za sobą śmiech Mary.

- Wiesz, David, kogokolwiek zastępujesz, jesteś całkiem niezłym substytutem.

Znalazłem Saula wygodnie rozciągniętego na rozkładanym fotelu. Telewizor był włączony, ale staruszek nie sprawiał wrażenia zainteresowanego programem. Wciąż nosił

czapkę zespołu Red Sox. Jak wiele osób w tej części Nowej Anglii był oddanym kibicem. Jego pokój wypełniały akcesoria i pamiątki związane z bejsbolem. Na nocnym stoliku znajdowało się przedstawiające go zdjęcie, stojącego dumnie przed Parkiem Fenway. Obejmował ramieniem młodego chłopca, pewnie wnuka.

- Wkrótce zaczną się wiosenne treningi, Saul! - powiedziałem i przysunąłem krzesło w jego stronę.

Zastanawiałem się, czy zdawał sobie sprawę, że jego drużyna wreszcie wywalczyła Puchar World Series. Nawet fani Red Sox, którzy nie mieli udaru, z trudem mogli uwierzyć, że licząca sobie 86 lat "klątwa Bambino"* w końcu została przełamana.

Ośluchałem serce i płuca Saula, a potem obejrzałem jego nogę. Mary miała rację: stan zapalny mimo zastosowania antybiotyków nie ustępował. Tym razem zaczerwienienie wydawało się posuwać ku górze, w kierunku kolana.

Narysowałem długopisem linię dookoła rumienia, aby oszacować, czy infekcja podda się naszemu leczeniu. Potem usiadłem obok Saula i przejrzałem wyniki laboratoryjne.

Ostatni test wykazał obecność coraz bardziej rozprzestrzeniającej się, wysoce odpornej na stosowane środki bakterii.

Ten szczególnie paskudny szczep gronkowca był w ostatnich latach zmorą wielu lekarzy. Stał się wszechobecny w zakładach opieki zdrowotnej na całym świecie.

Gdy rozważałem, jaką terapię, przy moich stosunkowo nikłych możliwościach zastosować, poczułem w pokoju obecność kogoś jeszcze. Spojrzałem w dół i ujrzałem

Oskara siedzącego na podłodze i przypatrującego mi się z uwagą.

- Hej, ty, robisz ze mną obchód? - Odezwałem się przyjaźnie.

Wyciągnąłem ku niemu dłoń. Oskar obwąchał ją w skupieniu, potem podniósł się, by do mnie podejść i pozwolił bym delikatnie podrapał go za uszami. Następnie jednym susem skoczył mi na kolana i usiadł, wlepiając we mnie wzrok. Mruczał.

- No więc co myślisz? - spytałem Oskara, wskazując ruchem głowy pacjenta.

Na sekundę zwrócił spojrzenie na Saula, tak jakby rzeczywiście oceniał sytuację. Następnie zeskoczył z moich kolan i podszedł do krzesła. Dał susa na oparcie i powęszył w powietrzu. Potem czmychnął z pokoju. Przyszło mi na myśl, że właśnie wyraził swoją opinię.

*"Klątwa Bambino" swoją nazwę wzięła od pseudonimu jednego z wybitnych amerykańskich bejsbolistów, Georga Hermana Rutha, który w 1920 roku opuścił swój dotychczasowy klub Boston Red Sox i przeszedł do New York Yankees. Po jego odejściu zespół Red Sox musiał czekać aż 86 lat na zdobycie World Series, podczas gdy w tym

samym okresie gracze New York Yankees triumfowali w tych rozgrywkach wielokrotnie.

Pożegnałem się z Saulem i wróciłem do recepcji, gdzie

Mary zajęta była wypełnianiem karty.

- Przed chwilą byłem na obchodzie z Oskarem - oświadczyłem z uśmiechem.

- Teraz wierzysz?

- To za dużo powiedziane, ale rzeczywiście zastanawia mnie to. Powiedzmy hipotetycznie, że on ma zdolność wyczuwania, kiedy nadchodzi śmierć. Myślisz, że czuje jakąś specyficzną woń, coś, czego ty lub ja nie jesteśmy w stanie odkryć?

- Nie wiem, David. - Mary się zawahała. - Chciałabym myśleć, że jest w tym coś więcej, ale czytałam, że niektórzy pracownicy opieki zdrowotnej potrafią wyczuć zapach zbliżającej się śmierci.

Zastanowiłem się nad tymi słowami i uzmysłowiłem sobie, że istnieje przynajmniej jedno możliwe naukowe wyjaśnienie.

- Gdy komórki przestają pracować, organizm wchodzi w stan głodu i da się wyczuć zapach ketonów - stwierdziłem, mając na myśli chemiczny produkt uboczny o słodkawej woni, wyczuwalnej również w źle kontrolowanej cukrzycy.

- Osobiście wolałabym wierzyć, że chodzi tu o coś więcej niż tylko o zapach - oznajmiła Mary. - Może Oskar obserwuje po prostu zachowanie personelu z tego piętra. Odwiedziłeś Saula w pokoju, okazałeś mu zainteresowanie.

Może kot chce być częścią zespołu? Próbuje zapracować na swoje utrzymanie?

Spojrzałem w kierunku korytarza, zastanawiając się nad tym, co powiedziała.

- W jakimś stopniu to ma sens - uznałem - ale nie tłumaczy, dlaczego czasami jako pierwszy zachodzi do pokoju pacjenta, gdy ten umiera.

Wysiłek umysłowy najwyraźniej malował się na mojej twarzy, bo Mary dała mi żartobliwego kuksańca.

- Ostrożnie! - powiedziała. - Bo przetrenujesz mózg!

- To zabawne. Mimo całego medycznego wykształcenia i lat doświadczeń wciąż zdarza mi się wejść do pokoju pacjenta i nie mieć pojęcia, co się stanie. Jak często członkowie rodzin pytają cię, ile czasu pozostało jeszcze ich bliskim?

- Bez przerwy.

- I co im odpowiadasz?

- Mówię im, że tak naprawdę wie to tylko Bóg i że ja nie mam jego numeru telefonu.

- Jak kot... - powiedziałem w zamyśleniu.

- Co?! - Mary spojrzała na mnie ze zdumieniem.

- Wiesz, jak w powiedzeniu: Pies przychodzi, gdy go wołasz, a kot odbiera wiadomość i odpowiada w swoim czasie.

Zajrzałem pod biurko, gdzie trzymaliśmy jedzenie dla kotów. Oskara nie było.

- W każdym razie, gdy badałem Saula, Oskar wszedł do pokoju, rzucił okiem i po chwili się zmył, jakby nie dostrzegł niczego, co dawałoby powody do zmartwień.

- Pewnie wie, że uda ci się podreperować pana Strahama.

- Możliwe. Ale to naprawdę sprowadza cię do pionu, kiedy okazuje się, że w medycznej hierarchii jesteś niżej od kota.

Mary zachichotała w odpowiedzi. Gdy tak na nią patrzyłem, nagle zaciekawiło mnie jej zdanie na temat umiejętności naszego kota.

- Mary, kiedy po raz pierwszy zaczęłaś zastanawiać się nad tym, co robi Oskar?

Odłożyła długopis i usiadła wygodniej na krześle.

- Chyba na początku wcale o tym nie myślałam. Niektóre asystentki zaczęły opowiadać o kocie, który zawsze towarzyszy umierającym ludziom. O ile pamiętam, pierwszą pacjentką Oskara była Marion McCullough. Jej syn, Jack, miał zwyczaj zabierać go ze sobą do pokoju, bo jego matka ogromnie kochała koty. Najpierw Oskar nie spędzał z nią dużo czasu, ale im bardziej podupadała na zdrowiu, tym dłużej tam przesiadywał. Kilka godzin przed jej śmiercią z własnej woli wskoczył na łóżko i siedział przy niej. Jack zadzwonił do mnie pięć dni później i mówił, jakie miał szczęście, że Oskar wtedy był przy matce.

- Czemu?

- Chyba uznał, że to był znak, że ona wkrótce umrze.-

Mary spojrzała na mnie. - Kiedy o tym usłyszałam, pomyślałam, że to urocza historia, ale nie zwracałam sobie na nią głowy. Teraz sądzę, że powinieneś pogadać z Jackiem...

- A co cię przekonało? - drążyłem.

- Uwierzyłam w talent Oskara pod wpływem wydarzenia, które miało miejsce kilka miesięcy temu. Już wtedy sporo ludzi mówiło o Oskarze, między innymi pielęgniarki hospicyjne. Twój pacjent, Ralph Reynolds umierał i próbowaliśmy zrobić wszystko, żeby zapewnić mu pełen komfort.

Jedna z twoich koleżanek po fachu była tu akurat i zajrzała do niego. Zasugerowała, że jest już o krok od śmierci i zaleciła opiekę hospicyjną. Któraś asystentka usłyszała to i poszła poszukać Oskara. Wróciła do pokoju kilka minut później z mocno rozzłoszczonym kotem, jak wiesz, on nie lubi, kiedy mu się coś narzuca. Postawiła go na łóżku, oświadczywszy, że jeśli pacjent umiera, Oskar powinien być obecny. A on spojrzał na nas

wszystkich, jakbyśmy doszczętnie postradali zmysły i uciekł stamtąd, nim zdążyła dokończyć zdanie. Kilka godzin później znaleźliśmy go chowającego się pod biurkiem u pielęgniarek.

- No i co dalej?

- Ralph przeżył jeszcze trzydzieści sześć godzin. Ale cztery godziny przed śmiercią znaleźliśmy Oskara drepającego przed zamkniętymi drzwiami jego pokoju. Kot sprawiał wrażenie wyjątkowo niezadowolonego. Gdy otworzyliśmy drzwi, rzucił się do środka i jednym susem skoczył na łóżko Ralpa. Skulił się tam i tak został. Kilka godzin później Ralph odszedł. Oskar nie opuścił go aż do chwili przyścia kierownika zakładu pogrzebowego, a nawet wtedy musieliśmy wabić go kocimi smakołykami, żeby zechciał wyjść z pokoju.

Potrząsnąłem głową, ale moje dotychczasowe niedowierzenie zdecydowanie zaczęło maleć. Mary nie wymyśliła przecież tej historii. Mówiła o faktach.

- Doktorze, wygląda na to, że zaczynasz traktować naszego kota trochę poważniej - skomentowała z lekkim uśmiechem wyraz mojej twarzy.

- Nie mogę dyskutować z tym, co się dzieje naprawdę.-

Rozłożyłem ręce. - W głębi serca jestem naukowcem. - Zdałem sobie sprawę, że Mary nienawidzi, kiedy mówię o moich naukowych ciągotach, ale kontynuowałem: - Od zawsze uczono mnie, abym patrzył beznamiętnie na fakty, analizował je, tworzył teorie, a potem wiercił w nich dziury, dopóki nie zbliżą się maksymalnie do prawdy. Wiesz o tym. Gdy podejdziesz do tego z naukowego punktu widzenia, łatwo jest zbagatelizować podejrzenia, że kot potrafi przewidzieć śmierć. Łatwiej jest powiedzieć, że siedzi z pacjentem, bo w jego pokoju akurat się coś dzieje - zebrała się rodzina na przykład; to ma po prostu większy sens. A może lubi przesiadywać z umierającymi ludźmi, bo oni mu nie przeszkadzają? Większość kotów tak czy owak przesypia dwie trzecie dnia, więc szansa, że znajdzie się kota leżącego na wygrzanym łóżku nieruchomego pacjenta, jest spora, prawda?

Mary uśmiechnęła się szeroko. Wiedziała już, że mój sceptycyzm osłabł i byłem gotowy uwierzyć w dar Oskara.

- Ale przyznajesz, że w naszym kocie jest coś niezwykłego? - upewniła się.

- Biorąc pod uwagę wszystkie poszlaki, z pewnością na to wygląda.

- Więc przeprowadź dochodzenie - poradziła. - Sądzę, że powinieneś porozmawiać z rodzinami pacjentów zmarłych na warcie Oskara, posłuchać, co mają do powiedzenia.

- Pewnie nie zaszkodzi - odparłem. Pomyślałem o tej części mojej pracy, która wymagała ode mnie bycia detektywem. Nauka jest między innymi sztuką odkrywania. Czuję, że muszę zmierzyć się z tajemnicą Oskara. - Od kogo, twoim zdaniem, mam zacząć?

- spytałem.

- Pogadaj z kimś, komu ufasz - zasugerowała Mary.

- Donna Richards?

- Nie mogłabym wskazać nikogo lepszego! - odpowiedziała, tak z siebie zadowolona, że aż mnie to ubodło.

Nienawidzę, gdy ma rację.

Rozdział ósmy

Koty zawsze wiedzą, kto je lubi, a kto nie.

Nie zawsze jednak obchodzi je to na tyle, by coś z tym robić.

Winifred Carriere

Do Donny Richards zaufanie miałem bezgraniczne - niemal takie jak Sherlock Holmes do doktora Watsona lub kapitan Kirk do Scott y' ego z obsługi maszynowni na statku kosmicznym w filmie Star Trek.

Każdy lekarz powie wam, że dobrzy kierownicy przychodni lekarskich warci są tyle złota, ile ważą. Zarządzają wieloma pracownikami, wyprzedzają rządowe uregulowania i pilnują, by odpowiadano na ważne telefony. Czuwają, aby wypłaty były realizowane na bieżąco i aby o nikim nie zapomniano. Kontrolują, czy nie skończyły się zapasy wszystkiego, począwszy od szpatulek do uciskania języka, a skończywszy na papierze do kserokopiarek. Kierowanie przychodnią to jedna z tych niewdzięcznych prac, które zostają zauważone tylko wtedy, gdy coś idzie nie tak. Być może dlatego niełatwo znaleźć odpowiednią osobę na to stanowisko. Właśnie z tego powodu niemal rzuciliśmy się na

Donnę Richards, gdy się u nas pojawiła.

Pewnego ranka przyprowadziła matkę do przychodni i przy okazji zapytała jednego z moich kolegów, czy nie potrzebujemy kierownika biura. Właśnie wróciła do Rhode Island po piętnastu latach pobytu w Kalifornii, by zająć się rodzicami, i potrzebowała pracy. To się nazywa zbieg okoliczności.

Przez trzy lata wspólnej pracy Donna i ja zwykliśmy odbywać długie rozmowy, gdy pacjenci i reszta personelu udali się już do domu. Często siedzieliśmy razem w biurze, kończąc papierkową robotę. Ona pytała o mojego nowo narodzonego syna, służąc tym rodzajem rodzicielskich porad, których nie znajdzie się w podręczniku medycznym. W zamian ja pytałem ją o akrobacje, które każdego dnia wykonywała, godząc obowiązki pracującej samotnej matki z opieką nad rodzicem z demencją. Podczas tych wieczornych rozmów po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jak trudna jest taka opieka. Donna otworzyła się przede mną, opowiadając o wyrzeczeniach, do których została zmuszona - rezygnacji z kariery i powrocie do domu, aby zająć się matką. Mówiła o problemach z systemem opieki zdrowotnej - choć przecież doskonale go znała z czasów, gdy była pracownikiem wyższego szczebla w służbie zdrowia. To właśnie Donna zapoznała mnie z terminem "sandwich generation"* i dzięki niej zacząłem w pełni pojmować sytuację milionów Amerykanów

miotających się między wychowywaniem dzieci a opieką nad rodzicami.

Teraz liczyłem, że będzie w stanie pomóc raz jeszcze, umożliwiając mi spojrzenie na Oskara z innej - jej własnej perspektywy. Ale najpierw musieliśmy nadrobić stracony czas. Minęły dwa lata, odkąd Donna porzuciła naszą przychodnię dla innej posady i ponad rok od czasu, gdy jej matka odeszła. Oskar towarzyszył staruszce w ostatnich godzinach życia.

- Przez wiele nocy po śmierci mojej mamy często budziłam się zrana zimnym potem - zaczęła opowieść Donna. Siedzieliśmy w jej podmiejskim domu na obrzeżach Providence. - Mama odwiedzała mnie w snach - ciągnęła. - Była młodsza, taka, jaką zapamiętałam z czasów dzieciństwa...

Spoglądała na mnie i mówiła: "Chciałam iść do szpitala, ale nie pozwoliłaś mi... Gdybyś po prostu wysłała mnie do szpitala".

Donna wpatrzyła się w przeciwległy róg sufitu, próbując pohamować płacz. Zaciągnęła się papierosem i wypuściła dym, który uniół się w powietrzu.

- Wybacz, David, wiem, że nie znosisz dymu - powiedziała po chwili z cieniem uśmiechu.

* Pojęcie stworzone przez socjologów amerykańskich, określające osoby między czterdziestym a sześćdziesiątym rokiem życia, osaczone z jednej strony roszczeniami własnych, dorosłych już dzieci, a z drugiej - troską o wymagających opieki rodziców.

Wywróciłem oczami, ale nic nie powiedziałem. W końcu trudno mówić komuś w jego własnym domu, co ma robić, a raczej czego ma nie robić. Wystarczająco często awanturowałem się o papierosy w biurze.

- Po takim śnie leżałam w łóżku godzinami, próbując wyrzucić z głowy wszystko, co powiedziała. - Donna zaciągnęła się raz jeszcze, po czym zgasiła papierosa w popielniczce. - Zdawałam sobie sprawę, że nie lubiła domu opieki, przynajmniej wtedy, kiedy była jeszcze w stanie ogarnąć sytuację. Musisz wiedzieć, że umieszczenie jej tam było najtrudniejszą decyzją w moim życiu, ale naprawdę nie miałam innego wyjścia. Byłam samotną matką, która próbowała jak najlepiej zająć się synem. Ja po prostu nie mogłam dłużej się nią opiekować w domu. Miała ten rodzaj demencji z ciałami

Lewy' ego i pogarszało się jej tak szybko...

Poza neurologami, geriatrami i psychiatrami niewiele osób wie cokolwiek o otępieniu z ciałami Lewy' ego (DLB).

Ta prawdopodobnie druga najczęstsza przyczyna demencji pozostaje niezdiagnozowana z powodu podobieństwa do choroby Parkinsona i Alzheimer. Przy DLB tak jak w Parkinsonie ma miejsce zaburzenie ruchu: osoby dotknięte tą chorobą stają się zesztywniałe i poruszają się niepewnie.

Często cierpią z powodu objawów psychotycznych, takich jak halucynacje, zaburzenia snu. Pojawiają się u nich znaczące zmiany w zachowaniu - między innymi z powodu skrajnej wrażliwości i nietolerancji na leki antypsychotyczne, które są często błędnie przepisywane na halucynacje.

Element behawioralny w tej chorobie sprawia, że opiekowanie się pacjentami z otępieniem z udziałem ciał Lewy'ego jest szczególnie trudne.

- To się stało tak nagle... W jednym miesiącu mama czuła się dobrze, a w następnym już ją straciłam. Przestała być sobą. Zabraliśmy ją do najlepszych lekarzy specjalistów, a oni przepisywali jej mnóstwo pigulek. W pewnym momencie brała tego całą garść... Myśleli, że ma depresję, więc dali jej antydepresanty. Nie mogła spać, zatem zaczęli ją faszzerować środkami nasennymi. Jej pamięć się pogorszyła, dali coś na pamięć. Im więcej leków dostawała, tym było gorzej. W końcu sprawy wymknęły się spod kontroli tak bardzo, że twój kolega po fachu przyjął mamę do szpitala psychiatrycznego tylko po to, żeby odstawić jej środki farmakologiczne. Wychodzi na to, że prawdopodobnie tylko pogarszały jej stan. - Potrząsnęła głową, zastanawiając się nad paradoksem tej sytuacji. - Zdziwiałe, że musieliśmy zostawić ją w szpitalu, żeby mogła przestać brać leki...

Mnie to nie dziwiło. Ponad jedna czwarta przypadków hospitalizacji jest dzisiaj konsekwencją łącznych skutków nadmiernego przyjmowania leków. Prawdę powiedziawszy, wszystkie leki, nawet ziołowe i dostępne bez recepty, są potencjalnie niebezpieczne w pewnych klinicznych przypadkach, a starsi pacjenci przyjmują ich na ogół mnóstwo.

- Gdy mama została wypisana ze szpitala - kontynuowała relację Donna - było oczywiste, że nie może wrócić do domu. Od tego momentu przechodziła z jednego zakładu opieki do drugiego. Wtedy otworzyły mi się oczy!

W pierwszym z nich posłano mamę na oddział nagłych wypadków w celu zrobienia badań. Spytałam pielęgniarkę, z jakiego powodu, a ona stwierdziła, że moja osiemdziesięcioletnia matka uderzyła asystentkę pielęgniarki, gdy próbowały ją przebrać. Owszem, mama zawsze była porywcza, ale przecież nie zrobiłaby tego, gdyby nie choroba. Pognałam na pogotowie, gdzie robiono badania. Lekarze niczego nie znaleźli, ale gdy chcieli odesłać mamę z powrotem do ośrodka, nie chcieli jej tam przyjąć. W rezultacie spędziła na oddziale nagłych wypadków trzy dni, a my w tym czasie staraliśmy się znaleźć

dla niej miejsce gdzie indziej.

Donna wstała z krzesła i zaczęła nerwowo przechadzać się po kuchni.

- Wiesz, David, to wszystko naprawdę mnie rozzłościło. Nikt ze szpitala nie zainteresował się, dokąd moja matka pójdzie. Chcieli po prostu się jej pozbyć z oddziału jak najszybciej. Musiałam zaciekle walczyć; w końcu pociągnęłam za kilka sznurków i umieściłam mamę w Steere House.

I doskonale wiem, że jedynym powodem, dla którego ją przyjęli, było to, że znam wszystkich pracujących tam lekarzy. A gdybym nie miała tych powiązań lub nie wiedziała, jak znaleźć informacje o domach opieki? Cały ten system jest po prostu zwyczajnie niedobry.

Donna zamilkła. Powróciły wspomnienia i w jej oczach znowu pojawiły się łzy. Tym razem pozwoliła im płynąć.

- Czasem, gdy myślę o przeszłości, zastanawiam się, jak mi się to udało. Każdy dzień miałam rozplanowany co do minuty; inaczej nie dałabym rady równocześnie pracować, opiekować się synem i mieć jeszcze czas dla matki.

- Musiało być ciężko.

Donna popatrzyła na mnie tak, jakbym przed chwilą powiedział coś w stylu: "Na Antarktydzie zimą jest dużo śniegu".

- David, póki sam przez to nie przejdziesz, nie zrozumiesz. Nie miałam własnego życia.

Kogoś innego mógłbym posądzić o skłonność do uzalania się nad sobą. Ale nie Donnę. Wierzyłem jej bezgranicznie.

- Nie miałam własnego życia, ale nie to było najgorsze.

Mogłam się z tym pogodzić. Traktowałam mój los jak krzyż, który noszę. Najstraszniejszą rzeczą było ciągle poczucie winy, kiedy nie nadażałam. Gdy na przykład opuszczałam zawody pływackie syna, bo coś działo się z moją mamą, czułam się fatalnie. Z kolei gdy szłam na te zawody, zżerały mnie wyrzuty sumienia, że nie odwiedziłam matki. Czasami po wyjściu ze Steere House płakałam przez całą drogę do domu, samobiczując się myślą, że jestem wyrodną córką, że wsadziłam własną matkę do ośrodka... Ale... Przecież ostatecznie chyba nie miałam wyboru. Zrobiłam wszystko, co mogłam.

- Niemniej poczucie winy nie znika? - zapytałem.

- Ono nigdy nie znika. Jak te sny.

Rozmawialiśmy przez następne dwie godziny o wszystkim, począwszy od jej pracy, a skończywszy na życiu towarzyskim samotnego rodzica. Potem opowiedziałem o nie dawnym przyjściu na świat mojej córki. Gdy w końcu zerknąłem na zegarek, uświadomiłem sobie, jak

późno się zrobiło. Wstałem z kuchennego stołka i zacząłem zbierać swoje rzeczy.

- Poczekaj! - powiedziała Donna. Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu. - Przeszedłeś tutaj, żeby zebrać informacje na temat Oskara i w ogóle nie poruszyliśmy tego tematu.

- Jakoś tak wyszło... - Westchnąłem. - Może nie jestem tak otwarty na sprawę Oskara, jak mi się wydawało.

Zaśmiała się i gestem dłoni zaprosiła mnie, abym znowu usiadł.

Posłusznie zająłem miejsce na stołku.

- Więc, pani Richards - zagailem, naśladując głos znanego dziennikarza - co pani myśli o Oskarze, naszym czworonożnym przyjacielu?

Donna zachichotała, w jej oczach pojawiło się rozbawienie.

- Zacznijmy od tego, że moja matka nienawidziła kotów! Dawniej, nim zachorowała, mogłabym się po niej prędeziej spodziewać, że otrulaby Oskara, gdyby tylko ośmielił się wskoczyć na jej łóżko. To nie była zresztą tylko kwestia kotów. Moja matka po prostu nie lubiła zwierząt, koniec, kropka. Nie rozumiała, po co w ogóle istnieją. Jednakże im bardziej jej stan się pogarszał, tym więcej zdawała się czerpać przyjemności z ich towarzystwa. Nie wiem, co one w sobie miały, co się stało z marną, ale coś się naprawdę zmieniło. Jakby stała się bardziej otwarta na głębszym poziomie.

Czy to brzmi dziwnie?

- Nie, bynajmniej. Ostatnio dużo się zastanawiałem nad prawdziwą istotą naszego związku ze zwierzętami, zwłaszcza wtedy, gdy jesteśmy bardzo młodzi i bardzo starzy. Mojego syna zawsze ciągnęło do zwierząt, jeszcze zanim nawet zaczął mówić. Widziałem identyczne głębokie zainteresowanie, specyficzne przyciąganie jak w przypadku niektórych pacjentów. Jakby ten związek w jakiś sposób zastępował mowę. Ja natomiast dopiero odkrywam mądrość zwierząt.

- Cóż, Oskar jest mądry. Tyle mogę powiedzieć. Zazwyczaj utrzymywał bezpieczny dystans i nie zbliżał się do marny, ale gdy przechodził obok niej, zatrzymywała się, aby z nim porozmawiać. On wtedy także przystawał. Nigdy nie na długo i nigdy się do niej nie tulił. Zachowywał się raczej jak dygnitarz na inspekcji niż domowy kot. Ale zawsze sprawiał wrażenie, jakby chciał jej wysłuchać.

Dygnitarz na inspekcji... Dobre określenie.

- Jakie miałaś zdanie o obecności zwierząt w Steere House?

- Cóż, pod pewnymi względami to było dziwnie kojące.

Taki rodzaj odwrócenia uwagi. Chodzi mi o to, że wprawdzie nie zmieniało to faktu,

że mama przebywała w domu opieki, ale sprawiało, że otoczenie stawało się trochę bardziej znośne. Bardziej kojarzyło się z prawdziwym domem, rozumiesz? Mam wrażenie, że obecność zwierząt w ośrodku pomogła także mojemu synowi.

- Co masz na myśli?

- Domy opieki nie są dla dzieci przyjemnym miejscem.

Syn czasami zostawiał nas - mnie i mamę - i ruszał szukać kotów. Zabawa z Billym czy Munchiem na parterze była dla niego lepsza, niż siedzenie nieruchoma na krześle i machanie nogami. Jego ucieczka pozwalała mi spędzić trochę więcej czasu z matką.

- Oskar był z nią pod koniec?

- Oczywiście. Gdy mama zachorowała po raz ostatni, zaczął coraz więcej czasu spędzać z nami w pokoju. Tak jakby wiedział, że potrzebuję wsparcia. To było naprawdę niezwykle. Wydawało się, że mnie polubił. Nawet więcej... wydawało się, że rozumiał.

Donna oceniła wyraz mojej twarzy, po czym ciągnęła dalej.

- W ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin życia mojej matki nie odstępowałam jej niemal na krok. Nawet spałam na fotelu przy łóżku. Gdy próbowałam się zdrzemnąć, Oskar wchodził do pokoju i tulił się do mnie.

Potem z mojego fotela wskakiwał na łóżko i kładł się przy mamie. Robił to właściwie przez cały czas, gdy mama umierała. Zdumiewające, ale Oskar zawsze wydawał się wiedzieć, gdzie jest potrzebny i nigdy nie oczekiwał niczego za swoją obecność. Pozwalał mi się pogłaskać pod brodą, gładziłam uszka, ale nawet... Miałam wrażenie, że to ja tego potrzebuję, tego dotyku, a nie on, że w jakiś sposób mi to pomaga. Jest coś szczególnie uspokajającego w głaskaniu zwierzęcia. A on jakby o tym wiedział.

- Czy był w pokoju w chwili śmierci twojej matki?

- Kilka godzin wcześniej jedna z pielęgniarek wpadła ze mną porozmawiać i przekonała mnie, abym poszła na trochę do domu. Miałam wątpliwości, ale zgodziłam się w końcu. A mama zmarła wkrótce po tym, jak wyszłam. Tak to bywa... Ale Oskar został. Siedział przy niej, gdy wydawała ostatnie tchnienie.

- Byłaś zła, że wyszłaś tuż przed tym, jak umarła?

- Nie. Takie mam wrażenie, jakby mama czekała, żebym poszła, zanim zamknie oczy. To było w jej stylu. - Uśmiechnęła się. - Poza tym - dodała - przecież nie była sama. Miała Oskara.

Rozdział dziewiąty

Koty jest zagadką, która nie ma rozwiązania.

Hazel Nicholsan

Wyglądało to tak, jakbym natknął się na scenę wyjętą z „Lata Miłości”. Spora grupka zaciekawionych gapiów - podopiecznych i personelu - otaczała dyżurkę oddziału, zasłaniając mi widok. Jak małe dziecko, które próbuje zdobyć lepszy punkt obserwacyjny na przechodzącą paradę, przedzierałem się przez gęszcz rezydentów i chodzików. Okazało się, że wszyscy gapią się na Oskara i Maję, którzy dawali niezłe przedstawienie. W jakiejś dziwnej ekstazie koty galopowały wokół recepcji z karkołomną prędkością, zatrzymując się co chwila, aby przewrócić się na grzbiet, wymachując przy tym łapkami w powietrzu i wydając donośne wrzaski. Jakbym oglądał napędzany narkotykami pas de deux, w którym koty zastąpiły tancerzy.

Przedarłem się w końcu i znalazłem Mary.

* Chodzi o lato 1967 roku, gdy w jednej z dzielnic San Francisco zebrało się około 100 tysięcy ludzi, dołączając do ruchu hippisowskiego. Odbywało się wtedy wiele koncertów.

- Kto wsypał benzedrynę do napoju Ovaltine pani Murphy*? - spytałem nieco zdumiony.

- To kocimiętka - odparła zwięźle.

Patrząc na zwierzęta zachowujące się jak wirujący derwisze, zaniepokoiłem się. To nie wyglądało normalnie.

- Więc one nie są chore? - upewniłem się.

Mary zaśmiała się i szybko zaczęła wyjaśniać, w czym rzecz, przekrzykując wydzierające się koty oraz śmiech personelu i pacjentów.

- Koty ją uwielbiają. Dostają po niej szału. Jest jakiś związek chemiczny w tym zielsku, dający im prawie seksualny odłot.

Popatrzyłem na Oskara, którego wcześniej miałem za zdystansowane do świata, mądre, kojarzące mi się ze Sfinksem stworzenie, znające odpowiedzi na wszystkie pytania.

Teraz gonił swój ogon.

*Who put the benzedrine in Mrs. Murphy's Ovaltine? - to pytanie jest tytułem piosenki muzyka jazzowego Harry'ego "Hipstera" Gibsona. Tytułowa benzedryna to nazwa handlowa leku zawierającego amfetaminę.

- Pała to, czy jak? - Wciąż nie posiadałem się ze zdumienia.

- Czy ty cokolwiek wiesz o kotach? - spytała asystentka pielęgniarki, która usłyszała moje pytanie.

Żartowałem, oczywiście, ale szczerze mówiąc, faktycznie nie miałem pojęcia, czym jest kocimiętka.

- Nigdy nie miałem kota - stwierdziłem.

- Nikt nie ma kota, doktorze. - Zaśmiała się. - To on ma ciebie!

- Koty tego nie pała, David. - Mary przyszła mi z pomocą, - Tarzają się w tym po prostu. Skutek widzisz.

- Ale to fakt, zachowują się jak mali narkomani na haju - powiedziała asystentka.

W końcu oglądanie błaznujących kotów spowszedniało i jeszcze zanim ustąpiło działanie kocimiętki, ludzie zaczęli się rozchodzić. Wszedłem do pokoju Mary, aby sprawdzić czy są dla mnie jakieś wiadomości. Mary podążyła za mną.

- Jak się udało spotkanie z Donna? - spytała.

- Było ciekawie - odparłem. - Powiedziała mi, że jej matka nienawidziła kotów, a właściwie wszystkich zwierząt do czasu, gdy poznała Oskara..

- O czym to świadczy? - Mary się zastanowiła. - Ze taka nienawiść pewnego dnia znika?

- Pewien stary pacjent, Irlandczyk spytał mnie kiedyś, czy znam definicję Alzheimera po irlandzku.

- I? - Mary uniosła brwi, czekając na dowcip.

- Zapominasz o wszystkim, tylko nie o zaszłościach, zadawnionych żalach, nienawiści.

- Cóż, rzeczywiście nie sądzę, aby Irlandczycy mogli zapomnieć o swoich pretensjach.

- Mary się zaśmiała.

Spojrzeliliśmy przez szybę na przeredzający się tłum.

Oskar i Maja rozłożyli się niedbale na podłodze, jak para narkomanów z dużym stażem, którym kończy się jazda.

- Donna powiedziała mi również, jak cieszyła ją obecność Oskara, kiedy zbliżał się już koniec - ciągnąłem. - To było tak, jakby Oskar dał jej zgodę na wyjście. Stwierdziła, że doszła do wniosku, iż jej matka nie zamierzała umrzeć w jej obecności, więc Oskar pełnił wartość. Miała wrażenie, że zastąpił ją na służbie...

- Stworzył most pomiędzy matką i córką - powiedziała

Mary.

- Właśnie. - Popatrzyłem na całkiem zwykłego w tej chwili, domowego kota, który leżał spokojnie na dywanie, jakby nigdy nie wariował. Może to ja byłem tym, kto popalał kocimiętkę i miałem wcześniej zwidy?

- Zamierzasz o nim porozmawiać z kilkoma innymi rodzinami? - zapytała Mary. - Pamiętasz te dwie siostry, których oboje rodzice zmarli tutaj? Oskar towarzyszył ich matce, gdy odchodziła.

- Rita i Annette - powiedziałem. - Myślałem o nich. Tylko właściwie nie jestem pewien, co próbuję odkryć...

- Możesz też pogadać z Jackiem McCullough albo może z panią Ferretti... Miałeś z nią chyba dobre stosunki? - Mary zignorowała moje wątpliwości. Najwyraźniej była zdecydowana namówić mnie do kontynuowania prób.

- Oglądałaś kiedyś "Obywatela Kane'a"? - spytałem.

- Och, Boże, wieki temu.

- Może jestem jak ten dziennikarz, wiesz, ten, który postanawia się dowiedzieć, co kryje się za słowem "Różyczka".

- Racja! - powiedziała Mary. - I pod koniec okazuje się, że to nazwa sanek Kane'a.

- Ale tego dowiadują się widzowie na sam koniec filmu, w scenie, gdy sanki ulegają spaleni. Natomiast dziennikarz nie dowiaduje się niczego.

- Cóż, nigdy się przekonasz, dopóki nie spróbujesz.

Uśmiechnąłem się i zmieniłem temat.

- Dobra, kogo dzisiaj mam zbadać?

Wiecie, co mówią o pogodzie w Nowej Anglii?"Jeśli teraz ci się nie podoba, to poczekaj kilka minut". Mój dzień w Steere House okazał się równie kapryśny jak nasz klimat.

Nie minęła nawet godzina od zwariowanej galopady szalonych kotów, a nikt się już nie śmiał. Prawdę mówiąc, atmosfera stała się wręcz toksyczna.

Wkroczyłem nagle w sam środek zażartego boju pomiędzy Mary a dobrze ubraną panią w średnim wieku, córką Saula Strahana, Barbarą. Dwie asystentki stały w milczeniu obok biurka, obserwując, jak Mary i Barbara toczą spór, którego powodem była najwyraźniej para kapci.

- Rozumiem, że to może być denerwujące, ale przydałaby się odrobina dystansu... To przecież drobiazg niewart aż takich emocji. - Mary próbowała łagodzić sytuację.

- Dla pani może drobiazg! Nie potrzebuję... - Zanim zdążyłem przemknąć obok nich, rozpoznała we mnie lekarza swojego ojca.

- Czy pan nie może zrobić czegoś ze swoim personelem? - zaatakowała mnie. - To jest trzecia para kapci, którą oni zgubili w ciągu dwóch ostatnich lat!

Znalazłszy się nagle w centrum konfliktu, o którym nic nie wiedziałem, nie odezwałem się. Barbara wyrzuciła ręce w powietrze, po czym skierowała swoją złość z powrotem na Mary i asystentki.

- Czy to naprawdę takie wielkie wymagania, gdy proszę, by panie pilnowały rzeczy mego ojca?

- Jestem pewna, że te kapcie niedługo się znajdą - próbowała tłumaczyć Mary. - Prawdopodobnie inny z naszych podopiecznych zabrał je omyłkowo z szafki. W końcu je znajdziemy. Prawie zawsze znajdujemy.

- Dlaczego nie możecie utrzymać pozostałych pacjentów z dala od pokoju mego ojca?

- Staramy się, pani Barbaro, ale ciężko jest sprawować kontrolę nad tym, co oni robią, nie pilnujemy ich przecież przez cały czas.

- Więc starajcie się bardziej!

Jakby chcąc podkreślić uwagę wypowiedzi, Barbara popatrzyła kolejno w oczy każdemu z nas, a potem obróciła się ze złością na pięcie i odeszła. Ale zanim to zrobiła, "zabiła wzrokiem" Lydię, hiszpańskojęzyczną asystentkę pielęgniarki.

- Powinniście mieć tu sprawniejszy personel. - Wypuściła ostatnią zatrutą strzałę. - A w każdym razie znaleźć kogoś, kto włada poprawną angielszczyzną!

Rzuciwszy ten komentarz na pożegnanie, gniewnie ruszyła korytarzem, kierując się do pokoju ojca.

Popatrzyłem na Lydię. W jej oczach pojawiły się łzy, które prędko wytarła wierzchem dłoni.

Mary położyła dłoń na jej ramieniu.

- Ona wcale tak nie myśli - powiedziała. - Jest po prostu zdenerwowana.

Lydia skinęła głową i spróbowała się uśmiechnąć, ale zniewaga dotknęła ją do żywego i mogłem się domyślić, że minie trochę czasu, nim się otrząśnie. Odwróciła się i wyszła. Reszta z nas przez chwilę milczała. W końcu Mary potrząsnęła głową i przerwała krępującą ciszę.

- Poszukaj, może znajdziesz te kapcie - zwróciła się cicho do asystentki.

- No, jak zwykle mam doskonałe wyczucie czasu i wiem, kiedy się pojawić - odezwałem się, gdy dziewczyna odeszła.

- O co chodziło w tej całej sytuacji?

- To była córka Saula Strahana. Myślałam, że wy dwoje się znacie.

- Widzieliśmy się raz, gdy jej ojciec był tu przyjmowany. Głównie rozmawiamy przez telefon. Ostatnio tych rozmów jest bardzo dużo - wyjaśniłem.

Usiadłem przy biurku i spojrzałem na Mary. Jako perfekcjonistka w pracy zapewne gotowała się w środku. Jej dumę zraniło oskarżenie, że nie potrafi utrzymać porządku na oddziale, jednak przede wszystkim było jej przykro z powodu asystentek.

- Muszę wyjść na zewnątrz na papierosa - stwierdziła.

Cofnęła się do pokoju pielęgniarek i spędziła tam kilka minut. Ale wróciła bez płaszcza, więc wyglądało na to, że zdołała nieco ochłonąć.

- To wszystko razem jest czasem wkurzające, prawda, Mary? - powiedziałem łagodnie.

- Wiesz, jestem tu od prawie dziesięciu lat, a przedtem pracowałam w kilku innych domach opieki. - Westchnęła. - Na tym etapie swojej kariery potrafię przyporządkować każdego członka rodziny, z którym mam styczność, do jednej z czterech kategorii: rozgniewanych, z poczuciem winy, wystraszonych i tych, którzy mają w sobie wszystkiego tego po trochu. Staramy się z nimi pracować, z każdym tak, by w końcu pogodzili się z sytuacją. - Rozłożyła szeroko ręce, jakby chciała objąć cały oddział, wszystkich podopiecznych i podkreślić nieuchronność ich losu. - Z czasem u większości pojawia się akceptacja. Zdarza się jednak, że bunt i rozpacz nie pozwalają na kapitulację, a wtedy musimy borykać się z wybuchami gniewu. Czasami zwyczajnie nie potrafimy wpłynąć, aby pogodzili się z tą rzeczywistością odpowiednio szybko.

- A jaka jest Barbara Strahan? - zapytałem - Do której kategorii ją zaliczysz?

- Ona prawdopodobnie po prostu czuje się winna. - Mary przerwała na chwilę, zastanawiając się nad swoją

„diagnozą”. - Wiesz, David, Saul przypuszczalnie nie nosił tych kapci przez ostatnie pół roku. Ale jeśli ich nie znajdę, Barbara pójdzie się poskarżyć mojemu szefowi.

- Nie da się przekonać?

- Widziałeś przecież, próbowałam. Jak groch o ścianę.

- Czasem zastanawiam się, jakim cudem dajecie tu sobie radę - stwierdziłem. - My, lekarze, przychodzimy i wychodzimy, a wy praktycznie tu żyjecie...

- Tak naprawdę z tymi, którzy czują się winni jak Barbara, prościej sobie poradzić niż z innymi. Trzeba tylko mieć wystarczająco grubą skórę. To z czasem samo przychodzi...

Tacy ludzie zwykle wrzeszczą na nas z powodu błahych rzeczy i większość po pewnym czasie się uspokaja. Barbara też pewnie w końcu tu przyjdzie i przeprosi za swoje

zachowanie. Inni członkowie rodzin potrafią być gorsi.

- Gorszi?!

- No cóż, jak wspomniałam, niektóre rodziny pacjentów boją się choroby i tego, co ona robi z bliską im osobą.

To akurat rozumiem. Jednakże bardzo często się zdarza, że tacy ludzie po prostu wypierają istnienie choroby. Przychodzą tu i wszystko kwestionują. Gdy na przykład zmienimy podopiecznemu dietę, chcą wiedzieć dlaczego. Obcowanie z nimi jest dla nas niezwykle trudne, bo zwyczajnie nam ich żal. Gdy w końcu przyjmą do świadomości istnienie choroby matki czy ojca, wyglądają, jakby dostali obuchem w głowę. - Mary ponownie westchnęła.

- Przykro mi, że nie możesz tutaj zapalić - odezwałem się, nie bardzo wiedząc, jak skomentować to, co usłyszałem.

- Ej, chyba kłamiesz. - Uśmiechnęła się. - Są jeszcze ci rozzłoszczeni oskarżający nas o co tylko się da. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu miałam przypadek córki, która spytała mnie, dlaczego matka jest w jednym z tych chodzików.

Gdy wyjaśniłam, że mama kilka razy upadła, powiedziała mi, że ja nie chcę, aby jej mamie się poprawiło! "Pewnie chce się jej pani stąd pozbyć, żeby zwolniło się łóżko", tak powiedziała.

- Żartujesz!

- Chciałabym.

Rozumiem, że ciężko jest patrzeć, gdy ukochana osoba marnieje w taki sposób, jak wielu pacjentów tutaj. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak ja poradziłbym sobie z opieką nad rodzicem lub małżonką z demencją. Może byłbym taki sam, doszukiwał się winy u innych i wszystkich oskarżał, ale patrząc na to z zewnątrz, zawsze jestem zakłopotany, widząc, jak niektórzy obwiniają tych, którzy chcą przecież pomóc.

Naszą rozmowę przerwało pojawienie się Louise - zbliżała się do recepcji, popychając swój chodzik. Mary zauważyła ją pierwsza.

- Właśnie nadchodzi twój fan club.

Wstałem zza biurka i podszedłem, by się przywitać. Na twarzy Louise pojawił się serdeczny uśmiech. Powiedziała coś, czego nie zrozumiałem.

- Ona mówi "Jesteś taki wysoki" - przetłumaczyła stojąca za mną Mary.

Uścisnąłem szybko Louise, a ona zachichotała, po czym podreptała z powrotem korytarzem.

- Całkiem nieźle się porusza po ośrodku - zauważyłem, gdy odeszła.

- Poruszanie to nie jest jej problem - odpowiedziała Mary - tylko nasz, ona ciągle odwiedza innych pacjentów, czy o tym wiedzą, czy nie.

Niespodziewanie Mary zerwała się i pognąła korytarzem. Dopadła Louise kilka drzwi dalej i przetrząsnęła koszyk znajdujący się z przodu jej chodzika. Chwilę później wróciła, niosąc cały asortyment towarów.

Zaprezentowała mi beżowy sweter, lekarski stetoskop i jedną parę męskich kapci.

- Pani Chambers - wyjaśniła - to nasza podopieczna kleptomanka. Wcześniej powinienam o tym pomyśleć... - Położyła stetoskop i sweter na biurku. - Stetoskop należy do studenta medycyny, który pracował tu w zeszłym tygodniu.

Założę się, że wszędzie go teraz szuka.

Zaniosła obie rzeczy do swojego biura, gdzie były bezpieczne, i skierowała się do pokoju Saula z kapciami w rękę.

- Poczekaj - powiedziałem, kiedy mnie mijała. - Czy miałabyś coś przeciw temu, żebym ja to zrobił? Chcę sprawdzić, w jakim nastroju jest teraz nasza wojownicza dama.

- Proszę cię bardzo. - Mary wzruszyła ramionami i wręczyła mi kapcie.

Miałem zamiar przemówić córce Saula do rozumu. Wiedziałem jak trudno jest Barbarze pogodzić się z chorobą ojca, a odwiedzając go, stykała się przecież z bólem i chorobami innych, co wzmagało napięcie. Jednak istnieje pewna granica, którą Barbara według mnie przekroczyła.

Znalazłem ją leżącą na łóżku, z głową spoczywającą na kolanach ojca. Tak czasami opiera się o mnie mój syn, gdy ogląda telewizję.

- Mam kapcie - powiedziałem.

Barbara podniosła głowę i zwróciła twarz w moją stronę. Jej powieki były zaczerwienione, a tusz do rzęs rozmazany. Siadając, przetarła oczy rękawem bluzki. Podszedłem i położyłem kapcie na stoliku przy łóżku.

- Zdaje sobie pani sprawę - zacząłem - że była pani bardzo ostra wobec personelu?

Zaczęła płakać. Łzy płynęły po jej twarzy strugami, pokrywając policzki nowymi śladami tuszu.

Poczułem się okropnie, ale z drugiej strony... Łzy często przynoszą ulgę. Chwyciłem ze stolika pudełko chusteczek i podałem jej.

- Doktorze, bardzo przepraszam za swoje zachowanie - powiedziała, wycierając oczy.

- Czy może pan przekazać

Lydii, że jest mi przykro? Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Czuję się podle.

- Chyba powinna jej to pani sama powiedzieć. Tak przy okazji, Lydia jest jedną z naszych najlepszych asystentek.

Pięć dni w tygodniu uczęszcza do szkoły wieczorowej, żeby pracować nad swoim angielskim.

- To dlatego, że przychodzę tutaj i nie wiem, co robić - tłumaczyła się Barbara. - Nawet nie wiem, czy on wie, że tutaj jestem.

- Wszystko, co pani może w tej chwili zrobić dla ojca, to po prostu być przy nim.

Skinęła głową.

- Do mojego rozumu to dociera - powiedziała. - Do mojego serca - nie.

Podobne sformułowania słyszałem setki razy.

Zdroworozsądkowo Barbara pojmowała, co się stało z jej ojcem, ale gdy na niego patrzyła, wciąż szukała człowieka, który ją wychował i kochał.

- Niech pan na niego spojrzysz. Po prostu siedzi tam z głupim, nieobecnym spojrzeniem.

Wiedziałem, że nie chciała tego powiedzieć, ale przemawiała przez nią desperacja.

- Mój ojciec już nie wie, kim jestem - ciągnęła. - Ten przystojny mężczyzna, który był dla mnie wszystkim, gdy dorastałam. Odprowadzał mnie do szkoły każdego ranka, kiedy byłam małą, a potem, gdy dorosłam, zawsze mogłam do niego zadzwonić i porozmawiać o kłopotach w pracy, o wszystkim, nawet o problemach z chłopakami. A potem o moich dzieciach. Kim teraz dla niego jestem?

- Pani Strahan, czy jest jeszcze ktoś, z kim mogłaby pani o tym porozmawiać? Żyje pani w ogromnym napięciu, gnębi panią poczucie straty. Nikt nie powinien przechodzić przez to sam. Może jest jakaś grupa wsparcia, terapeuta czy pastor?

- Czasami rozmawiam z moim synem, gdy jest w mieście. To pomaga, tak sędzę. - Cień uśmiechu pojawił się na jej ustach. - Wie pan, syn lepiej sobie radzi niż ja. Usiądzie tu i opowiada mu żarty, czyta strony sportowe z gazety. Kiedyś chodzili razem na mecze Red Soxów. - Wskazała zdjęcie stojące na szafce nocnej, które zauważyłem już wcześniej, przedstawiające Saula i chłopca na bostońskim boisku Fenway. - Nie odstrasza go ani to miejsce, ani stan mojego ojca. Czasem nawet udaje mu się sprawić, że tata się uśmiecha. - Na jej twarzy ponownie pojawił się wyraz rozpacz. - Ale ja tak nie potrafię!

Pokiwałem głową i usiadłem. Milczeliśmy przez chwilę.

Ta chwila ciszy to również element mojej pracy.

- Rzecz w tym, doktorze - odezwała się w końcu - że czuję się bez przerwy winna. Ilekroć stąd wyjeżdżam, płacę całą drogę do domu. Trudno zliczyć, ile bluzek zniszczyłam przez plamy po tuszu. - Uśmiechnęła się przez łzy. - Pewnie myśli pan, że skoro to trwa już

tyle czasu, powinnam się przyzwyczaić...

Stan jej bluzki wskazywał na to, że niebawem dołączy do pozostałych na śmietniku.

- Doktorze, wiem, że pana zdaniem źle robię, gdy wyklócam się o rozszerzenie leczenia ojca. - Już otwierałem usta, żeby zabrać głos, ale powstrzymała mnie gestem ręki. - Ale musi pan zrozumieć; ja czasami mam wrażenie, że wykonanie jego dyspozycji dotyczących leczenia jest ostatnią rzeczą, jaką mogę dla niego zrobić. Powiedział, że chce, aby spróbowano wszystkiego. - Znowu zaczęła płakać.

Kolejna dłuższa rozmowa na temat stanu zdrowia Saula i jego wyborów związanych z końcem życia była nie do uniknięcia; jedną odbyliśmy z Barbarą już wcześniej przez telefon. Nie należało odkładać następnej. Jednak w tym momencie jakoś nie miałem serca przypominać jej, że ten ojciec, który zabierał ją i jej syna na mecze bejsbolowe, nigdy nie wróci.

- Nie musi pani podejmować decyzji natychmiast. Wiem, że to, co powiem, nie poprawi pani samopoczucia, jednak proszę mi wierzyć, rozumiem, jak ciężko jest patrzeć na kogoś, kto wciąż wygląda jak pani ojciec, ale równocześnie przestał być człowiekiem, którego pani znała i kochała. Nieraz rozmawiałem o tym z ludźmi z naszej branży, ze środowiska lekarskiego, przeżywającymi równie straszne chwile jak pani. Twierdzili, że dużo gorsze niż utrata bliskiej osoby z powodu raka lub w wypadku samochodowym jest patrzeć, jak ktoś bliski z demencją powoli umiera.

Pokiwała głową i zauważyłem, że przyjęła do wiadomości to, co przed chwilą powiedziałem. Po kilku minutach ciszy jej łzy wyschły, a nastrój się poprawił. Może pociechę przyniosła jej świadomość, że nie jest sama ze swoim smutkiem.

- Dziękuję, doktorze.

- Za parę kapci? - odpowiedziałem, uśmiechając się szeroko.

- Tak jest. - Odwzajemniła uśmiech. - Za parę kapci.

Rozdział dziesiąty

Kot jest zawsze po niewłaściwej stronie drzwi.

Anonim

Nadszedł czas, aby kontynuować rozwiązywanie tajemnicy Oskara, ale do kogo się zwrócić? Jak zwykle to Mary wskazała właściwy kierunek.

- Wiesz, David - przypomniała mi pewnego popołudnia, gdy odwiedzałem pacjentów - wciąż jeszcze nie porozmawiałeś z Ritą i Annette. Ze wszystkich członków rodzin, z którymi miałam do czynienia przez lata, to chyba one spędziły najwięcej czasu w Steere House.

Z pewnością.

Te dwie siostry przez dziesięć lat bywały w domu opieki, pielęgnując najpierw swojego ojca, a potem matkę. Któż byłby lepszy, żeby rzucić trochę światła na moją czworonożną zagadkę?

Wykręciłem numer Rity, przekonany, że ostatnią rzeczą, na którą obie panie będą miały ochotę, to wizyta w domu opieki. Tymczasem zaproponowały mi spotkanie właśnie tam.

- Zawsze nas cieszy, gdy możemy porozmawiać o Oskarze - powiedziała Rita. - Poza tym będzie nam miło zobaczyć starych znajomych.

Gdy po pracowitym dniu w przychodni jechałem do Steere House na spotkanie z nimi, nie mogłem przestać myśleć o ostatnich dziesięciu latach mojego życia i o wszystkim, co się w tym czasie zmieniło. Przeszedłem długą drogę. Szkoła medyczna, trzy lata rezydentury i dwa lata podspecjalizacji, w końcu rozwój kariery medycznej. Zakochałem się, ożeniłem i zostałem ojcem dwójki dzieci - porzuciłem stosunkowo wygodne, samowystarczalne życie kawalera dla życia rodzinnego, ze wszystkimi jego radościami i obowiązkami. Zmieniłem się fizycznie. Ku mojemu niezadowoleniu zyskałem aż dziewięć kilogramów, za to straciłem sporo włosów na skroniach, a wśród tych, które pozostały, przewagę zyskały siwe. Nauczyłem się też radzić sobie z własną przewlekłą chorobą i narastającymi ograniczeniami fizycznymi.

Wydawało mi się dziwne, jeśli nie niesprawiedliwe, że wszystko to wydarzyło się wtedy, gdy życie Rity i Annette ograniczało się do opieki najpierw nad ojcem, potem nad matką - na początku we własnym domu, a potem w Steere

House. I niezależnie od tego, jak często tłumaczyłem pacjentom i ich rodzinom, że umieranie to część życia, wyglądało to tak, jakbym otrzymał od losu lepszy kawałek ciasta.

Zastałem siostry w saloniku, w towarzystwie kilku pracowników domu opieki. Kiedyś przyjeżdżały tu codziennie, ale od tego czasu minęły miesiące i było jasne, że nadrabiają zaległości w kontaktach z ludźmi, którzy stali się dla nich bardzo ważni. Przez chwilę trzymałem się z tyłu, patrząc, jak asystentki i pielęgniarki podchodzą, aby się przywitać i porozmawiać. Zauważyłem, że siostry zachowują się zupełnie swobodnie. Nie było łez ani smutku, tylko serdeczne uśmiechy, a nawet śmiech. Spotkanie sprawiało wrażenie zjazdu rodzinnego. Nie miałem ochoty im przeszkadzać, ale Rita zauważyła mnie i pokiwała przyzywająco dłonią.

- Witaj, Rita - rzuciłem, podchodząc bliżej. - Dobrze wyglądasz. Ty też, Annette.

Wymieniliśmy grzeczności, idąc w kierunku biblioteki.

- To musi być dziwne uczucie znaleźć się tu z powrotem - zacząłem.

Rita i Annette pokiwały głowami, ale nie odezwały się słowem, gdy przemierzaliśmy długi korytarz. Wydawały się zatopione we wspomnieniach, jakby każde drzwi, które mijaliśmy, stanowiły pomost do jakiegoś minionego zdarzenia.

- Wiele osób nie chce pozwolić bliskim odejść - odezwała się niespodziewanie Rita. Znajdowaliśmy się już w pomieszczeniu pełnym książek, a ona wyglądała na lekko rozkojarzoną, gdy tak rozglądała się po pokoju, który latami był częścią jej drugiego domu.

- Jak myślisz, dlaczego tak się dzieje? Czemu tak kurczowo trzymają się tej namiastki życia, bo trudno przecież mówić o prawdziwym życiu? - spytałem.

Wiedziałem z doświadczenia, że Rita ma rację. I tak naprawdę rozumiałem przyczyny, zdawałem sobie sprawę, skąd bierze się ów upór bliskich, ale chciałem, aby pociągnęła temat.

- Bo ludzie chcą mieć z powrotem tych, których kochają - odpowiedziała. - Takich, jacy byli. Chcesz mieć znowu z powrotem matkę czy ojca, kogoś, kto oglądał twoje świadectwa szkolne, kto przygotowywał obiad na Święto Dziękczynienia. Tego, z kim się śmiałeś, komu się zwierzałeś, dla kogo byłeś najważniejszy na świecie. Niełatwo się pogodzić z faktem, że jego już nie ma, że nigdy nie wróci. Uzmysłowie nie sobie tej prawdy i zaakceptowanie jej, to rzecz niezwykle trudna. Więzy między ludźmi tworzone są przez wspólne wspomnienia, doświadczenia, cele, nadzieje i obawy. Gdy jedna osoba znika, druga zostaje sama, jakby trzymając linę, na której końcu brakuje latawca. Wspomnienia mogą bardzo pomóc, podtrzymać na duchu, ale pewne rzeczy zostają wówczas nieodwołalnie stracone, pozostaje tyle niezalutwionych spraw: niezakończony nigdy spory, niewypowiedziane słowa, niewyartykułowane przeprosiny, nieporuszone tematy. Tkwią w nas jak drzazga pod skórą - niewidzialne, wciąż bolesne. Dopóki sobie tego wyraźnie nie uświadomimy, pogodzenie się ze stratą jest niemożliwe.

- A w jaki sposób wy zmierzycie się z tym problemem? - spytałem.

- Na to potrzeba czasu. - Tym razem odezwała się Annette. - Ale na początku ważne jest odwrócenie uwagi i błędne informacje. Kłamstwa...

~ Co masz na myśli? - Nie zrozumiałem.

- No cóż, to wyglądało tak - tłumaczyła Annette. - Po kilku latach od zdiagnozowania choroby ojca, przeprowadziłam z nim niespodziewaną rozmowę. Zadzwoił o bardzo późnej porze. Powiedziałam, że jest środek nocy i powinien położyć się spać. Ale on był zdenerwowany.

Twierdził, że jest z nim jakaś obca kobieta. Chciał, żebym przyjechała i zabrała go do domu. - Annette aż potrząsnęła głową na to wspomnienie. - Prawie godzinę wisałam na telefonie, próbując przekonać go, że owa kobieta w jego łóżku to moja matka, a jego żona. W końcu mi się udało.

- Doktorze, od tego momentu było już tylko gorzej - powiedziała Rita.

- Od tej chwili - ciągnęła Annette - telefony stały się częste. Nie lubię się do tego przyznawać, ale na samym początku byłam trochę zła. - Przerwała, zamyśliła się, po czym na jej twarzy niespodziewanie zagościł uśmiech. - No dobra, bardzo zła! Bo ile razy można tłumaczyć, że ta obca kobieta to moja matka? Rozdzierało mi to serce, a jednocześnie denerwowało mnie. Kłębiły się we mnie różne uczucia.

Ale w końcu zdajesz sobie sprawę, że najlepiej poradzisz sobie z tą ustawicznie powtarzającą się sytuacją nie za pomocą wyjaśnień, ale przez odwrócenie uwagi. Przestałam przekonywać ojca, że tą obcą kobietą jest jego żona, po prostu zmieniałam temat na inny i wówczas wszystko w końcu wracało do normy.

- Podobnie było z naszą matką - odezwała się Rita. - Gdy została pacjentką na drugim piętrze, wciąż kojarzyła dom opieki z miejscem, gdzie przychodziła zobaczyć się z ojcem, zanim umarł. To był jeden z powodów, dlaczego od początku lubiła Steere House: znała go doskonale - rozkład, pokoje, koty!

- Polubiła zwłaszcza Maję - uzupełniła Anette. - Oskara nie bardzo. - Zaśmiała się.

- I ciągle pamiętała wielu pracowników, znała ich przynajmniej na tyle, że jej nie przerażali. Czasami siedziałyśmy w jej pokoju, a ona dopytywała o ojca. - Rita uśmiechnęła się smutno. - Mówiliśmy jej, że rozmawia przez telefon i że wróci do niej, jak tylko skończy.

- W końcu stajesz się mistrzem kłamstw - dodała Annette. - Wiem, że ja byłam.

- Czy kiedykolwiek czuliście się z tego powodu winne?

- Bo kłamałyśmy? - uściśliła Rita.

- Nie. - Annette stanowczo pokręciła głową. - Traktowałyśmy to jak występ w

przedstawieniu. Musisz się nauczyć odgrywać swoją rolę tak, aby odwrócić uwagę osoby z zaburzeniami pamięci. - Uśmiechnęła się. - Nigdy nie było nam dane zabrać matkę z powrotem do naszej rzeczywistości. Musiałyśmy udać się do jej świata.

- To pomogło również i nam - dodała Rita. - Wymyślanie różnych rzeczy pozwoliło nam skupić się na danej chwili. W innym wypadku, cóż, twoje myśli biegną do przodu, potem do tyłu i nie mają gdzie się zatrzymać. To potrafi wytrącić z równowagi.

Słuchając ich opowieści, uświadomiłem sobie, że wbrew własnej woli stały się ekspertkami w dziedzinie radzenia sobie z osobami z demencją L. z samym sobą.

- Widać, że obie nauczyłyście się radzić sobie z chorobą rodziców.

- Doktorze, niech pan nie sądzi, że to było łatwe - powiedziała Annette. - To, co udawało się w przypadku taty, nie sprawdzało się z matką, więc musiałyśmy zmienić strategię. Bywały dni, kiedy wychodziłam z pracy zalana łzami. Miewałam załamania nerwowe.

Rita pokiwała głową, potwierdzając słowa siostry.

- Pod koniec zdarzało się, że marna nie wiedziała, kim jestem - uzupełniła.

- I jak sobie z tym radziłaś? - spytałem.

- Uczyłam się cieszyć drobiazgami.

To brzmiało znajomo.

- Matka lubiła muzykę Cajun - wtrąciła Annette. - Nawet pod koniec stuknęła stopą w rytm swoich ulubionych piosenek. Gdy już nie bardzo mogła jeść, radość sprawiały jej lody. Robisz wszystko, co może ich uszczęśliwić, a kiedy się z czegoś cieszą, ty także jesteś choć przez chwilę zadowolony.

- Niemniej jednak do domu opieki trzeba się przyzwyczaić - powiedziała Rita. - My też musiałyśmy, tak jak inni.

Wykorzystałem jej ostatnie zdanie, aby gładko przejść do pytania dotyczącego Oskara.

- Czy fakt, że na piętrze były koty, ułatwił wam zaakceptowanie Steere House jako domu waszych rodziców?

- Jak najbardziej - potwierdziła Annette. - Razem z siostrą pocieszałyśmy się myślą, że byli tu Oskar i Maja. Sprawiali, że to miejsce stawało się bardziej znośne. To taka miła rozrywka. Nie tylko dla rezydentów, ale i dla odwiedzających. Obserwowanie kota jest fascynujące. Widział pan, jak kot znajduje stróżkę światła i po prostu wyciąga się w niej...

- Kocia joga! - dodała Rita. - Albo jak patrzy przez okno, jakby właśnie przechodziła pod nim parada? Albo sposób, w jaki kot się myje? Jakby nic innego na świecie nie miało

znaczenia...

Wiedziałem coś o tym.

- Koty żyją jakby w innym wymiarze. Są niezwykle, a do tego urocze - powiedziała Rita.

- Czy Oscar był z waszą matką, gdy nastął koniec?

Rita uśmiechnęła się, zanim udzieliła odpowiedzi.

- Doktorze, gdyby mnie przy tym nie było, nie uwierzyłabym.

- Nie uwierzyłabyś w co?

- Przed śmiercią mamy zdarzyło się kilka fałszywych alarmów. Za każdym razem, gdy następowało pogorszenie, Oskar wchodził do pokoju i sprawdzał, co u niej. Nie zostawał długo. Czasami po prostu mruczał, wachał jej stopy i natychmiast wychodził.

Wachał jej stopy? To było coś nowego.

- Byłyście zdziwione?

- Nie, słyszałyśmy od innych rodzin na oddziale, że ten kot robi takie rzeczy.

Biorąc głęboki oddech, Rita rozpoczęła opowieść o ostatnim dniu matki.

- Na początku był ten wyraźny dźwięk drapania: drap, drap, drap. Pamiętam, jak patrzyłam na siostrę i zastanawiałam się, skąd on dochodzi. Wyjrzałyśmy przez drzwi, ale żadnego kota nie było widać. Potem dźwięk się powtórzył: drap, drap, drap. To ciągnęło się może przez godzinę.

W końcu usłyszałyśmy pukanie.

- Wtedy jedna z asystentek pielęgniarek weszła do pokoju - wtrąciła Annette - zamykając za sobą drzwi. Spytała, czy nie będzie nam przeszkadzało, jeśli pozostawi je otwarte. Pamiętam, że obie z Ritą spojrzaliśmy na siebie zdezorientowane. Spytałyśmy, dlaczego. Ona na to, że Oskar był za drzwiami i desperacko próbował dostać się do środka.

- Dlaczego wcześniej go nie widziałyście? Skąd dochodziły odgłosy drapania? - spytałem.

- Widocznie zmęczył się siedzeniem za drzwiami i poszedł do pokoju obok. Drapał w ścianę, aby dać znak, że tam jest i chce wejść - tłumaczyła Anette.

- Asystentka powiedziała, że chodził przed naszymi drzwiami przez kilka godzin - dodała Rita. - Zapytała jeszcze raz, czy nie będą nam przeszkadzały otwarte drzwi. Spojrzałyśmy na siebie i powiedziałyśmy "w porządku". Więc je otworzyła, a Oskar wpadł do pokoju jak błyskawica i od razu wskoczył na łóżko mamy. Okręcił się kilka razy wokół siebie i spojrzał na nas z zadowolonym wyrazem pyszczka.

Następnie zwinął się przy niej w kłębek i zasnął.

- Patrzyliśmy na siebie - dopowiedziała Annette - całkowicie oszołomione tym, co widziałyśmy.

- Więc on tam był, gdy umarła? - upewniłem się.

Rita uniosła rękę, aby mi przerwać. Domyśliłem się, że tę historię opowiadała nie po raz pierwszy.

- Dalej robi się jeszcze ciekawiej, doktorze - stwierdziła. - Ta sama asystentka przysłała raz jeszcze, aby zmienić pościel.

Chciała przegonić kota, bo jej przeszkadzał. Oskar tylko patrzył na nią, uporczywie odmawiając ruszenia się z miejsca.

Gdy spróbowała go podnieść, syknął i uderzył ją łapką.

Wróciłem myślami do mojego pierwszego spotkania z Oskarem i nieświadomie potarłem dłoń w miejscu, w którym mnie drapnął.

- I kto wygrał? - spytałem z uśmiechem, choć właściwie znałem wynik starcia.

- Och, Oskar, oczywiście - potwierdziła moje przypuszczenia Rita. - Asystentka w końcu się poddała. Oskar nie opuścił naszej mamy, dopóki nie zmarła. Tak naprawdę nie zostawił jej, dopóki nie przyjechali ludzie z zakładu pogrzebowego.

- Najdziwniej sza rzecz - Annette z wyraźną fascynacją wracała pamięcią do tamtych chwil - wydarzyła się po tym, jak pracownicy zakładu przyszli i zabierali ją ze sobą. Oskar podniósł się wtedy w taki sposób, jakby stawał na baczność.

- Niemal jak straż honorowa - dodała jej siostra.

- Tak - zgodziła się Annette. - Jak straż honorowa.

Wcześniej wyobrażałem sobie, że Rita i Annette uciekną z domu opieki, tak jak się umyka z miejsca wypadku. Tymczasem wyraźnie ociągały się z wyjściem. To potwierdzało słowa Rity: „Steere House był naszym drugim domem”.

Chociaż przywiązały je bezsprzecznie przyjaźnie, jakie tu zawarły przez lata (to popołudnie wyglądało jak podczas

„Tygodnia w dawnym domu”*), wiedziałem również, że za część tej sympatii podziękowania należą się Oskarowi i jego czworonożnym przyjaciołom.

*Old Home Week - kultywowany w Stanach Zjednoczonych zwyczaj spotkania się byłych i obecnych mieszkańców danej społeczności lokalnej.

„Jak most pomiędzy matką a córką” - tak powiedziała Mary po mojej wizycie u Donny. I ja zaczynałem myśleć o Oskarze jak o łagodnym przewodniku, który potrafi zabrać ludzi z jakiegoś przerażającego miejsca do innego, przynoszącego ukojenie.

Myślę, że to jest jeden z powodów, dla których przez te wszystkie lata trzymaliśmy koty w Steere House. Pacjenci je lubią - czasem dlatego, że pozwalają im wrócić pamięcią do zapomnianej więzi, którą tworzyli kiedyś z jakimś zwierzęciem, albo dlatego, że zwierzęta nie osądzają. Kota nie obchodzi miejsce twojej pracy ani to, czy jesteś bogaty, czy biedny.

Nie ma dla niego znaczenia, czy jesteś w stanie zapamiętać jego imię lub czy orientujesz się w bieżących wydarzeniach.

Zacząłem sobie jednak uświadamiać, że koty wiele znaczą również dla rodzin pacjentów - i działa się tak na długo przed tym, nim Oskar rozpoczął swoje czuwania. Zwierzęta potrafią dodać otuchy krewnym chorych, czującym strach, gdy wchodzą do domu opieki. Dla wielu odwiedzających rzeczywistość ośrodka opieki potrafi być brutalną pobudką uświadamia, że życie jest ulotne. Swojska obecność kotów uspokaja, przypomina, że jednak toczy się ono dalej.

Rozdział jedenasty

Istnieją dwa sposoby ucieczki od udręk życia: muzyka i koty.

Albert Schweitzer

Dom Ferrettich przypomniał mi budynki, które można zobaczyć na rozkładówkach w "Architectural Digest".

Niewielki, usytuowany na jednym ze wzgórz North Providence, zwrócony na południe. Za jego ogromnymi, widokowymi oknami rozpościerała się wspaniała panorama miasta. Wnętrze było przestronne, jeden pokój przechodził niezauważalnie w drugi. Zapelniały je nowoczesne meble. Na ścianach wisiały półki z książkami i prace graficzne.

- Tutaj chcieliśmy z mężem spędzić emeryturę - oznajmiła Jeanne Ferretti, gdy oprowadzała mnie po domu podczas zimowego popołudnia. - On kochał to miejsce.

W końcu usiedliśmy przy kuchennym stole.

- Proszę spojrzeć - powiedziała, kładąc przede mną segregator. - Mój mąż był bardzo otwartym człowiekiem. Nie mieliśmy przed sobą wielu sekretów, ale do jednej z jego szuflad nigdy nie zaglądałam. Trzymał w niej swoje zapiski.

To była jego prywatna przestrzeń, którą szanowałam. Dopiero sześć miesięcy po jego śmierci zdobyłam się na odwagę, aby je przejrzeć.

Otworzyłem okładkę segregatora i spojrzałem na pierwszą stronę.

kochany,-

- BOŻE

Dziękuję – Ci - Nie wiedziałem, co mam o tym myśleć.

- Wydaje się dziwne, że napisał to człowiek, który właśnie wszystko tracił - powiedziała Jeanne. Stała przy oknie, podczas gdy ja pozostałem przy stole. - Niech pan odwróci kartkę.

Tam znalazły się trzy słowa, zapisane w podobny sposób:

JEANNE

Mysiu

Słoneczko

- Tak się do mnie zwracał przez lata - dodała. Czułe słowa.

Przerzuciłem kolejną kartkę i natknąłem się na nazwy dni tygodnia, od poniedziałku do niedzieli, zapisane drukowanymi literami, jedna pod drugą. Jakbym patrzył na dziecięcy elementarz, ale taki, który zawierał pewną część życia Lina i stanowił historię jego walki z

chorobą.

Na jednej ze stron zapisał dwukrotnie alfabet, najpierw drukowanymi literami, a potem pismem kaligraficznym.

Znalazłem także stronę z datami, najwyraźniej dla niego ważnymi, takimi jak rocznica ślubu, urodziny syna, Święto Niepodległości, Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie.

Zatrzymałem się na kolejnej stronie. To była ściągawka - taka, jaką dziecko w szkole podstawowej mogłoby przygotować na klasówkę. Lino zapisał tu drukowanymi literami odpowiedzi na pytania powszechnie występujące w testach pamięci: data, pora roku, dzień tygodnia, imiona prezydenta Stanów Zjednoczonych i gubernatora Rhode Island.

Czułem się nieswojo, patrząc na te zapiski, tak jakbym naruszał jego prywatność. Podniosłem wzrok na Jeanne, która wciąż spoglądała przez okno.

- Próbował walczyć - powiedziała po chwili - zmagając się z tym, co go toczyło. Taka ostatnia bitwa... Nigdy sobie nie uświadamiałam, jak usilnie się starał, dopóki nie odszedł. Po prostu nie chciał mnie do tego dopuścić.

Spojrzała na segregator i wskazała ściągawkę z badania lekarskiego.

- Pomogłam mu przy tym. Wiedział, że idzie do lekarza i uparł się, żebyśmy przećwiczyli odpowiedzi na te pytania.

Przed wizytą przerabialiśmy je godzinami. Myślałam, że ją wyrzucił. - Pokręciła głową i uśmiechnęła się cierpko. - Jednak nie pomogło. Nie odpowiedział na większość. Prawie zaczęłam płakać, gdy byliśmy w gabinecie, a on nie radził sobie z testem, do którego tak pilnie się przygotowywał.

Byłem zaskoczony. Od lat posługuję się tymi testami, badając pacjentów i nigdy nie przyszło mi do głowy, że oni się do nich przygotowują, próbując oszukać system.

Jeanne wzięła ode mnie segregator i przerzuciła kartki.

W końcu znalazła to, czego szukała.

- Proszę spojrzeć - rzuciła, podając mi z powrotem segregator.

Ta strona pochodziła ze słownika muzycznego. Zawierała szczegółowe definicje różnych instrumentów muzycznych: trąbki, pianina, saksofonu, puzonu i innych. Na kolejnej znajdował się schemat akordów durowych i molowych. Na dole chwiejnym pismem Lina zapisana była data: styczeń 2003, czyli ponad trzy lata przed jego śmiercią i przynajmniej cztery lata od chwili, gdy zaczął się u niego Alzheimer.

- Światem mojego męża była muzyka – powiedziała Jeane.

Ercolino Ferretti, Lino dla przyjaciół, przyszedł na świat w pierwszej połowie dwudziestego wieku w jednej z tysięcy rodzin włoskich - Amerykanów w pierwszym

pokoleniu, nowych przybyszów na przedmieściach North

Boston. Jego ojciec ledwo wiązał koniec z końcem z pensji na kolei, podczas gdy matka pracowała jako szwaczka w fabryce. Mieli ciężkie życie, takie, jakie przypadło w udziale wielu rodzinom imigrantów, które zbudowały ten kraj.

Lino uniknął pracy w fabryce. Został muzykiem. Był niezwykle utalentowany, z łatwością uczył się gry na różnych instrumentach. Studia przerwało mu powołanie do wojska podczas drugiej wojny światowej, jednak po jej zakończeniu i powrocie do domu natychmiast wrócił do swojej pasji. Uczęszczał do prestiżowego Konserwatorium

Muzycznego w Nowej Anglii, gdzie został uznany za jednego z najzdolniejszych muzyków nowej generacji.

Interesował się skomplikowanymi kompozycjami. Swoje utwory pisał na orkiestrę złożoną z ponad dwustu muzyków, a to sprawiało problemy logistyczne. Potrzebował nowych ram dla swojej twórczości, nowych środków wyrazu.

Znalazł je w dynamicznie rozwijającym się świecie komputerów.

Mimo iż nie stał się powszechnie znaną osobą, należał do pionierów w tej dziedzinie. Gdyby tworzył dzieła bardziej konwencjonalne lub został dyrygentem orkiestry, tak jak radzili mu nauczyciele, zapewne byłby dzisiaj sławny.

Zamiast tego, zajął się muzyką komputerową w czasach, gdy maszyny były jeszcze tak duże, że wypełniały cały pokój. Uczył w Instytucie Technologii w Massachusetts i jeździł z wykładami po całym świecie, dyskutując o swoich odkryciach z podobnie myślącymi innowatorami. Jak się okazało, miał rację co do komputerów jako przestrzeni dla muzyki. Współcześnie każdy, kto włącza komputer lub słucha iPod'a, wie, jak dużo muzyki ma formę cyfrową. Ale zaledwie kilka osób zdaje sobie sprawę z tego, w jakim stopniu przyczyniły się do tego badania Lina.

Miał dociekliwy i błyskotliwy umysł, dzięki czemu nadążał za postępem w dziedzinie informatyki. Zajmował się nią nawet po wycofaniu się z życia uniwersyteckiego. I nagle nastąpiła w jego umyśle niezrozumiała blokada.

- Jak ja się loguję? - zapytał skonsternowany żonę, pewnego dnia 2001 roku.

Ni stąd, ni zowąd, człowieka, który wykonywał dotąd prace o zadziwiającym stopniu komplikacji, pokonało proste zadanie. Fakt, zdarzało się, że gubił rzeczy, nie przychodził na spotkania, raz nawet nie potrafił wypisać czeku, ale dotąd lekceważył owe zaniki pamięci.

- Jest po prostu zmęczony - tłumaczyła sobie żona, próbując go usprawiedliwiać. - Ma dużo na głowie.

Ale tego ranka, gdy jej mąż nie potrafił włączyć swojego komputera, Jeanne się

przeraziła. Natychmiast zaczęła szukać dla niego pomocy.

Gdy po raz pierwszy spotkałem Lina w swoim gabinecie kilka lat po postawieniu diagnozy, wciąż był w stanie normalnie rozmawiać i samodzielnie funkcjonować w domu. Dwa lata później wymagał dwudziestoczterogodzinnej opieki. Ostatni rok swojego życia spędził w Steere House.

Jeanne stale mu towarzyszyła.

- W mowie pogrzebowej napisałam, że muzyka była jego miłością, życiem i pasją. - Jeanne porzuciła okno i podeszła do mnie. Wskazała stronę zawierającą definicje powszechnie znanych instrumentów. - Oto, co zrobiła z nim choroba. Patrzeć na erozję jego intelektu i kreatywności, patrzeć jak to się posuwa... To był koszmar nie do zniesienia.

Przez przyległy do kuchni salon poszła do wieży stereo.

Rozległy się dźwięki kwartetu jazzowego.

- Mój mąż kochał jazz - odezwała się wsłuchana w łkanie saksofonu. - To była jedna z jego ulubionych płyt.

Nawet gdy choroba Lina osiągnęła zaawansowane stadium, jego miłość do muzyki nigdy nie zniknęła.

Pokój wypełniały dźwięki kwartetu, a ja myślałem o wszystkich pacjentach z demencją, których leczyłem. Potem o swojej sześciomiesięcznej córeczce. Rodzimy się z określoną skłonnością do muzyki, z czymś, co wydaje się odporne na skutki chorób związanych z wiekiem. Wielu świeżo upieczonych rodziców dowiaduje się, że muzyka jest czasami jedynym sposobem na uspokojenie krzyczącego dziecka; Wróciłem myślami do licznych nocy, które wraz z córką dzieliliśmy ostatnio z Janem Sebastianem Bachem.

Muzyka na ogół wyciszała małą, kiedy kołysałem ją do snu.

Podobnie czasem dzieje się w przypadku pacjentów z demencją. Muzyka, zdaje się, trafia do wnętrza inną drogą niż mowa - jest zupełnie odmiennym środkiem komunikacji.

- Gdy mieszkaliśmy razem, zanim Lino trafił do domu opieki, każdy dzień zaczynaliśmy od kantaty Bacha lub koncertu fortepianowego Mozarta - wspominała Jeanne. - Kochał to. Ale gdy odchodził do ośrodka, nie potrafił już uruchomić odtwarzacza CD, ja włączałam go dla niego, a mąż siedział w swoim bujanym fotelu i słuchał z zamkniętymi oczami, zagubiony w muzyce. Wie pan, doktorze, Lino nawet pod koniec życia reagował na muzykę. Człowiek, który nie potrafił już nic koło siebie zrobić. Który czasami był nadmiernie pobudzony. Jednak kiedy włączyło się mu płytę z jazzem, siedział zadowolony w swoim fotelu godzinami. - Popatrzyła na mnie. - Dlaczego tak jest? Dlaczego Alzheimer jest tak dziwną chorobą? Tyle zabiera, ale jednak coś zostaje...

- Podejrzewam, że te najsilniej zakorzenione wspomnienia po prostu nigdy nie odchodzą - powiedziałem. - Jestem przekonany, że jakieś intuicyjne reakcje są wciąż dostępne, że istnieją rzeczy, których się nigdy całkiem nie traci. Na przykład pamiętam, że pod koniec choroby Lino nie znał pani imienia. Niemniej jednak jestem przekonany, że wciąż pozostawała pani dla niego ważną osobą.

Jeanne skinęła głową. Ta świadomość była dla niej, jak sądzę, pocieszająca, zapewne potwierdziłem tylko to, w co i tak już wierzyła.

- Może ma pan rację. Ale wciąż się zastanawiam, dlaczego tak jest...

- Myślę, że dużo wspomnień znajduje się w umyśle. Po prostu nie są łatwo dostępne. Jest jak dysk twardego komputera, który ulega awarii, wciąż na dysku są pliki, tylko nie można się do nich dostać. Ale niektóre rzeczy wydostają się na powierzchnię. Sądzę, że to dlatego tak wielu rezydentów reaguje na dzieci i zwierzęta takie jak Oskar.

Wzmianka o Oskarze sprawiła, że Jeanne się uśmiechnęła.

- Wie pan, mój mąż zawsze kochał zwierzęta, zwłaszcza koty. Mieliliśmy dwa syjamskie, zanim urodził się nasz syn.

Były dla nas jak dzieci. Niestety syn okazał się alergikiem, więc gdy one zmarły, nie wzięliśmy już innych.

- Czy Lino reagował na Oskara?

- Oczywiście, czasami nawet chodził za nim po oddziale.

Wyobraziłem sobie Lina, takiego jakiego znałem, nieskończenie ciekawego, przepełnionego zachwytem, na tropie nieuchwytnego Oskara. Pamiętajcie, że ten kot wcale nie garnął się do ludzi, podejrzewam, że musiał go irytować fakt, iż stał się obiektem naukowej ciekawości Lina. Dla człowieka, który tracił pamięć i umiejętności, ale nie miłość do muzyki, Oskar mógł być jakimś łącznikiem z przeszłością, tym ostatnim utraconym akordem. Lub też Lino najzwyczajniej w świecie lubił ganiać koty.

- Czy Oskar był obecny, gdy Lino umierał?

- Tak. Myślę, że Oskar wiedział, zanim zrozumiały pielęgniarki. U mojego męża rozwinęło się zapalenie płuc. Jak pan wie, pogarszało mu się gwałtownie i nie chcieliśmy poddawać go agresywnemu leczeniu. W dniu, w którym zmarł, przyszedłem po południu. Było z nim kiepsko, ale się trzymał. Jedna z pielęgniarek powiedziała, że jej zdaniem

Lino ma jeszcze czas i powinnam iść do domu. Zgodziłam się, chciałam wziąć prysznic i zjeść obiad, ale nie zdążyłam, niemal natychmiast wezwali mnie z powrotem. Gdy wróciłam, zauważyłam, że coś się zmieniło. W pokoju było przyciemnione światło. I zobaczyłam Oskara siedzącego na łóżku... Chyba wtedy już wiedziałam. Słyszałam o tym

kocie od ludzi na piętrze. Zadzwoiłam do syna i powiedziałam mu, by przyjechał. Dopiero gdy się zjawiał, przypomniałam sobie o jego alergii. Zapytałam, czy chce, abym odesłała Oskara. - Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Mój syn zdecydowanie odmówił. "Tata kochał koty i byłby zadowolony, że Oskar leży przy nim na łóżku", stwierdził. I dodał, że nic mu nie będzie.

Siedzieliśmy chwilę w ciszy, ponownie wsłuchani w muzykę. Jeanne spojrzała przez okno na ptaka, który przysiadł na karmniku tuż za oknem, ale karmnik był pusty, więc ptak odfrunął. Gdy odleciał, Jeanne znów na mnie popatrzyła.

Wyraz jej twarzy się zmienił, czułość i tęsknotę wywołane wspomnieniem o synu zastąpiła głęboka powaga.

- Przyglądanie się odchodzącej, ukochanej osobie jest niewyobrazalnie trudne... - Jeanne przetarła oczy chusteczką. - Jestem bardzo wdzięczna za czas, który dane nam było spędzić razem, za te wszystkie dobre chwile. Tylko...

Wciąż jeszcze nie potrafię przypomnieć go sobie sprzed choroby.

Cóż mogłem powiedzieć? Słuchałem tylko i uczyłem się.

- To chyba o to chodzi w przysięgach małżeńskich - na dobre i na złe, tak? - dodała Jeanne po chwili.

Zerknęła na ramkę cyfrową, stojącą na kuchennym stole. Zdjęcia jej wnuków pojawiały się i znikaly, pokaz slajdów na miarę dwudziestego pierwszego wieku.

- Podarunek od mojego syna na święta - powiedziała.

Spojrzałem i zobaczyłem jej wnuka, który wydawał się unosić w powietrzu na sankach, jego twarz zastygła niemal w euforii. To był ten rodzaj zdjęcia, jakie wszyscy rodzice i dziadkowie ubóstwiają, czysta radość dzieciństwa bez żadnych komplikacji, które pojawiają się w późniejszym życiu.

Wskazała na zdjęcie i znowu na mnie spojrzała.

- Niech pan się cieszy takimi chwilami - poradziła mi z głębi serca. - Są takie ulotne... - Wstała z krzesła i chwyciła ciasteczka z kuchennego blatu. - Teraz dość o mnie i o moim mężu - stwierdziła zdecydowanie. - Proszę, niech pan opowie mi o swoich dzieciach.

Gdy wchodziłem frontowymi drzwiami do własnego domu, z kuchni wypadł mój syn Ethan, głośno piszcząc. Rzucił mi się na szyję. Na jego twarzy malował się najczystszy wyraz radości. Wszystko, co musiałem zrobić, by się cieszył, to wrócić do domu. Przytuliłem go i mocno uścisnąłem.

- Jak się ma mój duży synek? - spytałem.

Pocałował mnie w policzek i pocałował z zapartym tchem i nieco nie zrozumiałe

opowiadać o wszystkim, co robił tego dnia.

- Tatusiu, nigdy nie zgadniesz, co dziś widziałem w szkole.

- Co takiego?

- Nie mogę ci powiedzieć. To sekret.

Graliśmy w to od dawna, moim zadaniem było zgadnąć.

- Czy chodzi o statek kosmiczny?

Spojrzał na mnie swoimi dużymi, brązowymi, otwartymi szeroko oczami.

- Neeee, tatusiu.

- Czy to był... DINOZAUR?

- Neeee, tatusiu.

- Czy to był...

Nie mogąc powstrzymać się ani chwili dłużej, Ethan wyrzucił z siebie:

- To był wóz strażacki! I był duży, i czerwony, i robił dużo hałasu.

Kontynuowaliśmy rozmowę, gdy niosłem go do salonu, gdzie ujrzałem moją piękną żonę leżącą na dywanie obok naszej córeczki. Gdy Dionne mnie zobaczyła, posłała mi taki sam uśmiech, w jakim zakochałem się lata temu, i przez moment wydawało mi się, że nasza córka Emma ją naśladuje. To były bogactwa, które miałem i nie zamierzałem czekać do emerytury, aby się nimi cieszyć. Na dobre i na złe.

Rozdział dwunasty

Czas spędzony w towarzystwie kotów nigdy nie jest stracony.

Colette

Nie mogłem się doczekać, aby zdać Mary sprawozdanie z rozmowy z panią Ferretti, ale nie było już czasu. Dochodziło wpół do piątej i dzienna zmiana wyszła. Wcześniej dzwoniło do mnie, aby uprzedzić, że mam umówionego nowego pacjenta. Gdy kierowałem się w stronę wind, zatrzymał mnie znajomy głos.

- Hej, doktorze! - zawołała Ida ze swojego wózka. - Dokąd pan zmierza w takim pośpiechu?

- Mam długie nogi, pani Ido - zażartowałem - i sporo spraw do załatwienia.

- Tak, pamiętam takie dni. Zbyt dużo spotkań, za mało czasu, żeby nadążyć. Wszystko wydawało się wtedy takie ważne.

- Czy chce mi pani zasugerować, żebym zwolnił?

- Trzeba się cieszyć podróżą, doktorze Dosa. Proszę smakować chwilę. - Miałem wrażenie, że czytała w moich myślach.

- Zabawne, ale żona mojego dawnego pacjenta właśnie powiedziała to samo.

- Dawnego, znaczy martwego? - Ida nie należała do osób, które owijają w bawełnę.

- Zgadza się - przytaknąłem. - Chodzi o jednego z moich pacjentów z drugiego piętra. Ta kobieta, gdy jej mąż już odszedł, uświadomiła sobie, jak cenne były spędzone z nim chwile. Cały ten czas, gdy wszystko wydawało się po prostu zwyczajne.

Ida skrzywiła się nieco, jakby dając do zrozumienia, że lepiej niż ja rozumie, co Jeanne miała na myśli. Ale swoją uwagę skupiła na mnie.

- Co tam z pana dziećmi? - spytała. - Spędza pan z nimi wystarczająco dużo czasu?

- Staram się w miarę możliwości.

- Ma pan jakieś zdjęcia? Może usiadłby doktor na chwilę?

Przysunąłem krzesło i z dumą wyjąłem swojego palmtopa.

- Co to jest? Jedno z tych nowomodnych ustrojstw, bez których dziś nikt nie potrafi się obejść? Zakładam, że ma tam pan całe swojej życie.

- W pewnym stopniu - odpowiedziałem. Wyświetliłem kilka ostatnich zdjęć: urodzinowe przyjęcie syna, pierwszy uśmiech córki.

- Zdaje pan sobie sprawę, że wychowanie dzieci jest najważniejszą rzeczą, jaką pan w życiu robi? O wiele ważniejszą niż te wszystkie granty, o jakie się pan ubiega, a nawet

jakikolwiek pana pacjent, poza mną, oczywiście.

- Zawsze mam dla pani czas, Ido.

- W takim razie proszę mi powiedzieć, czego dowiedział się pan o naszym przyjacielu, Oskarze.

Spojrzałem na nią zdziwiony. Może jednak czytała w moich myślach. Ida zaśmiała się.

- Mary mi powiedziała. Lubi, gdy jestem na bieżąco.

Więc czego się pan dowiedział, doktorze?

Zastanawiałem się przez chwilę, zanim odpowiedziałem.

- Mam poczucie, że im więcej się dowiaduję, tym mniej wiem - stwierdziłem w końcu.

- To znaczy, dlaczego on to robi?

- Kto to wie, doktorze? Pewnie istnieje jakieś naukowe wyjaśnienie, ale właściwie jakie to ma znaczenie? Idzie tam, gdzie jest potrzebny.

- Chyba ma pani rację - powiedziałem. - Ale pochodzę z rodziny naukowców. Nas interesuje nie tyle fakt, że dzin siedzi w butelce, ile to, w jaki sposób się tam znalazł.

- A powinien pan raczej myśleć o życzeniu, które dzin ma spełnić. - Zaśmiała się. - Czy jest pan człowiekiem wiary?

- Cóż, nie wierzę w dziny, jeśli to ma pani na myśli. - Tak naprawdę wiara i religia są tematami, o których trudno mi rozmawiać. - Jeśli natomiast pyta pani, czy chodziłem do kościoła bądź synagogi jako dziecko, odpowiedź brzmi „nie”. Wprawdzie mój ojciec w dzieciństwie śpiewał w chórze w kościele katolickim, a moja matka była żydówką, ale wychowali nas raczej na agnostyków.

- A pańska żona?

- Pochodzi z rodziny protestanckiej. Zawsze żartuję, że gdybyśmy wychowali buddystę i muzułmanina, mielibyśmy zaliczone wszystkie główne religie.

- Zapomina doktor o hinduistach. - Ida zachichotała. - To ci, którzy wierzą w reinkarnację.

- Racja, chyba powinienem się zdecydować na trzecie dziecko - powiedziałem rozbawiony. Wskazałem na Munchiego, który leżał wyciągnięty na stolku przy fortepianie i spał głęboko. - Jeśli będziemy mieli szczęście, pani Ido, może pani i ja powrócimy w przyszłym życiu jako koty.

- Ale tutejsze! Mają u nas dobre życie - zastrzegła.

- Całkiem poważnie, jeśli pyta pani, Ido, czy wierzę, że istnieje głębszy sens naszego czasu tutaj, na Ziemi, muszę powiedzieć „tak”. Przynajmniej mam nadzieję, że tak jest. Jako

lekarz, mam świadomość, że istnieją wiele zjawisk, które wykraczają poza wiedzę, jaką poznajemy na uczelni medycznej. - Wstałem. - Niestety, muszę już iść na górę.

- Idzie doktor zobaczyć tę kobietę z drugiego piętra - powiedziała domyślnie.

- Powinienem panią zatrudnić jako moją sekretarkę.

- Mógłby pan. Uważam za swój obowiązek wiedzieć, co się tu dzieje, doktorze. -

Wskazała głową windę. - Widziałam, jak sanitariusze przywieźli ją tutaj jakieś trzy godziny temu. Nie wyglądała za dobrze. Lepiej niech pan idzie, bo Oskar pana wyprzedzi.

Ida sprowokowała mnie do myślenia, co często się jej udawało. Tym razem powróciłem wspomnieniami do mojego pierwszego spotkania z czymś wykraczającym poza moją wiedzę.

Jako młody stażysta na uniwersytecie w Pittsburghu poszedłem pewnego ranka do sali szpitalnej, gdzie leżała pacjentka, którą przyjęto z powodu wyglądającego na lekki przypadek zapalenia płuc.

Nawet w czasie choroby pozostała piękną kobietą. Młoda, pełna życia, z długimi włosami koloru blond i niesamowitymi niebieskimi oczyma, mogłaby stać się ozdobą okładki magazynu mody. Ale tego ranka sprawiała wrażenie wystraszonej.

- Jak tam samopoczucie? - spytałem ze sztuczną serdecznością. Jako lekarz byłem żółtodziobem i próbowałem nadrobić brak doświadczenia najlepszym podejściem do pacjenta. W rzeczywistości zachowywałem się pewnie jak gbur.

Popatrzyła na mnie, jakby próbowała ustalić, czy można mi zaufać. Wierciła się na łóżku, nawijając jednocześnie długi kosmyk włosów na palce.

- Mówiąc uczciwie - odezwała się po chwili - fizycznie czuję się dobrze. Ale śniło mi się, że dziś umrę. Próbuję sobie tłumaczyć, że to tylko sen, jednak... okropnie się boję.

Wyglądała na bliską płaczu.

- Wiem, że to głupie - dodała.

Próbowałem sobie przypomnieć, czego, jeśli w ogóle, uczyli nas o całkowicie irracjonalnym strachu. Położyłem rękę na jej ramieniu. Starałem się, jak mogłem, sprawiać wrażenie kompetentnego lekarza.

- Naprawdę nie musi pani się martwić - uspokajałem. - Jest o wiele lepiej. Prawdę mówiąc, myślę, że dziś wypiszemy panią do domu. Antybiotyki powinny zrobić resztę i za kilka dni wróci pani do zdrowia.

Przyjęła to do wiadomości, o czym świadczyło potakujące kiwnięcie głową, jednak nie zauważyłem na jej twarzy ulgi.

- To dopiero musiał być sen - powiedziałem. - Obejrzę panią.

Może nie miałem doświadczenia jako lekarz, ale wiedziałem, że uważne wysłuchanie pacjenta uspokaja go i przynosi ulgę, zmniejsza napięcie. Każdy z nas przecież pragnie, by jego problemy traktowano poważnie, bez względu na to, czy są wyimaginowane, czy prawdziwe.

Fakt, że w ogóle coś robiłem, zdawał się działać uspokajająco. Gdy ją badałem, czułem, że się odpręża. Zmierzyłem ciśnienie krwi, osłuchałem serce i płuca. Na każdym etapie całościowego badania mówiłem, że nie mogę znaleźć niczego niepokojącego poza obecnie już niewielkimi objawami zapalenia płuc utrzymującego się w lewym dolnym płacie.

Zanim skończyłem, uśmiech wrócił na jej twarz.

- Dziękuję, doktorze - powiedziała pod koniec. - Chyba po prostu szpital tak na mnie wpływa.

Zadowolony z siebie opuściłem salę. No proszę, chyba okazałem się dobrym lekarzem! - pomyślałem.

Trzy godziny później otrzymałem nagłe wezwanie.

- O kogo chodzi? - spytałem pielęgniarkę z sercem podchodzącym do gardła.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Ja tylko przekazuję wiadomość od pielęgniarki tej pacjentki. Ale lepiej się pośpiesz.

Gdy gnałem na to samo piętro, na którym badałem wcześniej ową młodą kobietę, próbowałem przekonać siebie samego, że nie może chodzić o nią. Było tam tyle innych osób, starszych i w gorszym stanie: osiemdziesięcioletnia kobieta z rakiem płuc, pacjentka z cukrzycą niestabilną po świeżym zawale serca...

Podbiegłem do dyżurki pielęgniarek, skąd asystentka skierowała mnie na koniec korytarza, z dala od sali tamtej dziewczyny. Poczułem ulgę - chodziło o kogoś innego. Zostawiłem asystentkę w tyle i skręciłem za rogiem. Jak gracz futbolowy przedzierający się przez boisko przeciwnika pędem wyminąłem aparat EKG i wózek na posiłki z resztkami po porannym śniadaniu. Zobaczyłem kogoś na podłodze na końcu korytarza.

To była ona.

Leżała skulona w pozycji embrionalnej, odwrócona do mnie tyłem. Chociaż nie widziałem jej twarzy, rozpoznałem te długie blond włosy. Stałem tam jak sparaliżowany.

- Doktorze, chce pan, żebyśmy wezwały zespół ratunkowy? - usłyszałem czyjś głos.

To była Judy, doświadczona pielęgniarka z dużym stażem, która biegła w moim kierunku, ciągnąc za sobą urządzenie do podawania tlenu. Nie odpowiedziałem. Wciąż byłem w szoku.

- Doktorze!

- Co się stało? - Ocknąłem się w końcu.

Judy nerwowo zaczęła wprowadzać mnie w sytuację.

- Powiedziałyśmy jej, aby trochę pochodziła po korytarzu, zanim pójdzie do domu. Ni stąd, ni zowąd straciła przytomność. W chwili, gdy ją znalazłam, już z trudem walczyła o oddech.

Judy wymieniła parametry czynności życiowych. Ukłęknałem przy dziewczynie. Gdy odwróciłem jej głowę, dostrzegłem, że ma popielatą twarz i oczy nabrzmiące łzami.

Jej klatka piersiowa falowała tak, jakby walczyła z jakimś ciężarem, który ją przygniata. W jej oczach - jeszcze przytomnych - zobaczyłem strach i oskarżenie. Do dziś pamiętam to spojrzenie, już chyba zawsze będzie mi towarzyszyć.

- Nie mogę oddychać - powiedziała dziewczyna, z trudem chwytając powietrze.

Zerknąłem na Judy i kazałem wezwać zespół ratunkowy.

Potem skierowałem wzrok na pacjentkę i próbowałem ją uspokoić.

- Wyjdiesz z tego - obiecałem. - Nadchodzi odsiecz.

Tym razem ja byłem przerażony; musiała to usłyszeć w moim głosie. Zaczęła łkać. Wziąłem ją pod ramiona, uniosłem i oparłem o ścianę korytarza. Następnie podałem tlen z przenośnej butli i przykucnąłem obok. Wydawało mi się przez moment, że jej stan się poprawia. Twarz odzyskała normalny kolor, a gwałtowne falowanie klatki piersiowej wydawało się uspokajać. Pozwoliłem sobie na chwilę odprężenia.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziałem nieco spokojniej, próbując się uśmiechnąć.

Słyszałem kroki lekarzy pędzących do nas korytarzem.

Popatrzyła na mnie znowu. Tym razem jednak jej oczy były puste. Nagle wywróciły się do góry i opadła na podłogę. Wśród panującego wokół zamieszania rozpocząłem reanimację. Po kilku minutach uciskania klatki piersiowej cofnąłem się wyczerpany i zdyszany, pozwalając zmienić się koledze. Stałem otępiały, patrząc jak postępuje zawał serca, lekarze krzyczą, a pielęgniarki miotają się, donosząc potrzebne rzeczy.

Bała się. Dlaczego nie zleciłem więcej badań? Dlaczego z nią nie zostałem? - tłukło mi się po głowie. Trzydzieści minut później zaprzestaliśmy wysiłków i stwierdziłem zgon kobiety, która trzy godziny wcześniej oznajmiła mi, że umrze. Wynik każdej części mojego badania był w normie, ale ona wiedziała lepiej.

Skąd wiedziała?

Autopsja przeprowadzona po kilku dniach wykazała, że duży skrzep krwi zawędrował do jej płuc. Odkryto również, że kobieta miała rzadką, niezdiagnozowaną wcześniej chorobę krwi, z powodu której to się zdarzyło. Zatem istniało naukowe wytłumaczenie, dlaczego

zmarła tamtego dnia. Jak jednak wyjaśnić jej sen?

Od tego czasu zetknąłem się z wieloma dziwnymi zjawiskami. Jak w przypadku tego mężczyzny, który zgłosił się z rozsiałym nowotworem, a rok później choroba cofnęła się całkowicie, mimo iż nie wyraził zgody na terapię agresywną. Powinien umrzeć, a przeżył. Był jeszcze człowiek, który domagał się hospitalizacji, ponieważ "coś było nie tak", chociaż wszystko świadczyło o tym, że się myli. Próbowaliśmy go wypisać ze szpitala, a on nie chciał wyjść i koniec. Wszyscy mieliśmy go za wariata, zleciliśmy nawet badania pod kątem psychiatrycznym, aż trzeciego dnia jego pobytu na oddziale, kardiomonitor w końcu uchwycił zagrażającą życiu arytmie, która była przyczyną jego problemów. Podobnie jak moja młoda pacjentka, on wiedział i prawdopodobnie nie byłoby go już wśród nas, gdyby posłuchał lekarzy.

I jeszcze ta starsza kobieta, która oświadczyła mi 31 grudnia 1999 roku, że osiągnęła swój cel, jakim było dożycie do końca wieku.

- Dziś umrę, doktorze - powiedziała całkiem zwyczajnie. Żadne badanie nie wskazywało na to, że dzieje się z nią coś złego. Brak infekcji, żadnych problemów z sercem - nie znalazłem nic, co mogłoby prowadzić bezpośrednio do śmierci. Po prostu przyszła do szpitala, ponieważ była gotowa umrzeć. Zmarła kilka godzin później, tak jak zapowiedziała. Przyczyny pozostały nieznane.

Wiele odkryliśmy w dziedzinie medycyny, ale czasami odnoszę wrażenie, że wciąż ślizgamy się po powierzchni.

To, co w głębi, pozostaje tajemnicą. Może niektórzy ludzie wiedzą po prostu, kiedy nadchodzi czas. Może podobnie jest z kotami.

Rozdział trzynasty

Kot ma zbyt wielką duszę, aby nie mieć serca.

Ernest Menaul

Przeglądałem kartę naszej nowej podopiecznej. Pani Arella Matos była dziewięćdziesięcioletnią kobietą z chorobą Alzheimera i sporą liczbą innych dolegliwości, o czym świadczyła szczegółowa lista diagnoz medycznych i zaleceń lekarskich. Wyglądało na to, że nasza znajomość nie potrwa długo.

Poszedłem do pokoju pani Matos i znalazłem tam jej trzy córki. Ich matka spała. Oddychała szybko i płytko, widać było, że nie czuje się najlepiej. Przy niej na łóżku siedział mały chłopiec, bawiąc się parą figurek. Trzymał po jednej w każdej ręce, zmuszając zabawki do walki.

- Witam - powiedziałem, wchodząc. - Jestem doktor Dosa.

Przedstawiłem się każdej z córek, Gabrielli, Katerinie i Anie. Gdy wymienialiśmy uściski dłoni, obserwowałem ich twarze. Z twarzy, a zwłaszcza z oczu można wiele wyczytać. Szczęście, zmartwienie, ekscytacja, strach - to wszystko się w nich pojawia. Oczy tych trzech kobiet były po prostu smutne. Oddane córki, czy przyznały się przed sobą do tego, czy nie, w głębi duszy wiedziały, że ich matka dotarła do ostatniej stacji.

- Kto to? - spytałem o chłopca. Miał nie więcej niż pięć lat i przypominał mi mojego syna.

- To mój syn, Freddy - wyjaśniła Gabriella, naj starsza z kobiet, jak mi się wydawało.

Podszedłem i usiadłem obok małego na łóżku.

- Cześć, Freddy. Jestem doktor Dosa. Ile masz lat?

Freddy wyciągnął jedną dłoń z rozcapierzonymi palcami, aby pokazać, że ma pięć lat. Potem zaprezentował mi swoje figurki.

- To jest Spiderman, a to jest Superman.

- Czy one pomagają w opiece nad babcią?

Freddy pokiwał głową, a następnie wrócił w swój wymyślony świat, wystawiając dwie zabawki przeciw sobie w pozorowanej walce.

Skierowałem uwagę na córki.

- Proszę mi opowiedzieć o matce.

- Doktorze, czujemy się okropnie, bo zabrałyśmy mamę z domu - stwierdziła Gabriella. - Zawsze mówiła nam... - Głos się jej załamał i urwała.

Przysunąłem się bliżej.

- Po prostu przestałyśmy sobie radzić z opieką nad nią - dopowiedziała Katerina..

Najwyraźniej zmagaly się z poczuciem, że zawiodły matkę, nie spełniwszy jej życzenia. Widząc stan pani Matos, po raz kolejny uzmysłowiłem sobie, że okoliczności czasami uniemożliwiają dostosowanie się do czyichś pragnień i zmuszają do łamania obietnic wbrew własnej woli.

Do pokoju weszła asystentka, aby przeprowadzić wstępne oględziny nowej pacjentki. Zaproponowałem, byśmy się przenieśli do pokoju odwiedzin na końcu korytarza, gdzie można swobodnie rozmawiać. Najmłodsza córka, Ana podjęła przerwany wątek.

- Nasza matka zawsze była niezależna - tłumaczyła. - Mieszkała sarna, więc nie zdawałyśmy sobie sprawy, na co się zanosi, dopóki nie zrobiło się za późno. Trzy lata ternu pojechałyśmy z Kateriną do naszego kraju, Republiki Dominikany, żeby się z nią zobaczyć. Jej mieszkanie było w strasznym stanie. Wszędzie walały się gazety, w zlewie zalegał stos niepozomywanych naczyń. Nie miała czystych ubrań, po prostu przestała prać. - Popatrzyła na Katerinę i wiedziałem, że ponownie przeżywają tamten moment, gdy weszły do mieszkania matki. - Wyszłyśmy na zewnątrz i zaczęłyśmy płakać. Marna zawsze była taka dumna ze swojego domu. I pedantycznie dbała o porządek. Nie można było zostawić na stole nawet filiżanki po kawie, żeby jej nie zabrała i nie umyła. A teraz? Jak mogłyśmy pozwolić naszej matce tak żyć? Od razu, tam na miejscu postanowiłyśmy, że przeniesiemy ją do Stanów i zabrałyśmy mamę ze sobą samolotem. To było dwa lata ternu. Od tego czasu robimy wszystko, co możemy, aby jej zapewnić jak najlepszą opiekę. - W oczach Any pojawiły się łzy, nie była w stanie dalej mówić.

- Gdy matka znalazła się na Rhode Island, była zagubiona. - Pałeczkę przejęła Gabriella. - Jej angielski mocno kulał i myślę, że bariera językowa pogorszyła dezorientację.

Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Wstawała w nocy i wychodziła. Pewnego razu musiałyśmy poprosić policję o pomoc w poszukiwaniach. Nie może pan sobie wyobrazić, jakie to przerażające - obudzić się w środku nocy i stwierdzić, że matki nie ma. Innym razem, jakiś rok ternu, wyszła z domu mojej siostry i spadła ze schodów. Dzięki Bogu nic jej się nie stało, więc z pogotowia odesłali ją z powrotem. Nikt nam nawet nie zasugerował, że potrzebujemy pomocy, nikt nie próbował nam doradzić, co robić...

- Kilka tygodni później marna przestała jeść - wtrąciła

Katerina. - Potem rozwinęło się u niej zapalenie płuc. Za każdym razem rozmawiałyśmy z lekarzem pierwszego kontaktu, ale on po prostu odsyłał nas do domu. "Ma depresję", oświadczył i przepisał leki. "Ma zapalenie płuc", powiedział Gabrielli i dał

antybiotyk. Faszerował ją pigułkami i to wszystko. Żadna z nas nie wiedziała, co robić. Zaczęliśmy dyżurować przy marnie, śpiąc obok niej na podłodze, aby mieć pewność, że nie ucieknie ponownie. To było bardzo wyczerpujące. W końcu kilka miesięcy temu marna przestała chodzić, więc musiałam poprosić lekarza, aby przysłał fizjoterapeutę, który by nam pomógł. Gdy terapeutka przyjechała, natychmiast zorientowała się w sytuacji. I od razu zapytała, dlaczego nie jest w to zaangażowane hospicjum.

Byłam zszokowana. Pamiętam, że tej nocy zadzwoniłam do swojej siostry i zastanawialiśmy się, o co tej kobiecie chodziło. Dlaczego hospicjum. Teraz to wydaje się głupie, ale wtedy żadnej z nas w ogóle nie przyszło do głowy, że marna umiera. Następnego dnia skontaktowałam się z naszym lekarzem i spytałam go. Odpowiedział, że nie pomyślał o hospicjum. - W jej oczach pojawił się gniew. Miesiące frustracji zbierały swoje żniwo.

- Chciałabym, aby lekarze tłumaczyli ludziom, że hospicja są dla różnych przypadków, nie tylko dla tych, którzy umierają na raka - dodała Gabriella. - Ludzie słyszą słowo „hospicjum” i myślą ”Och, nieuleczalnie chorzy. Umierają na raka”. Ale moja matka nie umiera na raka. Ma demencję.

Rozumiałem ich gniew i żal. Ludzie nie powinni dowiadywać się o roli i funkcji hospicjów przypadkiem, dzięki luźno rzuconej uwadze. Niestety, wielu lekarzy nie bierze pod uwagę takiego rozwiązania w przypadku osób, których koniec nie jest wystarczająco bliski, gdyż sami nie rozumieją tej koncepcji. Nie zdają sobie sprawy, że opieka hospicyjna wcale nie ogranicza się do podawania morfiny umierającym pacjentom. Hospicjum może być ważnym źródłem wiedzy i zapewnić wsparcie zarówno pacjentom, jak i ich rodzinom. Jego pracownicy nie zajmują się dostarczaniem informacji o fizycznym akcie umierania; służą praktycznym i emocjonalnym poradnictwem. W wielu przypadkach świadczą opiekę i zapewniają pomoc pielęgniarstwa w domu pacjenta, gdy jego choroba ulega progresji - usługi, które czasem mogą nawet przedłużyć życie.

- Przykro mi, że musiały panie przejść przez to wszystko - powiedziałem. - Mam nadzieję, że będziemy w stanie pomóc matce pań odejść w spokoju.

- Chciałyśmy zatrzymać mamę w domu, doktorze, naprawdę. - Gabrielli wyraźnie ta kwestia nie dawała spokoju.

Skinąłem głową. Rozumiałem ich sytuację lepiej, niż one mogły to sobie wyobrazić. Słuchając opisu niechlujnego domu ich matki, wspominałem własną teściową oraz moją i żony ostatnią wizytę u niej. Zmierzałyśmy tą sarną drogą co zgromadzona tu rodzina i ich przeżycia wzbudziły we mnie uczucie niepokoju. Co przyniosą nam, mnie i żonie przyszłe dni?

- Najważniejsze, że matka pań jest teraz tutaj, pod dobrą opieką, i że panie są przy niej
- zwróciłem się do siostr Matos.

Gdy wróciliśmy do pokoju pani Matos, zjawiła się pielęgniarka hospicyjna, aby ocenić stan fizyczny chorej. Ale nie była jedynym gościem. W szybie okna rysowało się odbicie charakterystycznej sylwetki kota, który usadowił się na łóżku. Oskar objął posterunek. Zignorował nas, koncentrując całą uwagę na pacjentce. Obrócił się trzykrotnie wokół, szukając jak najwygodniejszej pozycji, po czym położył się z głową na łapach. Wyglądało na to, że zamierza zostać.

Freddy go zauważył.

- Spójrz, mamó, tam jest kot! - zawołał cicho. - Na jego buzi dojrzałem wyraz ożywienia, oczy mu zabłysły.

- To jest Oskar - powiedziałem.

- Czy on tu mieszka? - spytał chłopiec, podchodząc bliżej, aby mieć lepszy widok na czworonoga.

- Tak, Oskar mieszka na tym piętrze.

- Co on robi? - dążył malec.

- Przeważnie różne kocie rzeczy, ale chyba też opiekuje się wszystkimi - odparłem.

- Czy babcią też się opiekuje?

- Tak, Freddy, opiekuje się. Chciałbyś, żeby tak było?

Freddy myślał przez chwilę, po czym z powagą przytaknął.

Zastanowiłem się, czy pięciolatek potrafi w pełni pojąć, co się dzieje. Czy dociera do niego nieuchronność losu babci? Pewnie nie. Mój syn właśnie teraz zaczynał oswajać się z pojęciem śmierci. Dyskutując z Freddyem, przypomniałem sobie rozmowę, którą odbyłem niedawno z Ethanem, kiedy kładłem go do łóżka.

- Tato - spytał - czy jak umrę, będę chodził do szkoły?

Tak czy owak, Freddy'ego najwyraźniej ucieszyła informacja, że kot pomoże jego babci. Wyciągnął rękę w kierunku zwierzęcia. Oskar powąchał ją i wzdrygnął się lekko, ale nie wyglądał na zdenerwowanego. Pozwolił chłopcu się pogłaskać. Odniosłem wrażenie, że sprawiło mu to nawet przyjemność.

Chyba nigdy nie zrozumie kotów.

Pielęgniarka hospicyjna zakończyła badanie pani Matos i przedstawiła się jej córkom. Wykorzystałem tę okazję by wyjść i pożegnałem się. Wiedziałem, że już ich nie zobaczę.

Gdy opuszczałem pokój, usłyszałem wołanie.

- Doktorze!

Odwróciłem się i spojrzałem na Katerinę.

- Doktorze, dziękuję za rozmowę. Mam jeszcze jedno pytanie. Nasza czwarta siostra, Maria, mieszka w Kalifornii. Poświęciła już sporo swojego urlopu, aby pomóc nam w opiece nad matką. Czy myśli pan, że powinniśmy ją wezwać?

Spojrzałem w głąb pokoju. Oskar mruczał cicho, przytulony do nóg pani Matos. Freddy delikatnie gładził go po sierści.

- Tak - stwierdziłem zdecydowanie. - Powinny panie być tu wszystkie.

Rozdział czternasty

Ludzie mają swoje psy.

Koty mają swoich ludzi.

autor nieznany

Średnia "trafień" Oskara, którego zaczęliśmy traktować jako wczesny system ostrzegania, była niezwykle wysoka.

Właściwie nie pomylił się ani razu.

- Jak myślisz, co by się stało, gdybyśmy mieli dwóch pacjentów umierających w tym samym czasie? - zapytałem

Mary niedługo po tym, jak pani Matos umarła.

- Właściwie to się już zdarzyło - odparła. Siedzieliśmy w jej gabinecie za dyżurką. Na drugim piętrze panował niesamowity spokój. - Dwóch pacjentów odchodziło równocześnie; trudno było powiedzieć, który z nich umrze pierwszy. Jeden z nich czuł się trochę lepiej; pamiętasz Larry'ego Scheera?

Pokiwałem twierdząco głową, podczas gdy Mary kontynuowała:

- Larry był pacjentem hospicyjnym, ale nie było z nim tak źle. Natomiast ten drugi dżentelmen, który przebywał na końcu oddziału, naprawdę czuł się fatalnie. Miał problemy z oddychaniem i okropnie się męczył. To jego wybrał Oskar.

- Tak jakby uznał, że jemu bardziej potrzebna jest jego obecność - podsumowałem.

- Żona tego biedaka czuwała przy nim, patrzyła, jak cierpi. - Mary pokiwała głową. - Pamiętam, jak szłam korytarzem, by się z nią zobaczyć. Myślałam, że to musi być dla niej strasznie trudne. Okazało się jednak, że już się pogodziła z tym, co nieuniknione. Zapytałam, czy jest coś, co mogłabym zrobić, a ona odpowiedziała, że Oskar jest tu dla niej i jej męża, i że nic więcej im nie trzeba.

- Brzmi to tak, jakby obecność Oskara przynosiła jej ulgę. Dlatego, że odwracał uwagę od stanu męża? - Zastanowiłem się.

- Możliwe - przytaknęła Mary. - W pewnym momencie wyciągnęła nawet aparat, aby sfotografować kota.

Jakiś okruczeństwo pozytywnego wspomnienia zrodzonego w samym środku tak posępnej sceny? Ta myśl była dziwnie kojąca. Spojrzałem na korytarz, szukając wzrokiem Oskara.

Maja spała zwinięta w kłębek na krześle za dyżurką, ale jego nie dostrzegłem.

- A tak nawiasem mówiąc, gdzie on się podziewa? - zainteresowałem się.

- Zeszłej nocy czuwał przy jednym z pacjentów twojego kolegi i podejrzewam, że jest zwyczajnie zmęczony. Gdzieś się zaszył. To tak, jakby przechodził w stan hibernacji.

- Czy on je cokolwiek, gdy ma robotę?

- Czasami, ale to nie znaczy, że się obja. Wymknie się na dwie minuty, pożywi się i już jest z powrotem przy pacjencie. Jakby rzeczywiście trzymał wartę.

W mojej głowie pojawił się obraz Oskara śpiącego gdzieś, prawdopodobnie w jakiejś szafie lub pod łóżkiem.

- Jak sądzisz, Mary, o co tu chodzi? - spytałem. - Dlaczego on robi to, co robi?

- Myślałam, że tego właśnie próbujesz się dowiedzieć, rozmawiając z rodzinami.

- Bo tak jest. Ale, jak mówią, zajrzyj pod każdy kamień.

Jestem ciekaw twojego zdania.

Usiadła wygodniej na krześle i przez chwilę się namyślała.

- Dobrze wiesz, że traktuję Oskara niemal jak własne dziecko. Nawiązał ze mną więź już przy pierwszym spotkaniu. Każdego ranka dawałam mu wodę z lodem...

- O kurczę, ależ te koty są rozpuszczone! Mnie nikt nie przynosi wody z lodem - poskarżyłem się.

Mary uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała.

- Gdybyś kiedykolwiek był właścicielem zwierzęcia - wróciła do tematu - wiedziałbyś, że w sytuacji, gdy ktoś z rodziny ma problemy, twój milusiński najprawdopodobniej będzie przy nim siedział.

Przypomniałem sobie Jolly' ego, czarnego miniaturowego pudła, który dotrzymywał mi towarzystwa, gdy chorowałem.

- Fakt - powiedziałem. - Mieliśmy takiego psa, gdy byłem dzieckiem. Ale to co innego. Tamten pies był członkiem rodziny.

- A z tym kotem myślisz, że jak jest? - odparła Mary. - To jego dom. Członków rodziny ma aż czterdziestu jeden i gdy któryś z nich cierpi, Oskar przy nim siedzi.

Przez moment milczałem, myśląc o kocie, który zdawał się opiekować wszystkimi pensjonariuszami z tego piętra.

Nic dziwnego, że był wykończony.

- No dobra, więc z kim jeszcze zamierzasz porozmawiać? - zapytała Mary, zmieniając temat.

- Nie wiem. Na mojej liście jest sporo osób. Opierając się na tym, co mi powiedziałaś, na pierwszy ogień powinna iść pani Scheer. I na pewno muszę odezwać się do Jacka McCullougha.

W recepcji rozległ się dzwonek, przerywając naszą rozmowę. Mary pochyliła się i wcisnęła przycisk.

- W czym mogę pomóc? - rzuciła do mikrofonu.

- Mary, potrzebuję tu pani. Czy może pani przyjść? - Usłyszeliśmy głos Franka Rubensteina.

- Chyba czas wracać do pracy - oznajmiła z westchnieniem Mary podnosząc się.

Gdy wybiegła, chwyciłem z półki kartę pani Rubenstein.

Ruth ponownie została przyjęta po tygodniowej hospitalizacji spowodowanej nawrotem zapalenia płuc. W szpitalu infekcję szybko opanowano, ale zmiana otoczenia pogłębiła u pacjentki dezorientację i wywołała zespół majaczeniowy. Pani Rubenstein przestała jeść i potrzebowała silnych leków uspokajających. Konieczna była stała obecność pielęgniarki, która zajmowała się głównie powstrzymaniem chorej od wstawania z łóżka, aby zapobiec upadkom.

Gdy przeglądałem dokumenty szpitalne Ruth, uświadomiłem sobie czyjąś obecność. Rzeczywiście nie byłem sam.

Oskar zmaterializował się i siedział na podłodze obok, obrzucając mnie nieprzyjaznym spojrzeniem.

- O co chodzi? - Zdziwiłem się. - Czyżbym zajął twoje miejsce?

Zamiauczał najpierw delikatnie, potem głośniejszym, niemal wojowniczo.

- Zagradzasz mu drogę - oświadczyła Mary z rozbawieniem, pojawiwszy się w drzwiach. Wskazała miseczkę z wodą znajdującą się pod biurkiem. - Twoje stopy mu przeszkadzają.

- Proszę o wybaczenie, wasza wysokość - powiedziałem, podnosząc się z krzesła.

Zerkając na mnie podejrzliwie, Oskar poczekał, aż przemieściłem się na drugą stronę biurka i w końcu podreptał się napić. Wyraźnie miał mi za złe, że tak długo to trwało.

- Czy ty to widzisz? - jęknąłem z oburzeniem.

- To jego biurko, David. Ciesz się, że pozwala ci tu pracować od czasu do czasu - mówiła zupełnie poważnie.

Stała po stronie kota. To był świat Oskara.

- Frank chce się z tobą widzieć - oznajmiła, sprowadzając mnie z powrotem na ziemię. Patrzyłem na nią, czekając na wyjaśnienie.

- Od czasu, kiedy Ruth tu wróciła, jest zbyt zdezorientowana, aby cokolwiek jeść. Próbowaliśmy ją namawiać, ale nawet kęsa do ust nie wzięła. A Frank przychodził do mnie co chwila, pytając, co ma robić, aby ją dał. Ostatnim razem powiedziałam mu, że jego żona

zacznie jeść, gdy będzie gotowa. Próbowałam go uspokoić, mówiąc, że Ruth wciąż dostaje płyny dożylnie i że to pomaga.

- I jak zareagował?

- Naskoczył na mnie! A potem odszedł, mamrocząc, że chce, by jego żona umarła.

Członkom rodzin niełatwo patrzeć, jak ich bliscy odmawiają jedzenia. Pozywienie jest niezbędne do życia - to powszechna świadomość i krewni osób przebywających w domach opieki często traktują brak apetytu jako wskaźnik złego samopoczucia, choć przecież i zdrowi ludzie czasem nie są głodni.

- Tym razem też o to chodziło? - spytałem.

- Tak. Chciał wiedzieć, czy mogę ją przekonać do zjedzenia obiadu. Niczego nie tknęła.

Udając się do pokoju Ruth, minąłem Louise drzemiącą w fotelu na korytarzu, jej chodzik stał obok oparcia. Jak zwykle była starannie uczesana: siwe pasma zostały przycięte i lekko podkrecone. Miała na sobie bluzkę w kolorze złamanej bieli i dobrze dobraną, skrywającą kolana spódnicę. Louise wyglądała tak spokojnie, jakby zasnęła w trakcie nabożeństwa, pochłonięta myślami o zbawieniu. Nie po raz pierwszy zastanawiałem się, o czym może śnić.

To ważne pytanie. Czy ludzie z demencją śnią tak, jak ludzie zdrowi, czy też ich sny są nieuporządkowane i niespokojne - podobnie jak ich umysł na jawie? Czy te sny ofiarowują odpoczynek od dezorientacji i niepokoju charakterystycznych dla nich w stanie czuwania, czy też się do nich przyczyniają? Często o tym myślę. Przecież wielu naukowców twierdzi, że sen wspomaga umysł w procesie uczenia się; to okazja dla mózgu, aby się przeorganizował, przetworzył wspomnienia i gromadził je w taki sposób, żeby później łatwo było do nich dotrzeć. Co to oznacza dla pacjenta z zaburzeniami pamięci?

Jaki wpływ na ów proces mają leki? We wczesnym stadium demencji pacjentom często podawane są medykamenty przeciw Alzheimerowi, które zwiększają poziom acetylocholiny w mózgu, co może prowadzić do głębokiego i czasami niespokojnego snu. Jednakże w późniejszych stadiach choroby coraz mniej słyszy się o śnieniu chorych.

Możliwe, że przestają być dla nich istotne, warte zapamiętania. Może nawet tracą wspomnienie tych snów. Jednak gdy patrzyłem na pochrapującą Louise, miałem nadzieję, że przebywała w świecie dobrych snów i że ma teraz dostęp choć do części wspomnień, które straciła na jawie.

Czy śniła o swoim mężu, przystojnym lotniku w mundurze z drugiej wojny światowej, gotowym do startu lub wysiadającym właśnie z samolotu po bojowym locie? Próbowałem

wyobrazić sobie, jak kiedyś wyglądało życie

Louise, jakie to uczucie kochać kogoś, kto wyruszył walczyć.

Co czuła? Samotność i strach? Może o tym właśnie śniła.

Albo o zakończeniu wojny. Czy w marzeniach sennych wracała do niej niepohamowana radość, gdy ujrzała go żywego i bezpiecznego, i szczęście, że po latach rozłąki i niepokoju rozpoczną życie na nowo? Nawet myślenie o tym łamało serce. Są wspomnienia, które nigdy nie powinny zostać zgubione. Czy wracają w snach?

Ruth leżała w łóżku, oczy miała zamknięte. Wyglądało jednak na to, że nie spała, bo przewracała się niespokojnie z boku na bok. Jej sny na pewno nie były przyjemne... Zastukałem w wewnętrzną stronę drzwi, oznajmiając swoje przybycie. Ten odgłos przestraszył Ruth - uniosła powieki. Frank, który drzemał, poderwał się z miejsca i rozejrzał wokół.

- Och, doktorze, jak dobrze, że pan przyszedł. - W jego głosie słychać było niepokój.

- Jak ona się miewa? - spytałem, podchodząc do łóżka.

- Niedobrze, doktorze. Nie wróciła do siebie. Zastanawiam się, dlaczego wypisali ją ze szpitala. Jest wciąż taka zagubiona...

Przysunąłem krzesło i usiadłem przy Franku.

- Wystąpił u niej stan majaczeniowy, panie Rubenstein.

- Co to znaczy? Wciąż ma zapalenie płuc?

- Nie, z tym sobie poradzono. Ale czasami, gdy starsi ludzie zachorują, infekcja może wywołać u nich stan znacznego zagubienia. "Majaczenie" to termin, którym określamy taką dezorientację. Ta zmiana dotyczy skupienia uwagi. To dlatego Ruth jest teraz taka poruszona.

Wpatrywał się we mnie pustym wzrokiem. Spróbowałem z innej strony.

- Jest w tej chwili jak dziecko, które widzi pająki na ścianie, gdy ma wysoką gorączkę. Starsi ludzie, zwłaszcza z problemem z pamięcią, jak pańska żona, łatwo ulegają dezorientacji nawet wówczas, kiedy przechodzą niewielką infekcję, jaka wcześniej nie miałaby na nich wpływu. Nazywamy to zespołem majaczeniowym, który może utrzymywać się nawet wówczas, gdy infekcja przejdzie.

- Czy jej się poprawi?

- Spodziewam się, że poprawa z czasem nastąpi, ale może to potrwać kilka dni, a nawet tygodni.

- Ale ona nie je, doktorze!

Ruth jęknęła cicho. Usiadłem przy niej i przyłożyłem stetoskop do klatki piersiowej. Uniosła natychmiast górną część ciała i z całej siły uderzyła mnie ręką. Frank zerwał się z

krzesła i przyklęknął obok łóżka. Chwył jej dłoń i mocno przytrzymał przy swojej piersi. Na jego twarzy malowała się troska.

- Ruth, lekarz przyszedł - powiedział. Ton jego głosu był błagalny. - Jest tutaj, żeby ci pomóc.

Zrobiło mi się go żal. Tak naprawdę niewiele mogłem działać, aby jego żona poczuła się lepiej, poza kontynuowaniem leczenia pierwotnej infekcji. Mimo wszelkich postępów w medycynie, Ruth mógł pomóc jedynie czas, a i to nie było pewne.

Niemniej jednak łagodny głos jej męża zdawał się ją uspokajać i z powrotem ułożyła się na łóżku. Prowadziłem dalej badanie.

- Co z jedzeniem, doktorze? Jak mam sprawić, żeby jadła?

- Może się to panu teraz nie udać.

- Ale jeśli nie będzie jadła, umrze! - Sfrustrowany rzucił mi gniewne spojrzenie - Czy chce pan, żeby umarła?

- Nikt nie chce, żeby umarła, proszę pana.

- Jak ma wydobrzeć, nic nie jedząc?

- Frank, niech pan zrozumie, robimy wszystko, co tylko możemy. Pielęgniarki i asystentki naprawdę się starają.

Przy każdym posiłku siedzą przy Ruth i cierpliwie próbują podać jej jedzenie. Jestem pewien, że część przetyka. Nawadniamy ją dożylnie płynami dostarczającymi pewne składniki odżywcze. W miarę jak zespół majaczeniowy będzie się zmniejszał, zaczną odzyskiwać apetyt, taką mam w każdym razie nadzieję.

- Ale wyleczyliście jej infekcję, doktorze, prawda?

- Tak, wyleczyliśmy, jednakże wynikły z niej stan zagubienia potrzebuje czasu, aby się cofnąć. - Odniosłem wrażenie, że w kółko powtarzam to sarno.

- Ale jeśli nie zaczną jeść, nie powinniście jej założyć sondy do karmienia? - Teraz w jego głosie usłyszałem błaganie.

- Proszę pana, nie sądzę, żeby to zmieniło ogólny wynik. Poza tym, gdy pańska żona była jeszcze w stanie wypowiadać się za siebie, powiedziała, że nie chce sondy, która pomagałaby jej w odżywianiu. Należałoby chyba uszanować jej życzenie.

Pogratulowałem sobie w duchu, że we trójkę przedyskutowaliśmy tę sprawę na wczesnym etapie choroby Ruth, kiedy wciąż jeszcze mogła uczestniczyć w rozmowach dotyczących swojej przyszłości. Ze wszystkich tematów, które poruszam z pacjentami i ich rodzinami, dyskusja o sondach służących do karmienia jest prawdopodobnie najtrudniejsza. Widziałem rodziny nękanie rozterką, czy założyć taką sondę pacjentowi z demencją, który

zaczynał tracić wagę.

Podjęcie tej decyzji jest dla nich niezwykle trudne ze względu na powszechne mniemanie, że taka ingerencja przedłuża życie. W rzeczywistości, w zaawansowanym stadium demencji, zakładanie sondy jest bez sensu. Obiektywnie mówiąc, nigdy nie wykazano, że przyczynia się ona do wydłużenia życia pacjenta lub zmniejszenia liczby przypadków zapalenia płuc. Natomiast przysparza choremu dodatkowych cierpień: samo zakładanie wymaga zabiegu operacyjnego lub endoskopii, ponadto sonda często wypada, co wiąże się z wizytami na pogotowiu, może też powodować infekcję, nierzadko się zapycha.

Niestety, wiele osób ma poczucie, że niepodawanie jedzenia pacjentom w ten sposób jest równoznaczne z głodzeniem ich, z okrutną, niezasłużoną karą. Tymczasem utrata wagi pod koniec życia, to naturalny skutek uboczny procesu wyłączenia się ciała przygotowującego się do śmierci. Pacjenci na tym etapie nie odczuwają głodu ani pragnienia, tak jak osoby zdrowe. Jednak członkowie rodziny nie potrafią przyjąć tego faktu do wiadomości, widząc, jak ktoś, kogo kochają, gaśnie. O wiele łatwiej się z nimi porozumieć, gdy pacjent świadomie wypowiedział się w tej sprawie w bardziej sprzyjającym momencie.

Frank spojrzał na mnie z poczuciem winy.

- Ma pan rację, doktorze. Ona rzeczywiście mówiła, że nie chce sondy. Ale przecież musi jeść. Jak może jej się poprawić, jeśli nie je? - Do oczu Franka napłynęły łzy. Pocięły po jego twarzy, otarł je rękawem.

- Miejmy nadzieję, że wkrótce zacznie jeść - uspokajałem go. - Tymczasem utrzymamy podawanie płynów dożylnych i będziemy próbować ją karmić jak dotąd. Po prostu musimy być dobrej myśli.

- Ale jeśli to nie zadziała? - Spytał z rozpaczą.

Spojrzałem na niego, próbując wymyślić coś podnoszącego na duchu. Jednak wyraz mojej twarzy chyba był wystarczająco czytelny. Frank zaczął łkać.

Przeszedłem przez pokój i chwyciłem pudełko chusteczek. Wręczyłem je i z powrotem usiadłem. Wziął jedną, przetarł twarz.

- Doktorze, ja nie jestem gotów pozwolić jej odejść - odezwał się po chwili.

- Wiem, jak bardzo ją pan kocha, Frank. Niestety, tak to się dzieje. Pacjenci z demencją w końcu umierają.

Frank popatrzył na mnie i znowu zaczął płakać. Położyłem rękę na jego ramieniu. Nie było nic więcej do powiedzenia.

Rozdział piętnasty

Jeśli plamka słońca rozlewa się na podłodze, kot znajdzie ją i pochłonie.

J.A. McIntosh

Zwykle rano zachowuję się jak automat. Wstaję z łóżka, wskazuję pod prysznic i ubieram się, nie myśląc o żadnej z tych czynności. Wykorzystuję te chwile, aby zaplanować swój dzień, ustalić, czy mam czas na zjedzenie śniadania, zdecydować, gdzie muszę się udać i co zrobić.

Podobnie zachowuje się większość ludzi. Zawierzamy ciału, które doskonale zna swoje obowiązki i wie, czego potrzebujemy i pozwalamy naszemu umysłowi planować lub marzyć.

Gdy patrzyłem na dwójkę moich dzieci, uczących się chodzić, kąpać, jeść samodzielnie, myślałem o tym, jak trudno opanować te czynności. Chodzenie nie zaczyna się z pierwszym krokiem. Zaczyna się od niezdarnych obrotów na podłodze, potem nadchodzi etap czołgania, następnie podnoszenia się i padania, czemu towarzyszą siniaki oraz guzy: i wreszcie następuje ten doniosły moment - pierwszy, odmieniający życie krok. I kolejne...

Początek naszego życia spędzamy, ucząc się, jak wykonywać podstawowe czynności i następnie ruszamy dalej, nigdy nie wracając do tego okresu pamięcią. Przez lata traktujemy umiejętność opiekowania się samymi sobą jako pewnik, coś niezbywalnego. Dopóki problemy ze zdrowiem nie okradną nas lub naszych ukochanych z tych pierwotnych zdolności. Wówczas tracimy ową pewność i zaczynamy się zastanawiać, czy coś pewnego w ogóle na tym świecie istnieje. Tracimy grunt pod nogami.

Gdy pacjent z demencją przestaje wykonywać podstawowe czynności życiowe, szybko do nas dociera, jak trudno jest na przykład wykąpać ważącego osiemdziesiąt pięć kilogramów mężczyznę, który z nami nie współpracuje.

Uczymy się, że przeniesienie kogoś na sedes to zadanie dla kilku osób. Odkrywamy również, ile cierpliwości trzeba przy żmudnym karmieniu człowieka, który całkowicie stracił apetyt, a także pojęcie o tym, do czego służy łyżka.

Mniej więcej w środkowym stadium demencji pacjenci stopniowo zatracają zdolność samodzielnego opiekowania się sobą i właśnie wtedy zaczynają być ignorowani przez nasz system opieki zdrowotnej, giną w nim. Niektóre rodziny dotknięte takim nieszczęściem szukają wsparcia u szanowanych organizacji, takich jak Stowarzyszenie Alzheimerów. Inni zwracają się do przyjaciół lub krewnych, którzy mają za sobą podobne doświadczenia. Mogą

szukać informacji i pomocy w rozmaitych miejscach i u różnych osób, ale rzadko otrzymują ją od lekarza.

Niestety, nasz system zdrowotny opiera się głównie na diagnozie i leczeniu, nie bierze zaś pod uwagę przypadków wieloletnich chorób przewlekłych. Jako studenci medycyny i młodzi lekarze uczymy się rozpoznawać objawy i symptomy choroby, przyklejamy właściwą etykietkę, a następnie proponujemy metodę leczenia, na podstawie owej diagnozy. Co jednak robić, gdy na chorobę nie ma lekarstwa?

Joan Scheer siedziała w kuchni. Patrzyłem, jak nerwowo gładzi włosy, a jej brązowe oczy zachodzą łzami. Widziałem wiele płaczących osób od czasu, gdy wyruszyłem w tę podróż w przeszłość. Moja rola polegała na słuchaniu wspomnień i zwierzeń. Tłumaczyłem sobie za każdym razem, że zmuszając rozmówców do powtórnego przeżywania dramatu, nie krzywdzę ich - te rozmowy miały dla nich moc oczyszczającą. Ale nie czułem się przez to lepiej.

- Chyba myślałam, że stan mojego męża już się nie pogorszy. - Joan wydmuchała nos w chusteczkę, którą podała jej córka Robin. - Wiedziałam, że ma demencję, ale sądziłam, że nic się nie zmieni, że każdego ranka będę go zawozić do centrum opieki nad osobami starszymi, gdzie zajmą się nim do godziny czwartej. Potem wróci do domu i podam mu obiad, obejrzy telewizję i pójdziemy spać. Chyba wydawało mi się, że ten rozkład dnia będzie obowiązywał dotąd, aż mąż umrze ze starości. Kiedyś... Nie tak szybko. To pewnie głupie, ale nie przypuszczałam, że tak to się skończy.

Lawrence Scheer skończył życie jak większość pacjentów z drugiego piętra Steere House. Zmarł w domu opieki w towarzystwie Oskara, po długotrwałej walce z Alzheimerem. Ostatnie lata żywota Larry'ego nie były przyjemne.

Zaczął snuć się po domu, zwłaszcza w nocy, co skończyło się upadkiem ze schodów. W szpitalu jego stan znacznie się pogorszył. Przestał mówić i wpadł w delirium, zrywając gips trzy razy, zanim dla własnego bezpieczeństwa nie został przywiązany do łóżka. Przenoszono go z jednego domu opieki do drugiego, aż wreszcie zawitał do Steere House. Choroba robiła szybkie postępy. Pod koniec nie potrafił już chodzić, mówić, nie rozpoznawał rodziny. Ostatecznie zmarł na zapalenie płuc.

- Wie pan, żałuję, że lekarze nie powiedzieli mi, czego się spodziewać - stwierdziła z żalem Joan.

- Co pani ma na myśli? - spytałem.

- Nie powiedzieli właściwie nic o tej chorobie i co zrobi z moim mężem. - Uśmiechnęła się przez łzy. - Wie pan, w jaki sposób dowiedziałam się, ile czasu żyje pacjent

z Alzheimerem od momentu postawienia diagnozy?

Potrząsnąłem głową.

- Mój mąż mi powiedział! - Zaśmiała się gorzko. - Po jakimś roku, dwóch od czasu, gdy go zdiagnozowano, byliśmy u znajomych na obiedzie. Okazało się, że przyjaciel pana domu również cierpi na demencję, dlatego mieli książkę o chorobie Alzheimera. Leżała na stoliku. Mąż ją sobie pożyczył. Parę dni później weszłam do pokoju i zobaczyłam, że trzyma ją otwartą na kolanach. Zapytałam, co robi, a on odpowiedział bez ogródek, że zostało mu jeszcze sześć lat życia. - Pokręciła głową jakby w niedowierzaniu. - Wyciągnął do mnie rękę z książką, żeby mi to czarno na białym pokazać. Podbiegłam do Larry' ego i wzięłam ją. Spojrzał na mnie i bardzo rzeczowo oznajmił, że biorąc pod uwagę jego wiek, gdy stawiano diagnozę, miał wtedy jakieś siedem do dziewięciu lat życia, a z tych lat przeżył już dwa.

- Lekarze nie powiedzieli o tym żadnemu z was?

Joan odchyliła się w fotelu.

- Lekarze postawili diagnozę. Powiedzieli mi, że Larry ma otępienie typu Alzheimera, ale żaden z nich nigdy nie wysilił się na opisanie, co nas czeka. Żaden nie powiedział

Pani mąż ma demencję i oto, co się będzie z nim działo, krok po kroku, rok za rokiem". Zamiast tego trzymali zdjęcie rentgenowskie w powietrzu i opowiadali mi o splątkach i blaszkach, tak jakbym studiowała medycynę wraz z nimi.

Prześwietlenie rentgenowskie nic mi nie mówi.

Niestety, takie skargi słyszę cały czas. Doceniam, że lekarze starają się dzielić informacją z pacjentami i ich rodzinami, ale istnieją lepsze sposoby, aby pomóc im radzić sobie z chorobą.

Joan bawiła się serwetką. W końcu przerwała milczenie.

- Chciałabym, żeby w środowisku medycznym było więcej osób, które podpowiadałyby ludziom, jak radzić sobie z codziennymi problemami podczas opieki nad chorym z demencją. Które tłumaczyłyby, czego się spodziewać i lepiej nas przygotowywały do walki z rzeczywistością.

Zabrzmiało to tak, jakby chciała za moim pośrednictwem przekazać środowisku medycznemu pewne przesłanie.

- Chodzi o możliwość funkcjonowania. - Te słowa padły z ust pani profesor uczelni medycznej wiele lat wcześniej.

Przerwała na chwilę, aby zaakcentować wagę owego stwierdzenia i spojrzała na zgromadzonych przed nią przyszłych lekarzy.

- Lekarze często popełniają błąd, goniąc wyłącznie za diagnozą, Jestem tutaj, aby wam

uświadomić, że nazwa choroby właściwie nie ma znaczenia. Może wydawać się ważna nam, lekarzom, i wielu pacjentów na pewno także uważa, że jest istotna, ale gwarantuję wam, że w większości przypadków bywa bez znaczenia. Czy myślicie, że pacjenta naprawdę obchodzi, czy ma postępujące porażenie nadjądrowe, Alzheimera, chorobę Picka czy chorobę rozsianych ciał Lewy'ego?

- To po co je w ogóle nazywamy? - Padło pytanie z pierwszego rzędu.

- Nazwy są elementem, który wykorzystujemy, aby przekazać sobie nawzajem informacje. Pomagają nam zdefiniować chorobę i rozmawiać o niej między sobą. Ale nie są tak ważne dla pacjenta.

- Czy ludzie nie chcą wiedzieć, z czym się muszą zmierzyć? - Z uporem drążył student. Najwyraźniej należał do tych, którzy sądzą, że zdobędą w ten sposób dodatkowe punkty, rzucając wyzwanie profesorowi.

- Oczywiście. Pacjenci lubią wiedzieć, co powoduje ich dyskomfort lub ułomność. Strach przed nieznanym jest zawsze gorszy od strachu przed konkretnym zagrożeniem.

W ostatecznym jednak rozrachunku bardziej chodzi o dyskomfort lub ułomność niż o nazwę lub metkę. Ludzi obchodzi przede wszystkim to, czy i jak choroba wpłynie na sposób ich życia. Czy umrą przez tę chorobę? Czy będą w stanie chodzić lub zająć się sobą? Czy będą w stanie opiekować się swoim mężem, żoną, dzieckiem? Czy będzie bolało? To obchodzi pacjentów najbardziej.

Miała rację, oczywiście. Gdy potrąci cię samochód, nie zaprzątasz sobie głowy ani jego marką, ani modelem.

- Są momenty, kiedy wstydę się sposobu, w jaki reagowałam - powiedziała mi Joan. - Żałuję, że tak mało wiedziałam. - Spojrzała na córkę, oczekując wsparcia.

- Myślę, że powinnyśmy były same się tego nauczyć - dodała Robin. - Chwilami mam wrażenie, że obie zawiodłyśmy ojca.

- Dlaczego? - spytałem.

- Po prostu nie wiedziałyśmy, jak sobie z nim poradzić, próbowała wytłumaczyć Robin. - Czasami byłyśmy ogromnie sfrustrowane i nie miałyśmy do niego cierpliwości. Innym razem złościły nas drobiazgi. Na przykład na pewnym etapie choroby zapomniał, jak się wkłada klucz do zamka w drzwiach.

- Albo zapina pasy bezpieczeństwa - wtrąciła jej matka.

- Właśnie! Za każdym razem, gdy wsiadaliśmy do samochodu, ojciec pytał mnie, jak ma zapiąć swój pas, a ja tłumaczyłam mu wszystko od nowa, jakbym uczyła małe dziecko. Tylko że dziecko zapamiętuje i potem radzi sobie samo, a on nie potrafił zapamiętać.

Gniewałam się, zamiast pogodzić się z faktem, że nie da się nauczyć niczego kogoś, kto jest w trakcie oduczania się wszystkiego. Nikt, żaden lekarz nie przedstawił mi tych zawiłości. W końcu musiałam wszystko odkryć sama.

Rabin zaczęła się denerwować. Wraz ze wspomnieniami powracało poczucie winy. Tak bardzo się starały, tyle zrobiły, ale wciąż żałowały tego, jak się zachowywały w niektórych codziennych sytuacjach. Poczucie winy jest tak samo naturalne jak uczucie frustracji. Mogłam tylko wyobrazić sobie narastanie złości i irytacji wynikających z ciągłej konfrontacji z mężczyzną z wyższym wykształceniem, który nie potrafił poradzić sobie z zapięciem guzików koszuli czy włączeniem telewizora. Dlaczego nie potrafisz już tego zrobić? Dziecko by potrafiło - pada wtedy nieuchronne pytanie, które brzmi jak wyrzut. Różnica polega na tym, że dziecko się uczy. Pacjent z Alzheimerem, jak powiedziała Rabin, oducza się.

Jak wiele innych osób w podobnej sytuacji, Joan i Rabin nie potrafiły się uwolnić od obrazu osoby, jaką był mąż i ojciec, nie umiały dostrzec osoby, jaką się stał - osoby z demencją. Gdy ten fakt dociera do ludzi, gdy zdają sobie sprawę, że szukają kogoś, kogo już nie ma, czują się winni, że wpadali w gniew, nie wykazywali więcej cierpliwości.

- Gdybym tylko potrafił być bardziej dla niego wyrozumiały! - mówią mi członkowie rodzin pacjentów. - Nie robił tego celowo.

- Wiele osób nie ma pojęcia, jak należy postępować - zwróciłem się do pań Scheer, aby im trochę ulżyć. - Niemal każdy opiekun chorego z demencją doświadcza poczucia winy związanego z wpadaniem w złość. Tego się przecież nie da w żaden sposób kontrolować.

Rabin skinęła głową, ale miałem wątpliwości, czy usłyszała cokolwiek z tego, co mówiłem. Ludzie kierujący się zdrowym rozsądkiem, często zdają sobie sprawę, że nic więcej nie mogą dla ukochanej osoby zrobić, ale to nie powoduje, że wyrzuty sumienia znikają.

- Myślę, że najgorszą rzeczą było to, że gdy znalazł się już w domu opieki, niechętnie go odwiedzałam. Chodziłam zobaczyć się z ojcem, ojcem, który mnie wychował, i nic nie dostawałam w zamian - ciągnęła Rabin w zamyśleniu. - Nie było odzewu. Bo jak rozmawiać z kimś, kto nie reaguje?

To było pytanie retoryczne. Jednak spróbowałem odpowiedzieć.

- Chyba trzeba robić to, co można w danym momencie - powiedziałem. - Samo towarzyszenie choremu jest wartością, nawet jeśli nie otrzymuje się odzewu, na który czekamy.

- Zapisałam sobie coś. - Joan sięgnęła do torebki i wyciągnęła kartkę papieru. - Zwykłam to odczytywać, gdy mój mąż jeszcze żył, a ja wpadałam w złość lub ogarniała mnie

frustracja. To z Soboty, powieści Iana McEwana. Tym właśnie było dla mnie odwiedzanie domu opieki: To jak przynoszenie kwiatów na miejsce pochówku - prawdziwy motyw znajduje się w przeszłości.

Rozmawialiśmy przez następne trzydzieści minut o chorobie Larry'ego. Niemal czułem się winny, przechodząc w końcu do rzeczywistego powodu mojej wizyty. Na szczęście, gdy padło imię Oskara, panie Scheer wydawały się nie mieć mi tego za złe. Pierwszy raz, odkąd zaczęliśmy rozmawiać, Joan szczerze się uśmiechnęła.

- Wie pan - zaczęła Robin - naprawdę myślałyśmy, że kot popełnił gafę w przypadku mojego ojca. Tata umierał, a Oskar nie złożył mu nawet jednej wizyty. Słyszałyśmy o jego zwyczaju towarzyszenia tym, którzy odchodzą i byłyśmy zdezorientowane. Poszłyśmy kiedyś z mamą szukać go, po prostu z ciekawości, i znalazłyśmy kota w korytarzu naprzeciwko, siedzącego przy innym pacjencie. Wyglądał na szczerze zatroskanego. Pamiętam, jak mama zwróciła się do Oskara, mówiąc mu, że nie wykonuje swoich obowiązków.

Chwilę potem, gdy już byliśmy z powrotem u ojca, Oskar niespodziewanie wpadł do pokoju, jakby zegar właśnie zaczął wybijać dwunastą.

- Jak Kopciuszek wybiegający z balu - dodała Joan.

- Dopiero później dowiedziałyśmy się, że tamten pacjent, przy którym siedział, umierał - powiedziała Robin. - Oskar był z nim, dopóki ten człowiek nie odszedł. Gdy było już po wszystkim przybiegł do taty. - Na jej twarzy pojawił się wyraz fascynacji.

Po drugiej stronie stołu Joan wydawała się podzielać oczarowanie tym, czego były świadkami.

- Oskar pozwolił mi na krótko wziąć się na ręce, po czym zeskoczył z moich kolan i powędrował prosto do taty - ciągnęła Robin. - Kilka godzin później ojciec umarł. - Robin zaczęła się śmiać. - To zabawne; mniej więcej godzinę przed śmiercią, pielęgniarka hospicyjna przyszła obejrzyć ojca. Gdy skończyła, zasugerowała, abyśmy zrobiły sobie przerwę. Pani ojciec ma jeszcze czas - powiedziała nam. Mama i ja popatrzyłyśmy na siebie, ale żadna z nas nie chciała iść. Doszłyśmy do wniosku, że powinnyśmy wziąć przykład z kota. I dobrze zrobiłyśmy, ponieważ miał rację. Gdyby Oskara wtedy tam nie było, może posłuchałybyśmy pielęgniarki i przegapiłybyśmy moment, kiedy tata umarł.

- To nie tak, że ufaliśmy kotu bardziej niż pielęgniarce - powiedziała Joan. - Nie do końca. To było... no, to było coś w Oskarze. Wydawał się taki pewien tego, co robi. Był tak... przekonujący w swoich intencjach i w swoim oddaniu.

- Ten cudowny kot wysłał nam sygnał, dał znak. Nie można było go zignorować - podsumowała Robin.

- Lekarz może dać ci etykietkę z nazwą, ale nie o to chodzi. W nazwie niczego nie ma. Ty chcesz wiedzieć, jak radzić sobie z chorobą, co ona ci robi.

Słowa Joan pobrzmiewały mi w głowie, gdy jechałem do domu. Po tym, co usłyszałem od Robin, powinienem chyba analizować zachowanie Oskara, jego sprint przez korytarz, ale to, co powiedziała jej matka, uderzyło w moją czułą strunę. Sprowokowało mnie do myślenia o własnym zdrowiu i trudnościach, na jakie się natknąłem, poszukując diagnozy dla siebie. Początkowo ulżyło mi, gdy wreszcie poznałem nazwę choroby, która tak szybko zmieniła sposób, w jaki żyłem. Wreszcie wiedziałem, z czym walczę. Wróg zyskał imię, mogłem mu wypowiedzieć własną wojnę. Wygram ją, jeśli się nie poddam.

Ale Joan miała rację, nazwa choroby przestaje mieć znaczenie; tak naprawdę chodzi o normalną egzystencję, możliwość pełnego przeżywania tu i teraz pomimo diagnozy. Chorując od dziesięciu lat na zapalenie stawów, wielokrotnie rozmyślałem o moich ograniczeniach ruchowych i o tym, jak zmusiły mnie do rezygnacji i zmian. Nie mogłem już jak kiedyś biegać po korcie z rakiętą w rękę, jeździć na nartach ani grać w koszykówkę. Niemniej jednak wciąż byłem w stanie wstać z łóżka każdego dnia i wykonywać wszystkie czynności, dzięki którym pozostawałem samodzielny. Wciąż potrafiłem zapiąć koszulę i zasznurować buty. Co najważniejsze, bez trudu podnosiłem moje dzieci i dźwigałem je w górę i w dół po schodach. Kiedy urodził się mój syn, zastanawiałem się, jak długo będę na tyle sprawny, by to robić... Wiedziałem, że pewnego dnia czynności te znajdą się poza moim zasięgiem, ale byłem wdzięczny, że wciąż jeszcze mogę je wykonywać. Dziś mogę i to jest wystarczające.

Dotarłem do domu i przywitałem się z żoną.

- Jak poszło? - spytała.

- Nieźle. Joan i jej córka to bardzo miłe osoby. Było im ciężko przypominać sobie o tym wszystkim. Obie bardzo kochały Larry'ego.

- Oskar był z nim na koniec?

Zachichotałem.

- Wiesz, gdy usłyszałem pierwsze wzmianki o Oskarze, myślałem, że jego wielbicielę są stuknięci. Ale rzeczywiście wygląda na to, że on jest na miejscu prawie za każdym razem. A rodziny czują wdzięczność...

- Może powinniśmy otworzyć szkołę medyczną dla kotów i usunąć was, lekarzy, z interesu raz na zawsze.

Przewróciłem oczami i odwróciłem się, aby wyjść z pokoju. Wiedziałem, że się ze mną drażni. Ale... sam się zaczynałem zastanawiać, czy ten kot nie jest w domu opieki bardziej na miejscu niż ja.

- Hej, dokąd idziesz? - spytała. - Chcę usłyszeć więcej.

- Na górę, wziąć prysznic.

W jej oczach dostrzegłem zdumienie. Było dopiero późne popołudnie.

- Stawy trochę mnie bolą - dodałem więc. - Prysznic pomaga.

Wzruszyła ramionami.

Zamknąłem drzwi do łazienki i zacząłem się rozbierać.

Chyba po raz pierwszy od czasu dzieciństwa nie myślałem teraz o niczym innym, tylko wyłącznie o procesie zdejmowania każdej części stroju. Rozpiąłem guziki koszuli, powolutku i z namysłem. Rozsznurowałem buty i ściągnąłem ubranie, wieszając je starannie w szafie. Wyłączyłem autopilota i pozwoliłem sobie na istnienie wyłącznie w terażniejszości, ciesząc się każdym ruchem. Nic nie miało znaczenia, tylko ta chwila i następna.

Gorąca woda zaczęła uderzać w moje obolałe ramiona i plecy. To było niezwykle kojące i odczułem ogromną wdzięczność za tę przyjemność, jaką jest kąpiel. Samodzielna kąpiel.

Przerwało mi pukanie do drzwi. To była moja żona.

- W porządku, David?

- Dzięki, kochanie - odparłem. - Nic mi nie jest.

Tak, w życiu sprawność na podstawowym poziomie jest chyba najważniejsza. Ale trzeba też nauczyć się grać kartami, które los rozdawał.

Rozdział szesnasty

Co jest piękniejsze

- koci ruch czy koci bezruch?

Elizabeth Hamilton

- David, możesz wpaść? Nie podoba mi się wygląd Saula. Mam obawy, że infekcja się rozszerza.

Mary zadzwoniła do mnie na komórkę, gdy byłem w drodze na uniwersytet, na spotkanie naukowe z kilkoma kolegami. Zawsze ceniłem ją za to, że nigdy nie wyolbrzymiała problemów. Dlatego jeśli stwierdziła, że z pacjentem dzieje się coś niedobrego, natychmiast zmieniałem kierunek, w którym zmierzałem i jechałem do Steere House, tak jak to zrobiłem tego ciepłego, wiosennego popołudnia. Inne sprawy musiały poczekać.

Gdy wkroczyłem na oddział, ujrzałem wysokiego, dobrze ubranego mężczyznę, stojącego obok stanowiska pielęgniarek, pogrążonego w dyskusji z Mary. Chociaż był odwrócony do mnie plecami, wiedziałem, że już się widzieliśmy. Jego akcent wydał mi się znajomy.

Okrzyżłem dyżurkę i przywitałem ich szybkim "dzień dobry", równocześnie chwytając w pośpiechu z półki kartę Saula. Przeglądałem ją, szukając ostatnich badań i jednym uchem słuchałem konwersacji toczącej się obok.

- Proszę pani, mojej mamie będzie dużo lepiej w szpitalu - powiedział mężczyzna.

Teraz sobie przypomniałem. Spotkałem go w klinice kilka miesięcy temu, gdzie jego matkę, Iris Duncan, przyjmowano na oddział z powodu zapalenia płuc. Nie działo się wtedy nic nadzwyczajnego, dochodziła do siebie raczej szybko, ale spędziłem dużo czasu na rozmowach z jej synem o opiece nad nią i o pogarszającym się stanie zdrowia.

Miał mnóstwo pytań, co również nie było niezwykle. Jego matka cierpiała na poważną, postępującą chorobę - każdy kochający syn chciałby się o tym dowiedzieć jak najwięcej. Ale ton naszej rozmowy sugerował, że mój rozmówca wciąż nie pogodził się ze śmiertelnym charakterem choroby swojej matki. Zdawał się prowadzić ciągle negocjacje.

- Może spróbowalibyśmy tego, doktorze? - Pytał, powołując się na informacje o jakimś leku lub leczeniu, które zasłyszał gdzieś lub odnalazł w sieci. Gdy wyjaśniałem, dlaczego dana taktyka się nie sprawdzi, szybko wysuwał następną propozycję. Słuchając go teraz, mogłem stwierdzić, że nic się nie zmieniło.

- George - tłumaczyła Mary - z pana matką naprawdę nie jest najlepiej. Myślę, że ma

nawrót zapalenia płuc, a przy infekcji czuje się bardziej zagubiona niż zwykle. Na pewno życzy pan sobie, abyśmy ponownie wysłali ją do szpitala? Wie pan, możemy leczyć ją antybiotykami tutaj, w domu opieki, gdzie wszystkich zna, w otoczeniu, do którego przywykła.

Propozycja brzmiała rozsądnie i przez chwilę wydawało się, że George ulegnie i odstąpi od pomysłu przewiezienia Iris do szpitala. Że może uda się go przekonać, iż zostawienie matki w domu opieki byłoby w jej najlepszym interesie.

Zwrócił się do mnie.

- Pan doktor Dosa, prawda?

- Jak się pan miewa, George? - Dobrze, że usłyszałem

Mary mówiącą do niego po imieniu.

- Miło pana znowu widzieć. Czy to pan zajmie się moją mamą, gdy pójdzie do szpitala?

Potrząsnąłem przecząco głową.

- W tym tygodniu nie mam dyżuru, zaopiekuje się nią jeden z moich kolegów. Ale znam pana matkę, George, i zgadzam się z Mary; jej demencja się pogarsza. Zwykle spędza czas tutaj, siedzi w dyżurce i zawsze mówi mi „cześć” z tym swoim uroczym akcentem. Ostatnio jednak nie widzę u niej zwykłego wigoru. Jeśli pan sobie życzy, mogę zadzwonić do lekarza pana matki. Uważam, że leczenie Iris tutaj byłoby dla niej korzystniejsze.

Ale on już zdecydował inaczej. Gdy się oddalił, Mary zwróciła się do mnie.

- Skąd znasz George'a?

- Spotkaliśmy się kilka miesięcy temu, gdy Iris przebywała w szpitalu. Raz rozmawialiśmy chyba z godzinę. Miał tyle pytań dotyczących opieki nad matką... Chciał wiedzieć dosłownie wszystko.

- Jest bardzo zaangażowany - przytaknęła Mary. - Nawet gdy wyjeżdża służbowo, codziennie dzwoni. Wciąż pyta”Jak się czuje moja mama? Dbacie o nią? Czy je? Odpoczywa?”. - Westchnęła. - To frustrujące. Chociaż, szczerze mówiąc, mam nadzieję, że gdy nadejdzie mój czas, jedno z moich dzieci będzie tak samo zaangażowane w opiekę nade mną, jak George w opiekę nad Iris.

- Próbowałem rozmawiać z nim wtedy o opiece hospicyjnej - powiedziałem. - Czy hospicjum zostało wzięte pod uwagę?

- On nie jest gotowy, David.

Ale ona może być - pomyślałem.

- Jaki jest jej stan teraz? - spytałem.

- Tak jak przedtem. Prześwietlenie wykazuje ponowne zapalenie płuc. I jest zdezorientowana.

- Oskar do niej zaglądał?

Mary zaśmiała się.

- Oskar jej unika, jak może. Ona zawsze za nim gania. I próbuje go ciągnąć za ogon. Nie jestem przekonana, czy kot pojawi się u niej nawet wtedy, kiedy będzie odchodziła.

- Ma być reanimowana? - Chodziło mi o to, czy będziemy przeprowadzać reanimację, jeśli krążenie lub oddychanie ustanie.

- Tak.

- Pamiętam pierwsze spotkanie z Iris w szpitalu - powiedziałem. - Nawet chora, wciąż była taka pełna życia! Jej uśmiech potrafił rozjaśnić pokój. Niestety, od tamtego czasu jej stan się pogorszył.

- Od tylu lat tu pracuję, a wciąż jestem zdumiona, widząc, co ta choroba robi z ludźmi - stwierdziła z westchnieniem Mary. Jej myśli musiały dryfować podobnym szlakiem. - Myślę, że Iris przebywa w Steere House jeszcze dłużej niż ja. Gdy po raz pierwszy została przyjęta na oddział chorób demencyjnych, ludzie brali ją za kogoś z personelu. Była niezwykle wykształconą i elokwentną kobietą.

Zdaje się, że Uniwersytet Columbia dał jej nawet stypendium, ściągając ją z St. Kitts.

- Więc stąd ten akcent!

- Na początku pouczała niektóre asystentki z dołu, jak należy poprawnie mówić po angielsku - wspominała Mary. - Poza tym była również wyświęconą panią pastor i kiedyś słyszałam jej rozmowę z jedną z pielęgniarek na temat wiary. - Mary uśmiechnęła się, wracając pamięcią do tamtej chwili. - Zawsze wydawało mi się zabawne, że Iris pomimo swojego stanu wciąż potrafi uczyć angielskiego i z taką dokładnością cytować Biblię. Wygląda na to, że pewnych umiejętności nigdy się nie traci.

- Fakt. Zaraz... Ale wezwałaś mnie w sprawie Saula - przypomniałem sobie.

- Kolejny kandydat do szpitala - powiedziała. - Idź, przyjrzyj się mu i powiedz, co myślisz. Jest tam Barbara.

Bardzo się martwi. - Powiedziawszy to, Mary skierowała się do swojego gabinetu, trzymając w ręku kopię karty Iris.

Gdy odchodziłem, dzwoniła już do szpitala, prosząc, by przygotowali dla pani Duncan miejsce.

Wystarczyło mi jedno spojrzenie na pacjenta, by niepokój Mary stał się zrozumiały. Saul leżał na łóżku, a nie w swoim fotelu. W jego oczach nie było śladu życia; wydawało się,

że nie jest w stanie utrzymać ich otwartych nawet przez parę sekund. Barbara siedziała przy łóżku, trzymała ojca za rękę. Na jej twarzy dostrzegłem troskę.

- Jak on się miewa? - Spytałem.

- Niedobrze, doktorze - odparła, wstając. - Mary po mnie zadzwoniła, więc natychmiast przyjechałam.

Stanęła z boku, robiąc mi miejsce przy łóżku. Zmierzyłem Saulowi ciśnienie krwi; było niskie. Potem sprawdziłem nitkowane tętno i osłuchałem płuca. Gdy badałem nogi, źródło infekcji stało się jasne. Kończyny były czerwone i opuchnięte. Przy jednej голени pojawił się wysięk, efekt płynu komórkowego wypychanego na powierzchnię z uszkodzonych komórek.

- Jest bardzo chory, pani Barbaro. Myślę, że to może być sepsa, bakterie z nogi dostały się do krwi.

Pokiwała głową, ale nic nie powiedziała.

- Wie pani, nie sądzę, abyśmy mogli poradzić sobie tutaj z chorobą o takim stopniu zaawansowania. Musimy podjąć decyzję, czy go hospitalizować.

- Cokolwiek pan zdecyduje, doktorze.

Zdumiony jej ugodową postawą - zawsze przecież była przeciwna pomysłowi nieleczenia ojca, walczyła o to jak lwica - postanowiłem wykorzystać sytuację, by ponownie przedyskutować życzenia Saula związane z końcem życia.

- Barbaro, pamiętam, gdy przyjmowaliśmy tutaj pani ojca po raz pierwszy, zażyczyła sobie pani, abyśmy zrobili wszystko, co w naszej mocy, by przywrócić pracę jego serca, gdyby przestało bić. Chciałbym o tym porozmawiać.

- Jeżeli jesteście w stanie go uratować, chyba powinniście spróbować.

- Wie pani, to nie jest tak jak w telewizji.

Spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem i uświadomiłem sobie, że się pomyliłem. Wcale się nie poddała. Poczułem, że jestem niebezpiecznie bliski przekroczenia granicy jej wytrzymałości. Jednak uparcie kontynuowałem.

- W telewizji zawsze każdego odratowują - tłumaczyłem. - W prawdziwym życiu czasem się nie udaje.

- Wiem o tym - powiedziała chłodno.

- Gdy ktoś cierpi na przewlekłą chorobę jak demencja, rzadko udaje nam się go przywrócić do życia, jeśli serce przestanie pracować czy ustanie oddychanie. Biorąc pod uwagę wiek pani ojca i jego problemy zdrowotne, bardzo wątpię, czy kiedykolwiek będziemy mogli go wypisać z oddziału intensywnej opieki.

- Dlaczego nie mielibyśmy zrobić wszystkiego, co w naszej mocy, aby go uratować? -
W jej głosie usłyszałem dawny żar.

- Czasami, gdy pacjenci są naprawdę chorzy, wszystko, co możemy zrobić, jedynie odwleka to, co nieuniknione i powoduje jeszcze większy ból. Nawet jeśli wyleczymy jego infekcję, wciąż będzie miał demencję. Moglibyśmy zostawić go tutaj i sprawić, aby mu było jak najlepiej.

Barbara spojrzała na mnie z gniewem.

- Doktorze, mój ojciec chciał, żeby robić wszystko, aby utrzymać go przy życiu. Jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa, że wyzdrowieje, trzeba spróbować. Nie zamierzam sprzeciwiać się jego pragnieniu.

Jej odpowiedź mnie nie zaskoczyła. Byłem komiwojazerem, który próbuje wcisnąć niepopularny produkt: rzeczywistość. Zastanowiłem się, czy przypomnieć jej, że sytuacja

Saula uległa zmianie, ale oparłem się pokusie. To by nic nie zmieniło.

- Doktorze, nie chcę teraz rozmawiać o tych sprawach.

Ojciec potrzebuje opieki medycznej i musimy natychmiast umieścić go w szpitalu.

Opuściłem pokój, aby zacząć przygotowywać przenosiny Saula. Gdy siedziałem przy biurku, gapiąc się przed siebie i myśląc o wszystkim, co się zdarzyło, nagle znikąd pojawił się niespodziewany gość. Podeszedł i usiadł obok telefonu. Utkwił we mnie wzrok.

- Dlaczego nie pójdziesz do Barbary, Oskar? - zaproponowałem mu. - Może ty potrafisz ją przekonać.

Wpatrywał się we mnie jeszcze przez chwilę i miałem wrażenie, że rozważa moją prośbę. W końcu wyciągnął się przy mnie, zapraszając do pieszczot. Najwyraźniej odpowiedział odmownie... Wyciągnąłem dłoń i podrapałem go za uszkami. Zaczął mruzczyć.

- Jesteś po prostu kotem, czyż nie? Tylko kotem... - Ale gładząc jego sierść, czułem, jak ogarnia mnie spokój.

Rozdział siedemnasty

Ludzie, którzy kochają koty, mają wielkie serca.

Susan Easterly

- Kiedyś myślałem o napisaniu książki o moich doświadczeniach z matką. Nawet już miałem tytuł! Nazwałbym ją "Pani piętro wyżej, która wygląda jak moja matka" - stwierdził Jack McCullough.

Siedziałem w salonie jego domu w East Providence.

Opowiadał mi o pierwszym pacjencie Oskara, swojej matce.

- Musiałem nauczyć się kochać mamę na nowo. A raczej osobę, którą się stała - powiedział mi. - Wyglądała jak ktoś, przy kim dorastałem, ale była inna. - Odchylił się do tyłu i smutno się uśmiechnął.

Trochę to trwało, zanim zdobyłem się na odwagę i zadzwoniłem do Jacka. W odróżnieniu od innych osób, z którymi rozmawiałem do tej pory, jego nie znałem. Ale matka Jacka, Marion, była powszechnie uważana za pierwszą pacjentkę, przy której czuwał Oskar. Odeszła w listopadzie 2005 roku, gdy był jeszcze kociakiem. Niewiele ponad rok później ciotka Jacka, Barbara, również zmarła na drugim piętrze i Oskar jej towarzyszył. Dwie osoby z tej samej rodziny... Doszedłem do wniosku, że jeśli ktokolwiek mógłby rzucić trochę światła na zachowanie Oskara, tym człowiekiem może być Jack.

- Zadzwon do niego - nakazała mi pewnego dnia Mary, gdy rozmyślałem, czy się z nim skontaktować.

Wciąż jeszcze trochę głupio się czułem, prosząc ludzi o rozmowę na temat Oskara. "Witam, nie miałby pan nic przeciwko, gdybym wpadł porozmawiać o kocie, który był przy pańskiej matce, gdy umierała?".

Ale Mary miała rację. Jack odpowiedział mi natychmiast:

- Oczywiście, że nie mam, zapraszam. Będzie mi bardzo miło porozmawiać o Oskarce i o tym, ile dla mnie znaczyła jego obecność - stwierdził.

Dom był staroświecki, właściwie zabytkowy. Umeblowany antykami, prawdopodobnie przekazywanymi z pokolenia na pokolenie. Siedzieliśmy naprzeciw siebie przy starym stoliku do kawy w dwóch niedawno odnowionych fotelach.

Wszędzie stały pamiątki po matce Jacka, Marian i jej siostrze, Barbarze.

W jednym rogu stołu znajdowało się zdjęcie szarawego kota dachowca, zapewne ulubieńca z dawnych lat.

- Pana matka lubiła koty? - spytałem

- To dopiero niedomówienie! - Jack zachichotał. - Mama wychowywała się na farmie w południowym Massachusetts.

Od wczesnego dzieciństwa zawsze przygarniała bezpańskie kociaki, karmiła je smoczkiem i zakraplaczami. Jej rodzina ciągle się z nią droczyła, wszyscy wołali na nią "kocia mamusia". To przez ten tłum zwierzaków, który chodził za nią po farmie.

Jack pochylił się, aby podnieść dachowca, który właśnie wkroczył do salonu, by mnie obejrzeć.

- Doktorze, to jest Bijou - przedstawił mi kota. - Zawsze mówię, że Bijou to nowe wcielenie Mittensa, kota, którego mieliśmy, gdy dorastałem. - Wskazał fotografię na stole. Podobieństwo było uderzające..

Postawił zwierzaka na ziemi, a on czmychnął z pokoju z zawrotną szybkością.

- Moja matka zawsze uwielbiała koty. Z wzajemnością - mówił. - Zapewne czuły się przy niej bezpiecznie. Nawet te, które do nikogo nie podchodziły, włożyły jej na kolana.

Gdy dostałem Bijou, miała już daleko posuniętą demencję i zajmowała mieszkanie nade mną. Wracając do domu, wszędzie szukałem kota, a potem szedłem na górę i znajdowałem go siedzącego przy niej.

Jack przeprosił mnie i poszedł robić kawę. Zanim się oddalił, wręczył mi mały album ze zdjęciami.

- Przygotowałem ten album niedługo przed śmiercią mamy. Przynosiłem go do niej i razem przeglądaliśmy zdjęcia.

Album był piękny i dobrze zrobiony. Gruby, drogi papier, fachowo szyty; taką rzecz Jack mógł albo zrobić sam, albo kupić w sklepie specjalistycznym, na pewno nie w sklepie "fiveanddime". Podziwiając album, zdałem sobie sprawę, jak ważny musiał on być dla Jacka. Pomagał mu zapamiętać matkę taką, jaka była i prawdopodobnie, jeśli to jest w ogóle możliwe, przygotować się na jej śmierć. Owa książka była dla

Marian swoistym hołdem, a dla jej syna sposobem na przywołanie wspomnień z wcześniejszego okresu jej życia.

Na ironię zakrawa fakt, że w tym samym czasie, gdy Alzheimer i inne rodzaje demencji okradają swoje ofiary z pamięci, rodzinom chorych zostawiają tylko wspomnienia. Ale nawet te się zacierają. Dorosłym dzieciom czasem trudno

*Sieć sklepów w Stanach Zjednoczonych oferująca różne artykuły w bardzo niskich cenach, dawniej za 5 lub 10 centów.

przypomnieć sobie ojca z czasów, kiedy zabierał je na ryby, lub matkę, która siedziała z nimi nad pracą domową. Osobiste pamiątki, takie jak album przygotowany przez Jacka, mogą to ułatwić.

Przejrzałem zdjęcia. Ukazywały Marion, począwszy od dzieciństwa przez dorosłe życie, na końcu znajdowały się fotografie zrobione w Steere House. Uderzyło mnie, jak spokojnie Marion na nich wygląda. Nawet w późnym wieku była atrakcyjną kobietą, dobrze ubraną w modne kreacje, z pięknymi włosami i promienną cerą.

Zatrzymałem wzrok na jednej z fotografii. Młoda Marion spoglądała na coś znajdującego się poza zasięgiem obiektywu. Uśmiechała się tajemniczo. Jack wrócił z kawą, a ja odłożyłem album na stół.

- To jest piękne - powiedziałem. - Czy ten album pomagał pobudzić pamięć pana matki?

- Czasami - odparł Jack. Nalał kawę i podał mi śmietankę. - Chociaż myślę, że był ważniejszy dla mnie.

- Naprawdę?

- Wiele rzeczy umyka z pamięci, kiedy ma się do czynienia z człowiekiem chorym na demencję. Zapomina się, jaki był kiedyś. Patrzy się na niego i wspomnienia ulatują.

On wciąż jest, widzisz go, przypomina ci osobę z dawnych lat, ale nie jest już taki sam. Trzeba się nauczyć kochać osobę, którą się staje.

Poczęstował mnie świeżo upieczoną babeczką.

- Wiem, że chciał pan porozmawiać ze mną o kocie, o Oskarze - podjął Jack, a ja z pełnymi ustami pokiwałem głową. - Ale sądzę, że powinien pan również trochę więcej wiedzieć o mojej mamie.

- Jak najbardziej - zgodziłem się, popijając babeczkę kawą.

- Kiedyś się śmiałem, że muszę do niej dzwonić z wyprzedzeniem, aby zarezerwowała czas na zjedzenie ze mną obiadu. Nawet na emeryturze prowadziła aktywne, wypełnione zajęciami życie; czy to był aerobik, kościół, czy cokolwiek innego, zawsze miała co robić. Była czynną kobietą o wielkim sercu, życzliwą... Umiała cieszyć się drobiazgami i ogromną radość sprawiało jej robienie ludziom przyjemności, na przykład zabieranie mnie i dzieci sąsiadów na lody lub gonitwa samochodem za wozem strażackim, który właśnie minął nasz dom. Ilu rodziców robi coś takiego? - Zagłębił się na moment we wspomnieniach. - Była cudowną matką, choć nie miała łatwego życia. Wychowywała mnie sama.

- Naprawdę? - Zdziwiłem się. Zdałem sobie sprawę, że nie wiedziałem wielu rzeczy o Jacku i jego matce. - Była wdową, czy się rozwiodła?

Współczesnemu samotnemu rodzicowi nie zadałbym tak sformułowanego pytania, ale w latach pięćdziesiątych panna z dzieckiem to rzadkość, więc mi się wyrwało.

Zwłaszcza że chciałem dowiedzieć się jak najwięcej o tej czarującej, życzliwej kobiecie, ścigającej wozy strażackie w towarzystwie dzieci.

- Ani jedno, ani drugie - odparł Jack. - W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym mama spotkała mężczyznę, w którym się zakochała z wzajemnością. To się stało przypadkiem i w jednej chwili. On był jedyną prawdziwą miłością jej życia. Kochali się przez czterdzieści dziewięć lat, aż do jego śmierci kilka lat temu.

- Trochę się pogubiłem - przyznałem.

- Mój ojciec był żonaty z kimś innym - wyjaśnił Jack.-

Rodzice musieli utrzymywać swój związek w tajemnicy.

Mieli romans, który trwał niemal pięćdziesiąt lat, chociaż ja preferuję słowo "związek". Jestem owocem tego związku.

Jack przerwał, aby sprawdzić moją reakcję. Przyglądał się, studiując wyraz mojej twarzy, szukając wskazówki, jak to przyjąłem. W dzisiejszym świecie taka sytuacja nie jest specjalnie szokująca. Ale w latach pięćdziesiątych na Rhode Island wywołałaby straszliwy skandal i wychowanie Jacka trudno uznać za konwencjonalne.

- Zwykle mówić, że z ojcem miałem kontakt głównie za pośrednictwem lusterka w jego aucie. Przyjeżdżał po nas i po prostu gdzieś jechaliśmy, czasem zabierał nas na obiad, innym razem wypuszczaliśmy się do innego miasta, zawsze gdzieś, gdzie ludzie nas nie znali.

Jack przerwał na chwilę, aby napić się kawy.

- Doktorze, aby zrozumieć moją matkę, musi pan wiedzieć, że każdego dnia wstawała i starannie się ubierała na wypadek, gdyby to był ten dzień, w którym zjawi się u nas mój ojciec. Nigdy nie przestawała na niego czekać. Nawet gdy była pod wpływem głębokiej demencji.

Pomyślałem o zdjęciach, które obejrzałem: Marion ze starannie nałożonym makijażem i w pięknych strojach. Nagle nabrały innej wymowy.

- To coś, czego wolałby pan nie wiedzieć? - spytał Jack. - Szokuje to pana?

- Ależ skąd! - zaprzeczyłem szczerze. - Ani trochę.

Tajemnice ludzkiego serca pozostają poza zasięgiem wiedzy medycznej.

- Teraz, gdy wracam myślami do początków choroby mamy, uświadamiam sobie, jaki byłem naiwny - odezwał się Jack. - Może trudno rozpoznać wczesne stadia, kiedy w grę wchodzi własna matka lub ojciec. Ucieka się od prawdy, szuka innych wytłumaczeń. Pewnego razu, we wczesnych latach osiemdziesiątych, musiałem zostawić samochód u

mechanika. Ustaliliśmy, że mama mnie odbierze. Oczywiście, wtedy jeszcze nie było telefonów komórkowych. Pamiętam, jak siedziałem przed warsztatem, czekając na nią przeszło godzinę, ale się nie pojawiła. Gdy wreszcie dotarłem do domu, dowiedziałem się, że wyszła załatwić jakieś sprawunki. "To dzisiaj?" - spytała, gdy już ją złapałem.

„Chyba po prostu wyleciało mi z głowy”. Patrząc wstecz, zdaję sobie sprawę, że to był prawdopodobnie początek, ale zwyczajnie odpuściłem.

Jack wyliczył całą serię podobnych sytuacji, równie trywialnych, jeśli pozbawić je kontekstu.

- Pamiętam, jak zaczęła gubić klucze. Gdy nie mogła ich znaleźć, zarzucała mi, że je schowałem. Próbowałem przywoływać ją do rozsądku, pytając, po kiego licha miałbym to robić. Ale to do niej nie trafiało. Za każdym razem, gdy klucze się jej zapodziały, oskarżała mnie, że je schowałem. - Jack potrząsnął głową i uśmiechnął się smutno. - Pewnego razu zostawiła je w supermarkecie na stoisku delikatesowym. Innym razem zamknęła w samochodzie, a silnik wciąż chodził!

Teraz nawet się zaśmiał, ale byłem pewny, że żadna z owych sytuacji w tamtym czasie nie wydawała mu się zabawna.

- Wie pan, doktorze, wymyśla się wymówki. tłumaczyłem sobie, że była po prostu zmęczona. Albo że była najzwyczajniej na mnie zła za sugestie, by sprzedała dom, w którym mieszkała tyle lat. W końcu jednak nie mogłem dłużej chować głowy w piasek. Najgorszy moment nadszedł kilka lat po tym, jak pojawiły się u niej te pierwsze objawy. Podświadomie musiałem wiedzieć, że matka ma problemy z pamięcią, bo zacząłem w tajemnicy wkładać swoje wizytówki do jej torebki, gdy nie patrzyła. Nie wiem, dlaczego to robiłem, ale chyba zdawałem sobie sprawę, że pewnego dnia będę jej potrzebny i nie będzie wiedziała, jak się ze mną skontaktować.

Jack uśmiechnął się do tego wspomnienia.

- Czasem znajdowała wizytówki i pytała mnie o nie.

Mówiłem jej, że są tylko na wszelki wypadek, ale złościła się. Darła je na kawałki lub po prostu wyrzucała. Na szczęście nie znalazła wszystkich. Pewnego deszczowego dnia, gdy byłem w pracy, otrzymałem telefon od listonosza z innej części miasta. Spytał mnie, czy jestem synem Marion i poprosił, abym przyjechał na Eastside najszybciej, jak to możliwe. Nie wiedząc, co się stało, wybiegłem z mojego biura jak oszalały i wskoczyłem do samochodu. Niewiele pamiętam z jazdy w tamtą stronę, ale musiałem mieć w głowie najgorsze ze scenariuszy.

Wyobraziłem sobie, jakie przerażenie odczuwał, odebrawszy telefon od nieznajomego

w zimny, deszczowy dzień. Jechał, nie wiedząc, co zastanie na miejscu. Naturalnie spodziewał się najgorszego.

Jack odwrócił wzrok i przez chwilę wydawało mi się, że się rozpłacze. Niemal wszyscy, z którymi rozmawiałem, w końcu płakali. Ale on się opanował.

- Gdy do niej dotarłem... Pamiętam, pomyślałem, że to chyba najstraszniejsze, co można sobie wyobrazić. Nikt nigdy, przenigdy nie chciałby zobaczyć własnej matki w stanie, w jakim ją ujrzałem tego dnia. Była całkowicie przemoczona i zupełnie zdezorientowana. Płakała, tusz do rzęs ściekł jej po twarzy, wyglądała przez to jak jakiś tragikomiczny klaun. Spytałem ją, gdzie jej samochód, a ona się rozszołała. Nie miała zielonego pojęcia. Była zupełnie zagubiona!

Przerwał. Na nowo przeżywał każdą brutalną sekundę tamtego dnia, jakby to się stało wczoraj. Gdy powrócił do opowieści, jego głos stał się drżący, niepewny.

- Wie pan, co było w tym wszystkim najsmieszniejsze?

Nawet owo zdarzenie z samochodem nie uzmysłowiło mi, że mama jest chora. Wiedziałem, że ma problem, ale nie poskładałem tego wszystkiego do kupy. Nie przyszło mi to na myśl do czasu, gdy kilka tygodni później znalazłem się na przyjęciu. Opowiedziałem znajomemu o tamtym zajściu, a on zupełnie zwyczajnie zapytał, czy moja mama ma Alzheimera. Dostałem jakby obuchem w głowę.

Jack potrząsnął głową w zażenowaniu.

- Te wszystkie wypadki, które miały miejsce... A mnie nawet przez myśl nie przeszło, że mama ma Alzheimera, dopóki ktoś niemal obcy nie wspomniał o tym jakby od niechcenia na przyjęciu! Ja po prostu zaprzeczałem faktom!

Gdy wypowiedział słowo "zaprzeczałem", nie mogłem nie pomyśleć o tym, ilu już spotkałem ludzi uciekających od bolesnej prawdy. Szukających rozmaitych wymówek, ślepych na to, co się naprawdę dzieje.

„Mama jest po prostu zmęczona”.

„Tata ma za dużo na głowie”.

Bagatelizujemy symptomy pomimo wszelkich dowodów.

Oczyszczamy ofiarę z zarzutów i unikamy oczywistego.

- Gdy mama została zdiagnozowana, uświadomiłem sobie, że muszę ją przenieść bliżej siebie, więc ulokowałem ją w mieszkaniu nade mną. Na szczęście pozwoliła mi się zająć swoimi finansami, trochę tylko protestowała i w końcu jakoś to wszystko poukładałem. Zacząłem zabierać ją do lokalnego centrum dla seniorów, tak żebym mógł iść do pracy w ciągu dnia. Z początku ciągle narzekała, ale się uparłem. Nie miałem wyboru. Jeśli istnieje

jakieś pocieszenie przy chorobie Alzheimera, to tylko to, że przestają narzekać w miarę, jak choroba postępuje. Po kilku tygodniach chyba nawet polubiła centrum seniora. Ale, oczywiście, sprawdzało się jedynie przez jakiś czas. Opieka nad mamą zaczęła przekraczać moje możliwości i musiałem wynająć kogoś do pomocy, aby mieć pewność, że rano się ubierze, przyjmie lekarstwa i że nie zniknie z mieszkania, gdy ja będę w pracy! Jej osobowość uległa zmianie - wspominał Jack. - Wpadała z jednego nastroju w inny w ciągu minuty. Moja urocza, kochająca matka stała się paranoikiem i osobą złośliwą, kimś, kim nigdy wcześniej nie była. Siedziałem w pracy i otrzymywałem telefon od opiekunki, zapłakanej z powodu czegoś, co zrobiła mama. Biegłem do domu i znajdowałem tam łagodną, słodką kobietę, która nie pamiętała, że uczyniła coś niestosownego. Z czasem te gwałtowne zmiany osobowości nasilały się. W końcu zupełnie przestałem sobie z tym wszystkim radzić. Podopieczni nie robią sobie przecież przerwy w chorobie, żeby dać opiekunom chwilę wytchnienia. Chociaż mój partner rozumiał sytuację, cierpiał na tym nasz związek. Nie wyjeżdżałem z miasta przez cztery lata. Stałem się zamknięty w sobie i przygnębiony. Zaczęłem mieć kłopoty z ciśnieniem. To codzienne obserwowanie, jak mama niknie... Uczęszczałem na terapię, aby dojść z tym wszystkim do ładu. Dzięki niej zrozumiałem, że potrzebuję pomocy i że muszę oddać mamę do domu opieki.

- Czy to sprawiło, że czuł się pan winny? - spytałem.

- Na początku tak, ale nie trwało to długo, bo wiedziałem, że nie było sposobu, by tego uniknąć. A gdy już umieściłem ją w Steere House, uświadomiłem sobie, że postąpiłem właściwie. Mieliśmy ciężki okres przejściowy; najpierw matka przebywała w innym domu opieki, ale tam się nie ułożyło.

Jack zamilkł na chwilę, pogrążywszy się we wspomnieniach.

- Koniec końców, byłem taki szczęśliwy, że mama jest w Steere House. Ciocia Barbara również cierpiała na demencję i przebywała tam już od jakiegoś czasu. Udało mi się ulokować mamę w tym samym pokoju na drugim piętrze. Wie pan, one mieszkały razem przez sześćdziesiąt osiem lat. Potem nastąpiło dziesięć lat przerwy, ale gdy już spotkały się ponownie w domu opieki, było tak, jakby nigdy się nie rozstały. - Jack zaśmiał się. - Obie kochały zwierzęta - dodał. - Chyba myślały, że te dwa koty należą do nich. Przychodziłem tam i zastawałem w pokoju mamę, ale Barbary prawie nigdy. Szukałem jej i okazywało się, że siedzi w takim czy innym kącie z którymś z kotów usadowionym na jej kolanach. Była zadowolona i mówiła mi, że jej kotek z nią jest.

- A pana matka? Także ciągnęło ją do kotów?

- No pewnie. Były chwile, gdy wydawało się, że już mnie nie rozpoznaje, ale jej twarz

zawsze się rozjaśniała, gdy jeden z kotów wchodził do pokoju. Obie tak reagowały. Kładłem zwierzaka na łóżku któreś z nich, a one po prostu się uśmiechały. Najdziwniejsze jest to, że mama i ciocia w końcu prawie wszystko zapomniały. Nie pamiętały swoich imion, tego, gdzie się znajdują ani kim są. Ale ta reakcja na zwierzęta, cóż, ona pozostała. Tak samo reagowały, gdy radio grało pewne piosenki. Nawet gdy ich czas się zbliżał, na widok kota się uśmiechały...

- Czy Oskar był przy nich pod koniec? - spytałem.

- Pielęgniarki mówiły mi, że przyszedł do Barbary kilka godzin przed jej odejściem i został. Nie było mnie przy cioci, gdy umierała, ale mogę panu opowiedzieć, jak sytuacja wyglądała z moją mamą i Oskarem.

Jack uśmiechnął się do swoich wspomnień.

- Gdy Oskar był jeszcze kociakiem, przynosiłem go do pokoju mamy i kładłem na łóżko. Zostawał na minutę, dwie, potem odchodził. Wie pan, jak to kociak.

Właściwie to nie wiedziałem.

- Mamie sprawiało to przyjemność, ale on nigdy nie siedział u niej długo. W ostatnim tygodniu jej życia, gdy była nieprzytomna, Oskar wchodził do pokoju, rozglądał się lub wskakiwał na chwilę na łóżko, a potem znikał. W tę noc, gdy umarła, zadzwoniła do mnie pielęgniarka z nocnej zmiany. Powiedziała, że z mamą jest kiepsko i że powinienem przy niej być. Gdy wszedłem do pokoju, światła zostały przygaszone, rozpoczęto aromaterapię. Podeszedłem do łóżka i zdumiał mnie widok Oskara leżącego na kołdrze, zwiniętego w kłębek przy mojej mamie. Gdy usiadłem obok niego, nawet nie drgnął; siedział tam i mruczał.

Na twarzy Jacka zagościł wyraz zadumy.

- Widząc Oskara na łóżku, spojrzałem na swojego partnera, z którym jestem od jedenastu lat i który zawsze wspierał mnie i moją mamę i powiedziałem mu, że zostajemy. Jak już mówiłem, mama miała tę wyjątkową więź z kotami i wiedziałem, że właśnie w ten sposób umrze, z kotem u boku. Dwie godziny później wydała ostatnie tchnienie.

Oskar nie ruszył się, dopóki nie odeszła. Potem wstał spokojnie, tak jakby nic się nie wydarzyło i opuścił pokój.

Siedzieliśmy w ciszy. Wyobrażałem sobie Oskara. Idę o zakład, że Jack też.

- Wydaje mi się, że mama byłaby szczęśliwa, wiedząc, że umarła, mając u boku jednego ze zwierzaków, które tak bardzo kochała. A ja... Prawdę mówiąc, wszystko, co wtedy czułem, to ulga. Chciałbym panu powiedzieć, że czułem się okropnie, gdy ona umarła, ale tak nie było. Myślę, że córka Ronalda Reagana powiedziała to najlepiej za nas wszystkich, gdy w swoich wspomnieniach nazwała Alzheimera, chorobę, na którą cierpiał jej ojciec - "długim

pożegnaniem”. Każdego dnia tęsknię za mamą. Taką, jaka była szesnaście lat temu, ale nie za osobą, którą się stała. Bo stała się dzieckiem, powoli zapominającym wszystko, co kiedyś wiedziało.

Przyszła mi na myśl rozmowa z paniami Scheer; mówiły mniej więcej to samo. Można to chyba porównać z filmem opowiadającym o życiu jakiejś osoby, który biegnie do tyłu - pomyślałem - tyle że ta osoba nie robi się młodsza.

Spytałem Jacka, czy ma jeszcze jakieś przemyślenia na temat swoich doświadczeń. Zastanowił się chwilę, zanim od powiedział..

- Trzeba nauczyć się kochać osobę, którą się staje bliski chory na Alzheimera i chwycić chwile szczęścia, cieszyć się z drobiazgów - stwierdził w końcu. - To dlatego zwierzęta w Steere House są takie ważne. Przy demencji jedyne, co można zrobić, to zapewnić komfort i umilać chorym czas. Zawsze poprawiała mi samopoczucie świadomość, że zostawiam mamę i ciocię pod doskonałą opieką, że mają siebie nawzajem, a towarzystwa dotrzymują im tak przez nie kochane koty.

Stojąc w progu i szykując się do wyjścia, uścisnąłem dłoń

Jacka. Zanim pozwolił mi odejść, podzielił się ze mną jeszcze jedną myślą.

- Wie pan, obecność Oskara sprawiała radość nie tylko mojej mamie - powiedział. - Była przyjemna również i dla mnie.

Rozdział osiemnasty

Zawsze przechodzą mi ciarki po plecach, gdy obserwuję kota widzącego to, czego ja nie mogę dostrzec.

Eleanor Farjeon

Po raz kolejny wyruszyłem na poszukiwanie odpowiedzi, a wróciłem z nowymi pytaniami. Jednakże rozmowy z bliskimi pacjentów zapewniały mi świeże spojrzenie na chorobę, z którą się borykali. Sprawiały, że stawałem się bardziej empatycznym lekarzem.

Pomyślałem o Mary, moim sprzymierzeńcu w tej sprawie, któremu składałem sprawozdania i z którym dzieliłem się przemyśleniami. Zastanowiło mnie, co sprawia, że jest tak dobra w swoim zawodzie. Sądzę, że opiekuńczość i współczucie są cechami do pewnego stopnia wrodzonymi; ale wiedziałem także, jak wiele przeszła. Czy wpłynęło to na jej stosunek do świata i ludzi?

Była królowa piękności, dawna Miss miasta Cranston w stanie Rhode Island, poślubiła mężczyznę swoich marzeń, po czym wyszło na jaw, że znalazła się w związku opartym na przemocy. Gdy zgłosiła się na policję, mąż w odwecie popełnił samobójstwo.

Po tych przeżyciach samotnie wychowywała dwójkę dzieci, które szczęśliwie trafiły na uniwersytet. Borykając się z licznymi problemami, stała się twardą zawodniczką, nieustannie skupioną na tym, co pozytywne. Nadal wielu rzeczy o niej nie wiedziałem. Pewnego razu wskazała mi budynek, w którym dawno temu zwykł grać zespół Talking Heads - w czasach, gdy muzycy byli studentami Akademii Sztuk Pięknych w Rhode Island - i oznajmiła: "Kiedyś chodziłam z Davidem Byrne'em"*.

Ale teraz Mary miała posępny wyraz twarzy i chyba nie chciałem usłyszeć tego, co zamierzała mi powiedzieć.

- Co się dzieje? - spytałem, gdy znalazłem ją ze skwaszoną miną w gabinecie.

- Nic, David. Po prostu mam zły dzień.

Mary patrzyła w przestrzeń. Stałem w milczeniu. W końcu się przełamała.

- Cóż, wygląda na to, że stan Rhode Island w swojej nieskończonej mądrości nie da nam w tym roku tej samej sumy pieniędzy przypadającej na każdego pacjenta, jak ostatnio, i kierownictwo straszy większymi cięciami.

*Wokalista i gitarzysta amerykańskiej grupy rockowej Talking Heads, powstałej w 1974 roku, popularnej na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Co roku dzieje się to samo. Żądają od nas coraz więcej pracy i świadczeń, równocześnie ograniczając fundusze.

Gdy sytuacja gospodarcza staje się trudna, zakłady pielęgnacyjno-opiekuńcze są łatwym celem dla biurokratów zamierzających przyciąć budżet, gdzie tylko się da. A nasi pacjenci raczej nie wybiorą się pod urząd ustawodawcy, by protestować.

Ta wiadomość była dla mnie jak kubeł zimnej wody, więc opadłem bezwładnie na krzesło. Rozumiałem, dlaczego Mary się martwi. Stawką były miejsca pracy - chodziło nie tylko o zatrudnionych tu ludzi, ale także o poziom opieki nad chorymi.

- No dobra, kogo przyszedłeś zobaczyć? - spytała w końcu, próbując się uśmiechnąć.

- Chciałem sprawdzić, co u Ruth. Jak ona się czuje?

- Właściwie dużo lepiej. Zespół majaczeniowy zaczyna ustępować i Ruth znów może jeść. Widziałam nawet, jak spaceruje w towarzystwie męża po korytarzu. Trzymali się za ręce i wyglądali urocz.

Nastrój Mary wydawał się poprawiać, ale po chwili jej twarz ponownie przybrała posępny wyraz.

- Widziałeś się dzisiaj z Saulem? - Zapytała prawie szeptem.

- Zajrzałem do niego zaraz po przyjęciu do szpitala, potem nie - odpowiedziałem.

Saul przebywał tam już od kilku tygodni, jego stan stopniowo się pogarszał.

- Dziś dzwoniła jego córka. Była przygaszona. Pewnie jej ojciec znalazł się na oddziale intensywnej terapii i jest z nim kiepsko.

Ta wiadomość mnie nie zaskoczyła. Saul był bliski śmierci, gdy opuszczał dom opieki i już wtedy zdawałem sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu. Popatrzyłem wzdłuż korytarza w kierunku jego dawnego pokoju.

- Chciałbym... - zacząłem, ale nie dokończyłem zdania.

Szczerze mówiąc, nie wiedziałem już, czego bym chciał.

Saul kiedyś dosyć jasno wyraził swoją wolę. Stwierdził, że życzy sobie, aby zrobiono wszystko, co się da, by utrzymać go przy życiu. Jednak jego sytuacja uległa zdecydowanej zmianie. Wiem, że gdzieś w głębi duszy większość nas ma wyobrażenie tego, jak chciałaby umrzeć. Byłem całkiem pewien, że wizja Saula nie obejmowała jego obecnego położenia. Ale to nie miało znaczenia. W stanie, w jakim się znajdował, nie mógł zmienić dawnego polecenia.

- Wiem, że wolałbyś, by córka zostawiła go tutaj, pod opieką hospicyjną, gdzie Oskar mógłby się nim zająć.

- Nie chodzi mi o kota, raczej o opiekę, którą ty i twój personel świadcycie. Gdybym

ja miał się znaleźć w takim stanie jak Saul, wolałbym być tutaj, z kotem czy bez kota!

Mary się uśmiechnęła.

- Skoro już wspomnieliśmy o naszym przyjacielu, może zajrzałyś do pokoju Saula?

Zawahałem się. Wiedziałem, że pacjenta tam nie ma i przecież przyszedłem zobaczyć Ruth, poza tym wciąż miałem wrażenie, że nie pocieszyłem odpowiednio Mary.

- No idź - zachęciła mnie.

Ruszyłem korytarzem w kierunku pokoju Saula. Po drodze minąłem Ruth i Franka spacerujących razem, trzymających się za ręce. Przywitałem się. Ruth odwzajemniła powitanie ciepłym uśmiechem.

- Wygląda pani dużo lepiej, pani Rubenstein - powiedziałem. Chociaż wyczuwałem, że mnie rozpoznaje, nie oczekiwałem, że odpowie, więc spytałem jej męża: - Zaczęła znów jeść?

- Jakby właśnie zakończyła strajk głodowy! - Uśmiechnął się szeroko Frank. Mówiąc to, energicznie uściśnił moją dłoń.

Ja również się uśmiechnąłem. Wiedziałem, że to chwilowe zwycięstwo, ale i tak cieszyłem się ich szczęściem.

Nie byłem pewien, co spodziewałem się zobaczyć w pokoju Saula. W pomieszczeniu panowała ciemność, a jego rzeczy osobiste leżały starannie złożone, czekając na powrót właściciela. Łóżko zostało pieczołowicie zaścielone; kołdra zaciągnięta była wysoko, aż na poduszkę. Dostrzegłem na niej jakiś ruch. W półmroku rozpoznałem kota. Oskar rozpoczął swoje czuwanie bez pacjenta.

Gdy jechałem do szpitala, myślałem o postanowieniu Barbary, aby utrzymać ojca przy życiu za wszelką cenę.

Jakie miałem prawo ją osądzać? Tak trudno przecież podjąć tę ostateczną decyzję, pozwolić swoim rodzicom lub ukochanym odejść. Może to nawet niesprawiedliwe, że narażamy członków rodziny na tak straszną rozterkę. Saul nalegał, aby utrzymać go przy życiu za wszelką cenę, gdy mógł wyrazić własne zdanie, kiedy zdawał sobie sprawę, kim jest. Każdy powinien dostać to, czego pragnie, pomyślałem, jadąc windą na oddział intensywnej terapii, ale w głębi duszy wiedziałem, że sam wybrałbym kota u boku.

Na oddziale intensywnej terapii trudno o prywatność.

Drzwi do sal są prawie zawsze otwarte na oścież, aby pielęgniarki i personel mogli efektywniej monitorować podopiecznych. Obecnie większość pacjentów tych oddziałów to osoby starsze, w wieku osiemdziesięciu lat i powyżej.

Sala 19 nie stanowiła wyjątku. Wąty, siwy mężczyzna spał. Niebieski elektryczny

koc przykrywał jego klatkę piersiową, Wyglądał jak materac, z którego moje dzieci korzystają na basenie. Koc ów, wypełniony gorącym powietrzem, ogrzewał organizm, nie zdolny w pełni wytworzyć własne ciepło.

Z trudnością rozpoznałem Saula. Tabliczka z nazwiskiem na karcie pacjenta potwierdziła jego tożsamość. Gdy zbliżyłem się do łóżka, dojrzałem rozgałęziony na trzy części przewód wlewu kroplowego, poprowadzony do szyi chorego. Urządzenie do dializy przysunięto do posłania.

Złowieszczy widok. Nerki przestały pracować...

- Jestem doktor Dosa, lekarz pierwszego kontaktu Saula - przedstawiłem się pielęgniarce, która stała w rogu, wprowadzając jakieś dane do komputera.

Odpowiedziała krótkim skinieniem głowy, po czym ponownie zatopiła się w pracy.

- Jak on się czuje? - spytałem.

- Niedobrze. Jest na dobutaminie i dopaminie i wciąż ma niskie ciśnienie krwi. Jego nerki przestają pracować. Lekarze zastanawiają się nad dializą. - Pielęgniarka wzruszyła ramionami. - Robimy wszystko, co możemy.

Zbliżyłem się i obejrzałem kroplówki zawieszane na statywie nad głową Saula. Przyjmował trzy kosztowne antybiotyki: linezolid, wankomycynę i ceftazydym. Żaden z tych leków nie potrafił zwalczyć bakterii znajdujących się w krwiobiegu. Te małe gnojki wygrywały i reszta była tylko kwestią czasu.

- Kardiologowie mają dziś po południu wykonać ultras nokardiogram przezprzełykowy. Sądzą, że bakterie zagnieździły się w zastawkach serca - odezwała się pielęgniarka, spoglądając zza komputera.

Potrząsnąłem głową. Czy on by sobie tego życzył?

Z pewnością wycieczka do szpitala była racjonalną decyzją.

Ale... Czy sensowną? Czy dobre intencje w tym przypadku nie robiły pacjentowi krzywdy? W ciągu jednego dnia Saul zaczął mieć problemy z oddychaniem, a jego ciśnienie krwi osiągnęło niebezpiecznie niski poziom. Zadzwoniono do

Barbary z informacją, że trzeba wprowadzić rurkę do płuc, która pomoże ojcu oddychać.

Patrząc na pacjenta, uświadomiłem sobie, że teraz czeka go jeszcze włożenie sondy w głąb przełyku, aby przekonać się, czy zastawki serca również są zainfekowane. Jednak gdyby wynik okazał się pozytywny, nic by to nie zmieniło.

Saul w obecnym stanie z całą pewnością nie nadawał się do zabiegu operacyjnego.

- Jest pani przekonana, że to wszystko jest zasadne? - spytałem pielęgniarkę.

- Proszę rozmawiać z lekarzami z oddziału. - W zruszyła ramionami. - Osobiście uważam, że nie, ale mnie nikt nie słucha.

- Tak jak i mnie - uśmiechnąłem się do niej.

Saul nie miał teraz kontroli nad swoim losem. Nikt się nie zatrzyma, aby zapytać, czy te działania, sprawiające mu cierpienie, mają sens. Oddycha z trudem, więc go zaintubowali. Jego ciśnienie krwi było niskie - podali mu środki farmakologiczne. Nerki przestawały pracować, zatem rozważano dializę. Jakikolwiek zabieg, procedura lecznicza i badanie jest uzasadnione z punktu widzenia ratowania życia pacjenta - stanowi reakcję na każdą niedomogę z osobna. Nikt nie zastanawia się już, po co to wszystko; zamiast tego mamy całą parą naprzód! Zostawiłem Saula pod opieką jego pielęgniarki i poszedłem odszukać lekarzy z oddziału intensywnej terapii.

- Czy to coś zmieni? - spytałem lekarza, którego znalazłem.

- Prawdopodobnie nie. Myślę, że on umiera, ale jego rodzina życzy sobie, żebyśmy działali.

Wróciłem do dyżurki, żeby zadzwonić do córki Saula.

Odebrała telefon natychmiast. Podałem jej bieżące informacje na temat stanu ojca.

- Lekarze chcą włożyć wziernik w głąb jego przełyku, aby zobaczyć, czy zastawki serca są zainfekowane. Nawet jeśli wynik badania będzie pozytywny, jestem przekonany, że fatalny stan zdrowia pani ojca uniemożliwi nam zrobienie czegokolwiek, aby zmienić jego sytuację.

- Doktorze, on chciał, aby zrobiono wszystko.

- Jednak okoliczności się zmieniły, pani Barbaro.

- Wszystko, doktorze. Wszystko.

Telefon zadzwonił tuż po północy. Wstałem, przecierając oczy, żeby go odebrać.

Młody lekarz składał mi kondolencje.

- Bardzo mi przykro, ale muszę pana poinformować, że pański pacjent, Saul Straham, zmarł dziś wieczorem. Próbowaliśmy reanimacji, jednak bez efektów. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

- Poinformowaliście rodzinę? - spytałem.

- Zadzwoniliśmy do jego córki. Źle to przyjęła. Jest z nim teraz.

Zanim odłożyłem słuchawkę, poprosiłem, aby przekazał jej moje wyrazy współczucia i podziękowałem mu. Wpatrywałem się w ciemność i myślałem o Saulu. Skierowałem do niego, w nocne powietrze, szybkie "do widzenia" i wtedy moje myśli zwróciły się ku jego córce. Czy miała okazję, aby się z nim pożegnać? Zapewne nie. Zastanawiałem się, czy był

przy nim pastor.

- Co się dzieje? - spytała sennie moja żona.

- Mój pacjent właśnie zmarł.

Wymamrotała coś niezrozumiałego. W tym fachu takie telefony się zdarzały.

Położyłem się z powrotem, ale trudno mi było ponownie zasnąć. Wyobrażałem sobie Oskara spoglądającego przez okno w pokoju Saula, może wpatrującego się w budynek szpitala po drugiej stronie ulicy. Czy wiedział? Jestem pewien, że przez ostatnie godziny leżałby zwinięty w kłębek obok staruszka, gdyby ten pozostał w domu opieki. Ostatecznie wszystkie procedury lecznicze, badania i zabiegi nic nie zmieniły. Po prostu nadszedł czas Saula. Wielu z nas ma wybór, jak umierać, w jaki sposób odchodzić, a niektóre rodzaje i okoliczności umierania zdają się lepsze od innych. Mówię sobie, że przynajmniej Saul zrobił krok naprzód, cokolwiek miałyby to oznaczać. Żałuję tylko, że owo przekroczenie granicy nie było dla niego łatwiejsze.

Rozdział dziewiętnasty

Są na świecie dwie rzeczy estetycznie doskonałe:

zegar i kot.

Emile Auguste Chartier

Koty może i mają dziewięć żyć, ale my marny tylko jedno i wszyscy boimy się rozmawiać o jego końcu.

- Nikt nie lubi mówić o śmierci - powiedziała Cyndy Viveiros, spoglądając na mnie znad biurka. - To jak brzydkie słowo, którego nie należy używać w dobrym towarzystwie.

Wiedziałem, co ma na myśli.

- Przez kilka ostatnich tygodni właściwie nikt... - Zawahała się. - Widzi pan, ja rozumiem, jak ciężko jest ludziom stawić czoło swoim lękom, ale przez większość czasu byłam sarna. Oczywiście personel z domu opieki zachowywał się wspaniale. Nie mogłabym prosić o więcej. Jednak oni przychodzili, kiedy się zaczynał ich dyżur i odchodzili, gdy się kończył.

Zebrała myśli.

- Doktorze, zaprosił mnie pan tutaj, by porozmawiać o kocie, więc oto, co sędzę. Byłam wdzięczna Oskarowi za to, co zrobił dla mojej matki. Ale jestem głęboko przekonana, że on był tam również dla mnie. Przez ostatnie kilka tygodni jej życia Oskar co chwila zaglądał do pokoju mamy, a mnie to niesamowicie uspokajało.

- Więc myśli pani, że Oskar był tam zarówno dla pani, jak i dla pani matki? - Przypomniałem sobie, co na zakończenie rozmowy powiedział do mnie Jack McCullough.

- Tak, dla mnie i ze mną - odpowiedziała Cyndy. - W sumie jestem tego pewna.

- To były trzy długie tygodnie, których większość 'spędziłam, siedząc na krześle przy łóżku mamy. Jej pokój stał się moim światem. W chwili, gdy nie śpiewałam jej pieśni kościelnych, ścieżkę dźwiękową tych wczesnych poranków stanowiły jednostajne brzęczenie respiratora i oddech mamy. Przez te ostatnie trzy tygodnie wydawało się, że życie uchodzi z niej jak cofająca się fala odpływu. Zdawałam sobie sprawę, że to ostatnie dni życia matki, ale czasami miałam wrażenie, że nigdy się nie skończą - zaczęła opowieść Cyndy. - Pamiętam, że ostatniego dnia obserwowałam zegar i przecierałam oczy. Często. Nawet gdyby nadeszła druga w nocy, nie miałam zamiaru wychodzić. Gdy wskazówka minutowa przesuwała się powoli na budziku, który stał na stoliku nocnym, mówiłam sobie, że to wkrótce nastąpi: jeden ostatni oddech, a potem cisza. Przynajmniej tak mi zapowiedziały pielęgniarki, żeby tego

oczekiwać. Ale po tylu dniach patrzenia, jak klatka piersiowa mojej mamy porusza się rytmicznie w górę i w dół, nie byłam wcale taka pewna, czy koniec rzeczywiście nadejdzie. - Cyndy pokręciła głową, odtwarzając w pamięci swoją niewiarę w zbliżający się koniec. - Nawet Oskar wydawał się trochę zdezorientowany jej siłą życia. Kot, o którym wszyscy mówili, że potrafi przeczuwać śmierć, przez parę ostatnich tygodni codziennie wchodził do pokoju, a potem wychodził. I nic więcej się nie działo.

- Ostatniego dnia podszedł do mnie i usiadł obok. Gdy się pochyliłam, by go pogłaskać, zamruczał delikatnie, więc podniosłam go i położyłam sobie na kolanach. Głaskałam kota po miękkim brzuszku i oboje przyglądaliśmy się mamie. Wkrótce jednak zeskoczył i ulokował się na pościeli. A później, wiem, zabrzmiało to dziwnie, wydawało mi się, że wciąga powietrze. Następnie przekręcił się na plecy i po kociemu rozciągnął. To wyglądało, jakby pozował - opowiadała Cindy. Zaśmiała się cicho. Spojrzała na mnie, oceniając moją reakcję. - Wie pan, Oskar potrafi być niezwykle czarujący, gdy chce! - dodała, starając się usprawiedliwić swój wcześniejszy komentarz. - W każdym razie popatrzył na mamę i już nie spuszczał z niej oczu.

Zastanawiałam się, czy to była wiadomość dla mnie... Zdaje się, że nawet go o to zapytałam. Czy to się wkrótce stanie... Ale nie odpowiedział. - Cyndy umilkła, lecz po chwili podjęła opowieść. - Wie pan, doktorze, na początku uważałam wizyty kota za trochę denerwujące. Słyszałam o nim już wcześniej. Śnił mi się nawet, jak siedzi na łóżku mamy. Te koszmary budziły mnie co noc o tej samej porze, o trzeciej nad ranem. To było po prostu dziwne. - Pokręciła głową. - Przez pierwszy tydzień mojego czuwania przy mamie, Oskar miał zwyczaj spacerować pod drzwiami, zatrzymywać się w progu i zaglądać do pokoju. Na początku patrzyłam na niego z niepokojem, zastanawiając się, czy wkroczy do naszego świata. Tak właśnie myślałam o tym pokoju, jak o moim świecie - Cyndy uśmiechnęła się. - Po jakimś czasie uświadomiłam sobie, że moje obawy są bezpodstawne. Chodzi mi o to, że, na litość boską, on nie był niczym nadnaturalnym. Nie miał kosa czy widał.

To był zwyczajny domowy kot. Moja mama uwielbiała koty. Prawdę mówiąc, gdy po raz pierwszy przyglądałam się domom opieki, pomyślałam, że może znaleźć jakąś pociechę w tych zwierzętach chodzących po oddziale i tak też było. Gdy poznałam Oskara, zrozumiałam, że on nie stanowi żadnego zagrożenia. W rzeczywistości zaoferował mi więcej niż ktokolwiek inny w tamtych chwilach. Odbierałam wiele telefonów od zatroskanych znajomych, którzy próbowali być mili, ale ostatecznie tylko dwie osoby przyszły w odwiedziny do mojej mamy. Rozumiem to. Nikomu nie śpieszy się do domu opieki, zwłaszcza z wizytą do osoby umierającej. To jak wbiegnięcie do płonącego budynku; naturalnym odruchem jest ucieczka

w drugą stronę. Ale Oskar, no cóż, on był inny. On przed tym nie uciekał. Właściwie wydawało mi się, że wie, kiedy jest najbardziej potrzebny - przerwała na chwilę, wróciła myślą do tamtych chwil.

Wie pan, pierwszego dnia, gdy zobaczyłam Oskara siedzącego w drzwiach pokoju mamy, obserwowałam go z uczuciem strachu, tak sędzę. Wtedy ruszył powoli i leniwie i podszedł do jej łóżka, Wiedziałam, co może oznaczać wizyta tego kota i chyba wstrzymałam oddech. Ale on zamiast wskoczyć na łóżko, usiadł przy mnie. Może pan to sobie wyobrazić? Gdy wyciągnęłam rękę, aby pogłaskać go po głowie, zamruczał głośno i przeciągle, jak gdyby był z siebie bardzo zadowolony.

Jak gdyby - pomyślałam.

- Potem wskoczył na parapet i usadowił się w klasycznej pozie sfinksa. Wie pan, co mam na myśli, doktorze?

- Tak, wiem - odpowiedziałem. Znałem tę pozę, królewską i tajemniczą, tak jakby nasz Oskar pochodził z Egiptu, tak jakby był swego rodzaju strażnikiem świątyni. A może faktycznie nim był?

- I Oskar spędzał sporo czasu, siedząc na tamtym parapecie, obserwując świat w środku i na zewnątrz. Codziennie spotykałam go przy drzwiach wejściowych na oddział, witaliśmy się i wydawało się, że eskortuje mnie przez korytarz do pokoju mamy. Siedział przez całą wizytę. Naprawdę polubiłam tego małego zwierzaka, wie pan?

Wkrótce sama jego obecność zaczęła wpływać na mnie kojąco. Gdy czułam się niespokojna, co zdarzało się często, mówiłam na głos do Oskara i miałam wrażenie, że mnie słucha. Nigdy nie osądzał, nie wyrywał się z niechcianymi radami, po prostu słuchał. Gdy potrzebowałam chwili przerwy i wychodziłam z pokoju, zostawał z mamą, a ja mogłam się przejść, rozprostować nogi lub coś zjeść. Czasem towarzyszył mi nawet przez całą długość korytarza, aż do drzwi oddziału.

Słuchałem w milczeniu, nie przerywając. To była nowa „twarz” Oskara.

- Wie pan, doktorze, miałam wiele czasu na rozmyślania, siedząc tam, przy mamie. Zastanawiałam się, jak się będę czuła, gdy ona odejdzie. Doświadczyłam tak wiele poczucia winy podczas jej długiej choroby, że zaczęłam myśleć o winie jak o czymś, co mi towarzyszy od urodzenia, na przykład o odziedziczonych pamiątkach rodzinnych. Dlaczego nie zauważyłam wcześniej choroby matki? Czy zrobiłam wszystko, co mogłam, dzieląc czas i uwagę pomiędzy nią, dziećmi i pracą na pełnym etacie? Czy słusznie uczyniłam, umieszczając ją w domu opieki? Nieważne, jak wiele wykonałam, zawsze wydawało się, że można było zrobić dużo więcej, o tylu rzeczach nie pomyślałam...

Cyndy zamilkła na chwilę, by zaśmiać się lub zapłakać, nie byłem pewien. Nie sądzę, by i ona sama to wiedziała.

- I wtedy uświadomiłam sobie, że zaczynam czuć się winna, bo nie poczuwam się do winy. Tak naprawdę śmierć matki wydawała się naturalnym końcem jej cierpień. Ale dlaczego ja się z tym dobrze czuję? Pytałam sama siebie.

Szukając pocieszenia, uklękłam, chwyciłam różaniec mamy leżący na stoliku przy łóżku i zaczęłam głośno mówić „Ojcze Nasz”:

Ojcze Nasz, któryś jest w Niebie, święć się imię Twoje.

Przyjdź Królestwo Twoje.

Bądź Wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi.

Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

I nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.

Amen.

Gdy skończyłam, usiadłam ponownie i odczułam nagłe zmęczenie. Po raz pierwszy bardzo chciałam wrócić do domu. Spontanicznie wyszeptalam słowa modlitwy płynące z głębi serca: Panie, przyjmij ją do siebie. Zamknęłam na chwilę oczy i wtedy napłynęły pełne miłości wspomnienia z dalekiej przeszłości. To były wspomnienia o mojej matce, które dodawały otuchy, więc pozwoliłam sobie prawie zapaść w sen, słuchając szumu respiratora. Nagle zerwałam się na równe nogi. Szum respiratora był jedyną rzeczą, jaką słyszałam. Spojrzałam na mamę i zdałam sobie sprawę, że ucichło jej chrapanie. Po raz pierwszy od wielu dni wydawała się spokojna. Zerknęłam na zegarek. Była trzecia nad ranem.

Pielęgniarka przysłała parę minut później i osłuchiwała mamę stetoskopem, potwierdzając to, co już wiedziałam. Złożyła mi kondolencje, a potem wyszła, by zadzwonić do wszystkich, których należało zawiadomić. Przez chwilę siedziałam cicho na krześle, przyglądając się mamie. Wiedziałam, że ona odeszła, ale wciąż na nią patrzyłam, szukając jakiejś oznaki życia. W końcu pochyliłam się i pocałowałam ją. Powiedziałem, że jej ukochany zmarły mąż na nią czeka.

Prawie natychmiast odczułam niesamowitą bliskość, jakbyśmy obie, ona i ja, były wreszcie wolne. - Na twarzy Cyndy pojawił się cień uśmiechu. - Gdy upłynęło trochę czasu, wstałam i wyszłam z pokoju po filiżankę kawy. Nie byłam jeszcze gotowa, żeby zadzwonić do rodziny; musiałam się dobudzić. Pamiętam, że na oddziale było strasznie cicho.

Gdy szłam korytarzem, usłyszałam tupot łapek uderzających o podłogę tuż obok mnie. Spojrzałam w dół i zobaczyłam idącego przy mnie Oskara.

Mogłem sobie wyobrazić Oskara, jak idzie przy Cyndy, dotrzymując jej kroku.

- Więc on był pani towarzyszem przez te długie trzy tygodnie? - zapytałem.

Cyndy przytaknęła i mogłem dostrzec wyraz głębokiego szacunku malujący się na jej twarzy. Ostatnio wielokrotnie widziałem taki wyraz twarzy u osób, które opowiadały o kocie.

- Doktorze, pamiętam, jak wchodziłam do łazienki, aby opryskać wodą twarz. Gdy wyszłam, Oskar był tam, czekał na mnie pod drzwiami. Zatrzymałam się w kuchni i nalałam sobie kawy. Potem usiadłam przy stole w jadalni, by zaplanować, do kogo powinnam zadzwonić. Nagle usłyszałam hałas na krześle obok. Spojrzałam, i to był Oskar sadowiący się na tylnych łapach, wpatrujący się we mnie.

Miałam wrażenie, że sprawdza, upewnia się, czy wszystko w porządku - teraz uśmiechnęła się szeroko. - Wie pan, przez trzy tygodnie ludzie przychodzili i odchodzili. Ale

Oskar... on został. On naprawdę był tam dla mnie. Prawdę mówiąc, on był ostatnią "osobą", którą zobaczyłam tego ranka, gdy wychodziłam z oddziału. Siedział sobie zwyczajnie na blacie w dyżurce pielęgniarek i patrzył, jak wychodzę i jak drzwi się za mną zamykają.

Rozdział dwudziesty

*Ponieważ lubię mój dom, kocham koty;
a one, krok po kroku, tworzą jego widzialną duszę.*

Jean Cocteau

Nadszedł czas, żeby zakończyć moje "śledztwo". Rozmawiałem do tej pory z sześcioma osobami, których bliscy zmarli, mając Oskara u boku. Zgłębiłem ich wspomnienia oraz emocje i wiele się dowiedziałem o tym, jak choroba

Alzheimera odbija się na rodzinach chorych. Ale wciąż za mało wiedziałem o Oskarze.

Mimo to nie czułem się sfrustrowany. Chociaż nie miałem jeszcze wystarczającej wiedzy, odczuwałem dziwne podekscytowanie. Obraz, jaki pozostał przed moimi oczami, to Oskar towarzyszący Cyndy Viveiros wzdłuż korytarza, a potem siedzący z nią w zaciemnionej jadalni, tak jak siedział z jej matką w ostatnich dniach. Może właśnie był towarzyszem, czującą istotą, która asystowała jednej osobie w podróży do następnego świata, a drugiej - w żałobie po stracie kogoś kochanego; okazał się łącznikiem z zaświatami. Czyż to nie powinno wystarczyć?

Jakie miało znaczenie, czy Oskar miał jakąś pozamysłową moc postrzegania? Niewątpliwie wyczuwał zbliżającą się śmierć, zanim mogły to zrobić najlepsze umysły medycyny.

Może był po prostu mistrzem empatii. Może jego supermocą okazało się troska o innych.

Musiałem porozmawiać z Mary.

Myslałem o tym, co powiedziałaś. Że Oskar ma czterdziestu jeden członków rodziny i gdy któryś z nich ma kłopoty, Oskar przychodzi i zostaje z nim.

Było trochę przed trzecią po południu, siedzieliśmy z Mary w jej biurze. O trzeciej miało się odbyć spotkanie pracowników, więc przyjechałem trochę wcześniej, aby zamienić z nią parę słów. Problemy, jakie miały miejsce podczas naszego ostatniego spotkania, zniknęły, kryzys związany z finansowaniem został rozwiązany i Mary wyglądała na spokojną i opanowaną.

- Och, David, to tylko moja teoria - stwierdziła. - Co ja tam wiem? Musisz pamiętać, że mam fioła na punkcie zwierząt. Trudno mnie posądzić o obiektywizm.

- Obiektywizm ma swoje granice - odparłem. - Pamiętaj, że ja zacząłem od absolutnej

niewiary w nietypowe zachowanie Oskara. Szczerze mówiąc, myślałem, że wszyscy jesteście trochę stuknięci.

- Wiesz, co opowiadamy o ludziach związanych z tym miejscem... - przypomniała Mary z uśmiechem. - Nie musisz być stuknięty, by tu pracować, ale to pomaga!

- Ale teraz sądzę, że Oskar ma jakiś cel - kontynuowałem. - Może chodzi mu o pomaganie rezydentom, członkom rodziny, jak to ujęłaś. Ale również ich rodzinom; w gruncie rzeczy to one najbardziej cierpią.

- Nie zapominaj o personelu - przypomniała Mary. Teraz w pełni zaangażowała się w rozmowę, tak jakbym ja był Holmesem, a ona moim Watsonem. - Nie możesz pracować tutaj i pozostać obojętny na problemy swoich pacjentów. Kochamy tych ludzi, David. Ich utrata nas również pogrąża w żałobie. W końcu często stajemy się pacjentom równie bliscy duchowo i emocjonalnie, jak ich własna rodzina.

- Czy to pomaga, że widziałaś tyle umierających osób z Alzheimerem? - zapytałem. - Czy to w jakiś sposób nie znieczula?

Zastanowiła się chwilę, zanim wreszcie odpowiedziała.

- To sprawia, że łatwiej jest zrozumieć, co się dzieje ale nie dlaczego. Dlaczego ktoś zostaje tym dotknięty? Dlaczego Bóg pozwala, aby to miało miejsce?

Chociaż rzadko poruszaliśmy temat religii, skorzystałem z okazji i zapytałem ją:

- Czy ty się modlisz, Mary? To znaczy, czy pytałaś Boga, dlaczego?

Uśmiechnęła się, nie udzielając bezpośredniej odpowiedzi na to pytanie.

- Nie sądzę, żeby On od razu odpowiedział - odrzekła.

Nie - pomyślałem. - On odbierze wiadomość i odezwie się do ciebie.

- Kiedyś ci tłumaczyłam - przypomniała Mary - że ludzie zaczęli trzymać zwierzęta, wyznaczyszy im pewne zadanie. One pracowały. Na przykład pies pilnował owiec lub coś w tym stylu. Żaden kot, który na poważnie nie łowił myszy na farmie, nie zagrażał tam miejsca na dłużej.

Zwierzęta musiały zasłużyć na swoje utrzymanie.

- Więc myślisz, że zadanie Oskara – dopowiedziałem to opiekowanie się ludźmi?

Mary wzruszyła ramionami.

- Czemu nie? Może jest po prostu bardziej rozwinięty niż inne koty. Może to jego sposób płacenia rachunków. - Spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się do mnie.

W tym momencie drzwi do oddziału otworzyły się i minął nas pochód wieczornej zmiany. Mary wstała z krzesła.

- Muszę zebrać drużynę i rozdzielić zadania. Zostaniesz w pobliżu?

- Nie wiem.

- Proszę, poczekaj. Chciałabym, żebyś przed wyjściem zobaczył jednego z pacjentów. Nasza odprawa potrwa dosłownie moment.

Parę chwil później Mary stała tyłem do drzwi, rozdzielając zadania do wykonania między pielęgniarkę i cztery asystentki. Codziennie odbywała takie spotkania przy zmianie dyżuru, podczas których instruowała nową zmianę, czego dopilnować i którzy rezydenci mogą wymagać specjalnej uwagi. Zająłem miejsce przy jednej z asystentek i przysłuchiwałem się rozmowie.

- W zachodnim skrzydle - mówiła Mary - jest się czym zająć. W trzysta dwunastym pani Carey wydaje się...

Gdy Mary kontynuowała raport, ja poddałem się rozmyślaniom. W głębi korytarza grupka rezydentów siedziała, oglądając telewizję. O tej porze nadawano jedną z tych oper mydlanych, ulubionych przez większość pacjentów.

Tych melodramatów, w których w kółko powtarzały się te same wątki... Za pacjentami dostrzegłem sylwetkę kota.

Przycupnął na parapecie i obserwował coś za oknem. Oskar najwyraźniej zszedł już z dyżurki i znalazł sobie dogodne miejsce, aby spędzić miło czas. Wyglądało na to, że dziś na drugim piętrze żadnych zgonów nie będzie.

Z zadumy wyrwał mnie głos Mary.

- Doktorze, pewnie zechciałbyś się czegoś dowiedzieć o panu Grancie, rezydencie, którego chcę ci przedstawić. - Skierowałem na nią uwagę, Mary opisywała stan pacjenta. - U pana Granta ponownie pojawiła się odleżyna. Zmieniamy opatrunek dwa razy dziennie i wygląda to całkiem czysto. Ale musicie pamiętać, żeby go często odwracać. Jest teraz przykuty do łóżka, naprawdę trzeba uważać, aby to owrzodzenie się nie pogłębiło. - Potem powiedziała do mnie: - Muszę zmienić ten opatrunek, zanim wyjdę. Może potowarzyszysz mi na wypadek, gdyby było jeszcze coś, co chciałbyś, żebyśmy zrobili?

Przytaknąłem, podczas gdy Mary zbliżała się do końca odprawy.

- No i jeszcze Ruth Rubenstein. Jej stan bardzo się poprawił przez ostatnie kilka tygodni. Znowu chodzi i przybrała na wadze. Jak wiecie, jej zaburzenia orientacji wreszcie ustąpiły, a fizykoterapia przynosi efekty. A przy okazji, pan Frank niedawno przyjechał i prosił, by zapewniono im chwilę prywatności. Więc postarajcie się zatrzymać jej towarzyszkę z pokoju w jadalni. Myślę, że dziś jest ich rocznica czy coś w tym stylu i on chce pobyć z żoną sam na sam.

Kilka asystentek wymieniło znaczące spojrzenia. Takie prośby o chwile intymności

między pacjentami a ich małżonkami nie są niczym niezwykłym, ale ludzie, którzy tu pracują, zachowują się czasami jak dzieci. Mary spojrzała zimno na podśmiewające się kobiety i porządek został przywrócony.

Gdy grupa się rozeszła, podążyłem za Mary do gabinetu.

- Ech, dlaczego myśl o Rubensteinach, którzy chcą trochę prywatności, jest dla nich taka śmieszna? - zapytałem. - Są małżeństwem. To, że ona tu mieszka, nie oznacza, że nie mają swoich potrzeb.

Mary podniosła głowę.

- Wiesz, jeden z naszych pacjentów spędza ostatnio wiele czasu w pokoju Ruth. Problem w tym, że to jego zainteresowanie wydaje się jej nie przeszkadzać. Raczej przeciwnie...

- Frank się zdenerwuje, kiedy to do niego dotrze - stwierdziłem zmartwiony.

- Przypuszczam, że w końcu będziemy musieli mu o tym powiedzieć. - Mary westchnęła.

- Poczekaj, aż pójde na urlop, zanim to zrobisz - powiedziałem. Sam nie wiedziałem, czy to był tylko żart.

- Muszę już wychodzić, więc zerknijmy na te odleżyny.- Mary zignorowała moją uwagę.

Wyszliśmy z jej gabinetu i udaliśmy się korytarzem do pokoju pana Granta. Nagle usłyszałem krzyk i ujrzałem, jak

Ruth Rubenstein wybiega ze swojego pokoju. Na jej twarzy malowało się prawdziwe przerażenie. Minęła nas, nie zatrzymując się.

Chwilę później Frank wybiegł za nią. Zatrzymał się, widząc mnie i Mary.

- Doktorze, muszę z panem porozmawiać - powiedział zdyszany. Jego twarz wyrażała cierpienie.

Poprowadziłem go korytarzem do pokoju pani Rubenstein, a Mary ruszyła na poszukiwanie Ruth. Weszliśmy do środka i usiedliśmy obok siebie na łóżku. Frank spojrzał na mnie oczami pełnymi łez.

- Doktorze, chcę panu powiedzieć, co się przed chwilą stało, ale najpierw musi pan spróbować nas lepiej zrozumieć.

- W porządku - powiedziałem.

- Ruth i ja pobraliśmy się krótko po wojnie. Nie wiem, czy pan o tym wie, ale poznaliśmy się w obozie koncentracyjnym. - Spojrzał na mnie, by ocenić moją reakcję.

- Nie wiedziałem - odrzekłem.

- Boże drogi, wciąż pamiętam, jakby to się zdarzyło wczoraj... Był późny październik tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Siedziałem w obozie już od kilku miesięcy. - Pan Rubenstein przerwał na moment i pogrążył się we wspomnieniach. Upłynęła dobra chwila, zanim ponownie rozpoczął swoją opowieść. Głos mu się łamał.

- Mówią, że gdy człowiek się starzeje, zapomina. Ale to nieprawda. Z każdym dniem coraz wyraźniej pamiętam przeszłość. Pod pewnymi względami zazdroszczę żonie, ona już nic z tego nie pamięta, ale ja żyję wspomnieniami.

W nocy śni mi się wszystko: poniżenie, cierpienie. - Frank znowu na chwilę przerwał i spojrzał na podłogę, zanim podjął wątek. - Pamiętam ten pierwszy raz, gdy zobaczyłem Ruth, jakby to było wczoraj - powtórzył.

W miarę jak mówił, jego obcy akcent stawał się bardziej słyszalny, a zdania niegramatyczne - jakby po latach wrócił do początków, do głębokiej przeszłości.

- Dopiero co przybyła do obozu. Była ubrana w brązową sukienkę, podartą. Płaszcz wyglądał na nowy, ale poplamiony po podróży. Pchała przez błoto ciężką walizkę.

Wciąż pamiętam te jej długie ciemne włosy: potargane i brudne, ale... Ach! Jakże piękne. Z jakiegoś powodu, może to było przeznaczenie, nasze oczy się spotkały. Doktorze, miała najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Co najważniejsze, nie dojrzałem w nich strachu.

Znalazła się w przerażającym miejscu, ale w jej postawie było jedno - zawziętość, twarde postanowienie, że ona będzie żyć! Więc tak zwyczajnie zakochałem się w niej. Musiałem ją poznać. Podeszedłem i zaproponowałem, że wezmę jej walizkę, Frank spojrzał na mnie, delikatny uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Odmówiła, ale ja od tamtej chwili ustawicznie o niej myślałem, nie umiałem przestać nawet na moment. Minęły tygodnie, zanim znów się spotkaliśmy. Może to zabrzmiało szalenie, zważywszy na nasze położenie, ale, doktorze, do dziś uważam dzień tego spotkania za najszczęśliwszy w moim życiu. Od owego dnia staliśmy się nierozłączni.

Przez dziewięć miesięcy byliśmy razem. Potem nagle wysłali nas do różnych obozów. Zanim nas rozdzielili, uzgodniliśmy, że jeśli przeżyjemy, będziemy się szukać po wojnie.

Wybraliśmy miejsce, gdzie mieliśmy się spotkać: kościół w mojej miejscowości rodzinnej. Przez jakiś czas żadne z nas nie wiedziało, czy drugie przeżyło.

- Panie Rubenstein - wtrąciłem - nawet nie jestem w stanie wyobrazić sobie tego, przez co przeszliście.

- Doktorze, dziś mijają sześćdziesiąt trzy lata, odkąd poznaliśmy się na placu apelowym. - Przerwał, aby ta informacja do mnie dotarła. - Po raz pierwszy od tamtego dnia

Ruth nie wie, kim jestem.

Łzy zaczęły mu płynąć po policzkach. Spojrzałem na niego w milczeniu, niepewny tego, jeśli w ogóle, co powinienem powiedzieć.

- Gdy przybyliśmy do Stanów, nie mieliśmy wiele pieniędzy. Nie znaliśmy języka. Ruth sprzątała sale w szpitalu, a ja w ciągu dnia chodziłem do szkoły, by nauczyć się angielskiego. Nocami spacerowaliśmy po Nowym Jorku, patrząc na wystawy sklepowe. Potem wracaliśmy do naszego małego mieszkania i razem kładliśmy się spać. Na to mogliśmy sobie pozwolić! I byliśmy wtedy szczęśliwi. Mieliśmy siebie... Potem sytuacja się poprawiła. Angielski znałem już całkiem dobrze i dostałem pracę jako pomocnik w laboratorium. Ruth została nianią u pewnej bogatej nowojorskiej pary. Kochała tę pracę i te dzieciaki. Może dlatego, że my sami nie mogliśmy mieć dzieci.

W oczach Franka znów pojawiły się łzy.

- Przykro mi - powiedziałem.

- Nigdy nie było nam łatwo, ale radziłem sobie - ciągnął Frank. - Wróciłem do nauki i zdobyłem tytuł doktora.

Pierwszą prawdziwą pracę dostałem tutaj, w Nowej Anglii.

Spojrzałem uważnie na Franka w poszukiwaniu wskazówki, dokąd zmierza ta historia. Być może zdał sobie sprawę z tego, że mówił chaotycznie. Przerwał i spojrzał na mnie.

- Dziś z okazji naszej rocznicy przyniosłem tuzin czerwonych róż i kawałek jej ulubionej tarty gruszkowej z tej wspaniałej piekarni w centrum na Federal Hill.

Rzuciłem okiem i dojrzałem wciąż zapakowane pudełko z ciastem na stoliku. Obok stał wazon pełen róż.

- Wszedłem do jej pokoju i powiedziałem: "Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy", tak jak tyle razy wcześniej. Usiadłem na łóżku i pochyliłem się, aby pocałować ją w czoło. W jej oczach dostrzegłem strach. Doktorze, byłem dla niej obcy. Po prostu zaczęła krzyczeć.

Poczułem się tak, jakby całe powietrze uszło z pokoju.

- Nie wiedziałem, co robić - ciągnął Frank. - Próbowałem ją pocałować, a ona nadal krzyczała. Wyciągnąłem rękę, aby ją uspokoić, a ona uderzyła mnie w twarz. Potem zerwała się i wybiegła z pokoju.

Dopiero teraz zauważyłem czerwony ślad na jego lewym policzku. Pogrzeżyliśmy się w krępującej ciszy. Wreszcie Frank przemówił.

- Doktorze, nie chcę, żeby moja żona żyła w takim strachu.

Spojrzałem na niego. Przestał płakać. Wyraz twarzy miał zacięty, był tak

zeterminowany, jak zapewne Ruth wtedy w obozie. Zrozumiałem teraz, dlaczego chciał opowiedzieć mi historię swojego małżeństwa.

- Czy pomoże mi pan, doktorze?

Zdawałem sobie sprawę z tego, przez co przeszedł i wiedziałem, że zmierza w stronę przepaści. Jego serce zostało złamane; nic mu nie zostało. Przeżyli koszmar; doszli tak daleko, a teraz on został sam. Postawiłem się w jego sytuacji i przez chwilę pomyślałem, jak byłoby łatwe złamać fundamentalną przysięgę lekarską i zrobić to, o co prosił.

- Nie - powiedziałem wreszcie. - Nie mogę panu w tym pomóc.

Znów zapadła niezręczna cisza, którą w końcu przerwałem.

- Panie Rubenstein, pańska żona jest nieuleczalnie chora. Fizycznie jej stan się ostatnio poprawił, ale gdy nadejdzie czas, możemy objąć ją opieką hospicyjną i po prostu sprawić, żeby było jak najlepiej.

- Ile czasu jej zostało? - zapytał.

- Panie Rubenstein, to wie tylko Bóg.

Moja odpowiedź powoli docierała do jego świadomości. Zastanowiłem się, co myśli o Bogu. Może Bóg przestał istnieć dla kogoś, kto doświadczył tak wielu strasznych rzeczy.

- Doktorze, dla mnie moja żona dziś umarła. - Zebrał swoje rzeczy z łóżka. - Proszę, niech pan sprawi, by ta osoba, która zajęła jej miejsce, dobrze się czuła i by więcej nie cierpiała.

- Ma pan moje słowo, panie Rubenstein.

Frank uśmiechnął się do mnie bez przekonania i wstał.

Szybko przemierzył pokój, a potem wyszedł na korytarz.

Poszedłem za nim. Gdy mijał swoją żonę siedzącą przy stoliku pielęgniarek przy wejściu na oddział, nie spojrzał na nią nawet, a ona go nie zauważyła. Może zapatrzyła się na czarnobiałego dachowca, który opuścił swoje wygodne stanowisko na oknie i zbliżył się do niej.

Gdy Frank Rubenstein dotarł do drzwi prowadzących na zewnątrz, wypuściłem go, przykładając mój identyfikator do czytnika. Nim wyszedł, odwrócił się szybko i chwycił mnie za przegub. Spojrzał mi w oczy.

- Dziękuję panu za wszelką pomoc przez te wszystkie lata - powiedział. - Wiem, że nie okazywałem żadnej wdzięczności... - Urwał, a łzy znów napłynęły mu do oczu. - Proszę, niech pan sprawi, by było jej dobrze, doktorze.

Skinąłem głową, a on uśmiechnął się ponuro. I odszedł.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Nawet najmarniejszy kot jest arcydziełem.

Leonardo Da Vinci

George Duncan spojrział na swoją matkę zmęczonymi oczami. Zaledwie parę godzin temu był trzysta mil stąd, na wyjeździe służbowym w południowym New Jersey; praca syndyka masy upadłościowej oznaczała częste pobyty poza domem. Jego dzień rozpoczął się spokojnie. Potem, o czwartej otrzymał telefon, którego zawsze się obawiał.

- George, pana matka nie czuje się najlepiej - powiedziała Mary. - Myślę, że powinien pan przyjechać tutaj najszybciej, jak pan może.

Zwykle to on do niej dzwonił. Numer domu opieki Steere

House znał już na pamięć i gdy zobaczył cyfry na tarczy telefonu komórkowego, od razu wiedział, że coś się stało.

Natychmiast pożałował, że opuścił matkę. Prawie każdą chwilę Święta Dziękczynienia w zeszły weekend spędził w jej pokoju. Zdawał sobie sprawę, że stan jej zdrowia pogarszał się gwałtownie. Ale nadszedł poniedziałek, a z nim obowiązki służbowe. Przewlekła choroba matki i jej częste hospitalizacje już skomplikowały mu sytuację w pracy. Gdy odłożył słuchawkę, poczuł, jak zżera go poczucie winy.

- Przepraszam - rzucił zaskoczonemu koledze. - Chodzi o moją matkę.

Gdy George dotarł do domu opieki tuż przed północą, ucieszył się na widok przyjaciółki rodziny, która siedziała przy drzwiach, jakby na warcie.

- Nie wpuściłam go - powiedziała George'owi, wskazując czarnobiałego kota na korytarzu. - Nie chciałam go tutaj, dopóki nie przyjedziesz.

Od kilku godzin odpędzała Oskara próbującego dostać się do pokoju. W końcu kot zrezygnował i oddalił się. Ale ona wiedziała, że nie odszedł daleko.

George objął ją, a potem wszedł do pokoju i usiadł przy matce. Poruszyła się na krótko, jakby zauważyła jego obecność, ale wkrótce znów zapadła w spokojną drzemkę. Patrzył, jak oddycha. Ten oddech był szybki i rytmiczny, ale nie łąpała powietrza gwałtownie, jak to miało miejsce, gdy zachłystywała się podczas zapalenia płuc.

George ujął jej prawą rękę. Chwycił mocno obiema dłońmi, a potem przytulił delikatnie do piersi. Zaczął płakać.

Wiedział, że traci matkę.

Siedział tak, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi. Sprzątaczką weszła cicho do pokoju i zniknęła w łazience. Wyszła stamtąd, niosąc kilka worków śmieci. George spojrzął na nią przez łzy, a ona ciepło się do niego uśmiechnęła. Opuścił głowę.

Chwilę później poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Spojrzął do góry i zobaczył wpatrzone w niego zatroskane oczy tej kobiety. Położyła przybory do sprzątania na podłodze i usiadła obok niego na łóżku. George wypuścił dłoń matki.

- Niech pan nie płacze - powiedziała kobieta, podając mu chusteczkę z pudełka leżącego na stoliku przy łóżku. - Proszę pamiętać, że znów pan kiedyś zobaczy swoją matkę.

Tu, na Ziemi, wszyscy przebywamy tylko przez chwilę.

George spojrzął na nią w osłupieniu. Zastanawiał się, czy ona uczęszczała do tego samego kościoła, co on i jego matka.

- Czy my się znamy? - zapytał.

Kobieta uśmiechnęła się ciepło.

- Właściwie nie, ale znam pana mamę. Pracuję tutaj od ośmiu lat. Na początku, gdy ona była jeszcze sprawna, uczyła mnie. O Biblii.

George zaczął się uśmiechać.

- Moja matka była nadzwyczajną kobietą - stwierdził.

Sprzątaczką kiwnęła głową potakująco, po czym wstała, aby wrócić do pracy.

- Będzie dobrze - powiedziała stanowczo, zbierając swoje przybory i opuściła pokój.

Ledwie wyszła, pojawiła się pielęgniarka z nocnego dyżuru, aby sprawdzić, jak Iris się czuje. Obserwowała ją i patrzyła na zegarek, licząc oddechy. Zadowolona, że chora oddycha swobodnie, zapytała George'a, czy czegoś potrzebuje. Odpowiedział, że nie, ale ona wyszła z pokoju i po chwili wróciła, niosąc kanapkę. Na widok jedzenia George uświadomił sobie, że od obiadu nie miał niczego w ustach.

Ochoczo zabrał się do jedzenia.

Gryząc kanapkę, usłyszał szybki tupot miękkich łapek na posadzce. Spojrzął w dół i ujrzał czarnobiałego kota siedzącego na podłodze naprzeciw niego. Nie był zaskoczony.

- Cześć - rzucił. - Jesteś głodny?

Ale Oskar po prostu siedział i obydwaj zamarli w dziwnej ciszy, patrząc sobie w oczy. George zaproponował Oskarowi trochę wędliny ze swojej kanapki. Kot obwąchał ją pogardliwie. Nie przybył tu po jałmużnę. Podeszedł do okna i wskoczył na parapet. Tam przycupnął i zapatrzył w ciemną noc.

Przelykając ostatnie kęsy, George wstał i włączył odtwarzacz CD. Włożył jedną z płyt matki i wybrał jej ulubioną piosenkę. Gdy rozległy się dźwięki, Iris drgnęła. George przeszedł

przez pokój i uklęknął obok niej. Jego matka podniosła powieki i spojrzała mu w oczy.

- Kocham cię - powiedziała.

Na ten jeden moment wróciła jej jasność myślenia. Po wypowiedzeniu owych ostatnich w życiu słów, znów pogrążyła się w spokojnym śnie.

George klęczał jeszcze przez chwilę przy łóżku. Gdy upewnił się, że zasnęła, przyniósł sobie koc z szafy i ulokował się w fotelu. Zasluchany w dźwięki muzyki oderwany od rzeczywistości, odpłynął, śniąc o miejscu, gdzie był razem z matką - zdrową i roześmianą jak w dawnych czasach.

Coś go nagle wyrwało ze snu. Rozglądał się przez chwilę, zdezorientowany. Na zewnątrz wciąż panowała ciemność. Zerknął na zegarek, była czwarta nad ranem. Spał tylko dwie godziny, mimo to czuł się nadzwyczaj rześko.

Spojrzał na matkę. Jej oddech stał się gwałtowny, cięższy.

Gdy wstał, aby podejść do jej łóżka, Oskar poderwał się z parapetu. Patrzył, jak George chwyta rękę Iris i bada puls.

Tętno było zastraszająco szybkie, uderzenia przebiegały jak prąd elektryczny.

George zadzwonił i niemal natychmiast przybiegła pielęgniarka. Wyszła na moment, by zaraz powrócić z dawką morfiny w płynie. Podała Iris lekarstwo, a potem położyła dłoń na ramieniu George' a w geście otuchy. W miarę jak lek zaczynał działać, oddech Iris stawał się spokojniejszy, a tętno zwalniało. George wpatrywał się w twarz matki, jakby chciał sobie wyryć w pamięci jej rysy. Wiedział, że ona go opuszcza. Zaczął płakać..

Chwilę później Iris Duncan wydała ostatnie tchnienie.

- Około godziny po śmierci mamy, asystentka pielęgniarki weszła do pokoju - powiedział George.

Rozmawialiśmy przez telefon pewnego późnego wieczora. Od śmierci Iris upłynęło kilka miesięcy. Mieliśmy się spotkać osobiście, ale George został wezwany na Florydę w interesach.

- Powiedziała mi, że zamierza wykopać moją matkę.

Spytałem ją, dlaczego. "Mama przecież nie żyje", dodałem.

Asystentka spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Pańska matka umarła, ale powinna być czysta", odrzekła.

Usłyszałem, gdzieś tam, tysiąc mil stąd, jak emocje odbierają George' owi głos.

- Zaskoczyła mnie jej odpowiedź i zapytałem, czy to normalne, że myje się ciało zmarłej. Odparła, że kochała moją matkę i pomyślała, że ona powinna być czysta - dokończył po chwili.

- Przypuszczam, że w Steere House istnieje wiele rytuałów związanych z końcem życia - stwierdziłem. - Na przykład dom opieki zawsze zleca wyprowadzenie pacjentów, którzy zmarli, tą samą drogą, jaką tu przybyli - przez drzwi frontowe. Nigdy nie opuszczają domu windami technicznymi na tyłach.

- Tak - powiedział George. - Jednak ze wszystkich rzeczy, jakie Steere House zrobił dla mojej matki, ta... inicjatywa pielęgniarki była najbardziej zdumiewająca, właściwie zaparła mi dech w piersiach. Parę godzin później przyszedł do pokoju mamy kierownik zakładu pogrzebowego. Oskar był tam przez cały czas, pilnując jej. Ludzie z domu pogrzebowego umieścili mamę na noszach na kółkach i przykryli białym prześcieradłem. Wywieźli ją z pokoju korytarzem do windy. Gdy skręciliśmy za rogiem i szliśmy w stronę głównych wind, zdałem sobie sprawę, że prawie wszystkie pielęgniarki, pomocnicy medyczni i inni pracownicy w budynku uformowali szereg wzdłuż korytarza, jakby byli częścią procesji na cześć dostojnika. Gdy ich mijaliśmy, widziałem łzy w oczach niektórych osób.

George zaczął płakać.

- To także zaparło mi dech w piersiach. - Głos mu się załamał. - Uświadomiłem sobie wtedy, że oni byli jakby moją rodziną.

Rozdział dwudziesty drugi

Nie możesz mieć kota na własność.

Ciesz się, jeśli zechce być twoim partnerem.

sir Harry Swanson

Na drugim piętrze było zupełnie cicho. Rezydenci spali bezpiecznie w zaciszu swoich pokoi, odwiedzający wyszli.

Ciszę zakłócało jedynie delikatne brzęczenie przygaszonych świetlówek. Oskar drzemał spokojnie, wyciągnięty na całą długość na biurku pielęgniarek jak wielka futrzana przytulanka.

Z oddali dobiegł sygnał karetki, która wiozła chorego do szpitala w sąsiedztwie. Jakiś nagły przypadek... Gdy dźwięk syreny przybrał na sile, kot podniósł głowę, by rozeznąć się w sytuacji. Syrena ucichła, karetka dotarła do celu. Oskar przeciągnął się i ziewnął. Znowu słyszeć było brzęk świetlówek.

Mary pracowała na nocnej zmianie. Uzupełniała notatki na kartach pacjenta, zadowolona, że panuje taki spokój.

Oskar przyglądał się jej pracy przez kilka minut, po czym ogłosił swoim "miau", że się obudził i jest gotów do nawiązania kontaktów towarzyskich. Mary uśmiechnęła się i podrapała go pod brodą. Kot, usatysfakcjonowany, że go nie zlekceważono, skierował uwagę na swoje tylne łapy i zaczął je starannie myć, zataczając głową powolne, nieśpieszne koła.

- I jak, idziesz? - zapytała Mary, wstając. - Jest dziesiąta, czas rozdać lekarstwa na dobranoc.

Oskar zmrużył oczy, ale się nie poruszył. Czyżby rozważał tę propozycję? W końcu był kotem, więc pewna nieprzystępność stanowiła jego drugą naturę. Po chwili namysłu przyjął jednak zaproszenie, wskoczył na wózek do lekarstw, usiadł i zerknął do tyłu, w stronę Mary, jakby mówiąc: "Czemu się ociągasz?".

- Okay, Oskar, zaczniemy od strony zachodniej.

Piszczące tylne koło wózka zakłócało ciszę, ale wszyscy spali tak głęboko, że nikt tego nie zauważył. Tylko Mary i Oskar trwali na posterunku, obserwując zza wózka korytarz. Wyglądali jak kapitan statku i pierwszy oficer wpatrujący się w ciemne morze.

Drzwi do pokoju trzysta szesnaście były otwarte i Mary weszła, popychając wózek. Louise Chambers pochrapywała spokojnie w swoim łóżku. Oskar nie wykazywał zainteresowania pacjentką. Mary zatrzymała się, aby spojrzeć na swoją listę leków, a potem

otworzyła szufladę. Wyciągnęła środek antypadaczkowy, wyjęła tabletkę z opakowania i napełniła szklanke wodą. Potem nachyliła się i delikatnie pogłaskała rękę Louise, aby ją obudzić. Gdy pacjentka otworzyła oczy, Mary odczekała chwilę, by dać jej czas na zorientowanie się w sytuacji, po czym pomogła usiąść. Louise połknęła tabletkę i prawie natychmiast zasnęła ponownie.

Mary zatrzymała się na moment i podniosła srebrną ramkę Tiffany' ego stojącą na stoliku nocnym. Zdjęcie przedstawiało mężczyznę w mundurze - stał obok myśliwca z czasów drugiej wojny światowej. Ręką przytrzymał hełm przy swoim udzie i uśmiechał się dumnie do aparatu.

Był wysoki. Przyglądając się rysom jego twarzy, Mary od razu zauważyła, że ta postawna sylwetka, falujące brązowe włosy, brązowe oczy oraz gładko ogolona twarz o owalnym kształcie, wyglądają znajomo.

Mary zachichotała i ostrożnie odłożyła ramkę.

- Teraz przynajmniej wiem, dlaczego pani lubi doktora Dosę... - powiedziała szeptem.

Mary skierowała się do następnych drzwi w milczącym porozumieniu ze swoim oficerem, potem poszła do kolejnych rezydentów, sprawdzając, co się dzieje u każdego z nich i rozdała lekarstwa. Kot pozostawał na wózku, nie interesując się tym, co się wokół niego dzieje. W końcu dotarli do pokoju Ruth Rubenstein, która wyglądała na pogrążoną w głębokim śnie. Tutaj Oskar usiadł i podniósł wysoko głowę na dziobie swojego statku. Rozejrzał się i wciągnął powietrze.

Coś było nie tak w pokoju trzysta piętnaście.

Jednym szybkim susem przemieścił się z wózka na łóżko, ostrożnie omijając śpiącą Ruth. Spojrzał na pacjentkę i ocenił sytuację. Okręcił się wokół własnej osi, raz, drugi, moszcząc sobie miejsce. Wreszcie zwinął się w kłębek przy chorej. Spojrzał na Mary, mrugnawszy raz, tak jakby chciał ją odprawić.

- Zostajesz tutaj?

Oskar oparł głowę na przednich łapach i wygodnie rozciągnął się obok pani Rubenstein. Delikatnie musnął nosem jej ramię.

Mary zbliżyła się do łóżka. Oceniała stan pacjentki. Medycznie nie było tu nic do zrobienia, usiadła zatem na łóżku obok Oskara, zastanawiając się nad jej sytuacją rodzinną. Nikt nie odwiedzał Ruth, odkąd Frank zmarł na zawał serca kilka miesięcy temu. Przeżyła swoich najbliższych krewnych, nie miała dzieci, najbliższą osobą był teraz jej prawnik. Nie został nikt, do kogo można by zadzwonić.

Mary wyciągnęła rękę i z czułością pogłaskała Ruth po włosach. Spojrzała na pusty

fotel po drugiej stronie pokoju. Robiony na drutach koc był przerzucony przez oparcie; leżał tam nieużywany od miesięcy. Mary posmutniała, myśląc o tym, jak często znajdowała kiedyś tutaj drzemiącego Franka, nawet wtedy, gdy wszyscy pozostali odwiedzający już wyszli. Czasem musiała go budzić i odsyłać do domu. Urażony zbierał wtedy swoje rzeczy, całował żonę na dobranoc i niechętnie udawał się do swojego samochodu, tylko po to, by wrócić następnego dnia wczesnym rankiem.

Ale Frank nigdy już nie wrócił do pokoju 315 od dnia ich ostatniej rocznicy. Codziennie dzwonił, jednak nie przychodził w odwiedziny. Pewnego dnia nie zatelefonował. Przyjaciel znalazł go w domu. Pan Rubenstein zmarł spokojnie we śnie.

Mary popatrzyła na pacjentkę, dostrzegła nikły ślad uśmiechu na jej twarzy. Może śniła o swoim mężu. Może wiedziała, że wkrótce będą razem. Pomyślała o długim, trwającym pół wieku związku Rubensreйнów i o niezłomnym poświęceniu Franka dla swojej żony, jego cierpliwości i nieustającej miłości.

- Boże, Oskar - powiedziała Mary - on naprawdę ją kochał. Ilu z nas ma takie szczęście? Taką miłość? Pochyliła się i pocałowała Ruth w policzek. Pani Rubenstein uchyliła powieki, a Oskar cicho zamruczał. Przez kilka minut siedzieli obydwójce w milczeniu. Potem z pokoju obok dobiegło słabe kasłanie. Mary wstała i pożegnała się po raz ostatni.

- Powodzenia, Ruth. Mam nadzieję, że on tam gdzieś na ciebie czeka.

Odwróciła się w kierunku czarnobiałego dachowca.

- Pewnie ze mną nie pójdziesz?

Jego jedyną odpowiedzią było mruknięcie.

- Nie, chyba rzeczywiście nie. No cóż, muszę sprawdzić, co u pozostałych członków naszej rodziny.

Mary zanotowała w pamięci, by zajrzeć do Ruth, gdy skończy obchód. Wychodząc z pokoju, spojrzała na Oskara.

Ruth i kot zamknęli oczy w tym samym momencie.

- Dziękuję ci, Oskar - wyszeptła, po czym przygasła światło.

Rozdział dwudziesty trzeci

Kot zmienia cztery ściany w dom.

Anonim

Pewnego popołudnia, kilka dni po śmierci Ruth, siedziałem w dyżurce pielęgniarek na oddziale chorób demencyjnych, gryzmołąc uwagi dotyczące jednego z nowych pacjentów, gdy moją uwagę zwrócił jakiś ruch na korytarzu.

Spojrzałem w tamtą stronę i zauważyłem Maję goniącą za Oskarem, w wariackim pędzie charakterystycznym dla znudzonych kotów. Z zainteresowaniem obserwowałem, jak mijają Louise Chambers śpiącą na krześle. Potem zniknęły.

Ta zabawa rozśmieszyła mnie. Jak kiedyś powiedziała

Mary, drugie piętro naprawdę było kocim domem. Mój wzrok musnął Louise i skierował się w głąb korytarza. Popołudniowe słońce rozświetliło go, kładąc na ścianach tajemnicze cienie. Niebawem zajdzie i cienie znikną... Przyłapałem się na tym, że myślę o Ruth Rubenstein; jakoś nie mogłem zapomnieć o jej śmierci. Godzinę wcześniej zaszedłem do pokoju trzysta piętnaście. Pobyłem tam sam dłuższą chwilę. Wpatrywałem się w puste, starannie pościelone łóżko i zarejestrowałem w głowie ogołocone ściany, Zniknęły zdjęcia przedstawiające ją i Franka, jej męża, jej przeszłość.

Pozostała po niej jedynie słaba woń perfum. Ona również z czasem zniknie.

Główne drzwi prowadzące na oddział szczęknięły, przerywając moją zadumę. Odwróciłem się i zobaczyłem Mimi, koordynatorkę do spraw przyjęć pacjentów, towarzyszącą starszemu panu i dwóm młodszym kobietom w drodze na oddział. Panie były chyba siostrami. Zwiedzali budynek pod przewodnictwem Mimi.

- To nasz oddział dla pacjentów z zaawansowaną demencją, czterdzieści jeden łóżek i opieka pielęgniarska przez dwadzieścia cztery godziny na dobę - mówiła właśnie.

Drzwi zatrzasnęły się z głuchym odgłosem, zamykając gości na oddziale razem z rezydentami. Nawet z daleka wyczuwałem niepokój tych ludzi. Grzecznie słuchali Mimi, kontynuującej objaśnienia, ale mogłem sobie wyobrazić, co naprawdę myśleli: Jak, do diabła, mamy umieścić naszą matkę w tym miejscu? Drzwi same zamykają się na zatrask! Co takiego ona zrobiła, żeby sobie na to zasłużyć?

Widziałem to już przedtem: krewni rozważający ulokowanie tutaj swoich bliskich często miewali w takim momencie spojrzenie sarny złapanej nocą w światło reflektorów.

Mimi poprowadziła wycieczkę korytarzem w stronę pokoju Ruth. Po drodze

wskazywała ważne miejsca na oddziale: część kuchenną, jadalnię i pokoje pielęgniarek. Gdy przechodzili obok śpiącej na krześle Louise, jedna z pań stanęła, aby się jej przyjrzeć.

Niemal słyszałem pytania, jakie pojawiły się w jej głowie, gdy przyglądała się staruszce: Czy jest czysta? Czy jest szczęśliwa? Czy oni się nią opiekują?

Szukała potwierdzenia, że podejmują właściwą decyzję, że są we właściwym miejscu.

Nie zazdrościłem im.

Kobieta ruszyła dalej i spojrzała na obrazki na tablicy korkowej obok drzwi pokoju Louise. Po raz pierwszy, odkąd przybyła na oddział, uśmiechnęła się. Potem zniknęła w głębi korytarza, goniąc resztę rodziny.

Powróciłem do notatek, którymi się zajmowałem. Coś musnęło mnie po stopach. Spojrzałem w dół.

- Cześć, Oskarze. Słyszałem, że byłeś z Ruth, gdy umierała - powiedziałem.

Ku mojemu zdziwieniu wskoczył na biurko i usiadł, wpatrując się we mnie, jakby mówił: "witaj".

Nasze oczy spotkały się i kot zaczął mruzczyć.

- Co tam słyshać, Oskar? - zapytałem, nerwowo wyciągając dłoń.

Co się dzieje? Czy on próbuje mi coś przekazać? Chce coś powiedzieć? Co?

Przyjrzał się mojej dłoni, a potem poruszył głową w jej stronę, jakby mówił: "Podrap, głupku!".

Odprężyłem się i zacząłem drapać go pod brodą. Przyciągnąłem kota bliżej, a on coraz głośniej mruzczał. Siedzieliśmy razem, dzieląc tę przyjemną dla nas obu chwilę. Świat zniknął.,

- Witam, doktorze. Chcę panu przedstawić rodzinę Carey.

Podniosłem oczy i ujrzałem Mimi wracającą w towarzystwie gości. Oskar postanowił się ewakuować. Wysunął się z moich rąk, zeskoczył na podłogę, po czym pobiegł wzdłuż korytarza.

- Witam. - Wyciągnąłem dłoń w kierunku jednej z kobiet i przedstawiłem się. - Czy mają państwo jakieś pytania dotyczące oddziału? - Z uśmiechem wszedłem w rolę gospodarza. - Chętnie pomogę.

- Macie tutaj koty? - zapytała jedna z córek, jakby nie dowierzając temu, co widziała przed chwilą.

- Oczywiście. Mamy dwa koty na tym piętrze i jeszcze cztery na dole, a do tego królika i kilka ptaków - odpowiedziała za mnie Mimi.

- To takie miłe. - Druga z siostrzycy się ucieszyła. To ona przyglądała się wcześniej

Louise.

Odwróciła się do ojca.

- Tato, mama naprawdę kochała koty.

Czas przeszły.

- Chyba ma pani na myśli, że pani matka kocha kot ypoprawilem.

Spojrzała na mnie z zakłopotaniem. Uświadomiłem sobie, że wiele rodzin, z którymi pracowałem, mówiło o swoich bliskich z demencją, jakby już odeszli.

- Zauważyliśmy - powiedziałem, wybawiając biedną kobietę z opresji - że obecność zwierząt naprawdę pomaga rezydentom w końcowych stadiach demencji. Pani matka będzie wiedziała, że one tutaj są.

- Jest pan pewien? - zapytała kobieta.

- Tak. Na początku tego nie dostrzegałem, ale spędziłem tutaj wystarczająco dużo czasu, żeby uświadomić sobie, jak wielkie znaczenie mają zwierzęta dla rezydentów i ich rodzin.

Kobieta rzuciła mi niedowierzające spojrzenie. Podobne zapewne do tego, jakim obdarzyłem Mary, gdy po raz pierwszy podzieliła się ze mną swoimi przemyśleniami na temat Oskara.

- Przypuszczam, że po prostu w zwierzętach jest coś, co wciąż dociera do duszy i pamięci pacjentów. - Przerwałem na moment. - Ponadto mam wrażenie, że one także nas czegoś uczą.

Kobieta kiwnęła głową i spojrzała na ojca:

- No więc, tato, co myślisz?

- Myślę, że znaleźliśmy odpowiednie miejsce. - Spróbował się uśmiechnąć, co stanowiło spory wysiłek, zważywszy na okoliczności, i zwrócił się do Mimi. - Jeśli państwo są gotowi zaopiekować się moją Lucy, to jesteśmy zdecydowani.

Mimi skinęła głową i odprowadziła rodzinę, tłumacząc, jakie formalności należy dopełnić.

Gdy zniknęli w głębi korytarza, pojawiła się Mary, wioząc jedną z pacjentek na wózku. Zatrzymały się przy dyżurce, a Mary wyciągnęła rękę, aby przytulić podopieczną.

Kobieta uśmiechnęła się i odwzajemniła uścisk.

- O co chodziło? - zapytała Mary, siadając obok mnie.

- Mimi oprowadza jakąś rodzinę. Wygląda na to, że będziemy mieć nowego rezydenta na miejsce Ruth.

- Zawsze tak jest, David. Łóżka nigdy nie stoją długo puste.

Popołudniowe słońce teraz bladło, cienie na ścianach się pogłębiły. Ujrzałem, jak z jednego z pokoi wylania się Oskar. Widocznie schował się tam przed odwiedzającymi.

Spojrzał na nas i zatrzymał się na moment. Potem pobiegł w głąb korytarza.

Gdy dotarł do ostatnich drzwi po prawej stronie, zatrzymał się i wydawało się, że wacha powietrze. Potem zniknął w pokoju, machając ogonem. Spojrzałem na Mary z cieniem uśmiechu. Czyżby kot znowu próbował nam coś powiedzieć?

Nasłuchiwałem.

Posłowie

Podobnie jak wielu członków rodzin, których odwiedzałem w trakcie mojej odysei szlakiem Oskara, nauczyłem się być wdzięczny za to, co Oskar robi i czego nas uczy o zmierzchu życia. Jednak ludzie wciąż zadają mi pytania:

„Jak on to robi?” „Skąd wie?”/

Cofam się myślami do rozmowy telefonicznej, którą odbyłem krótko po tym, jak mój esej pojawił się w „New England Journal of Medicine”. Rozmówca przedstawił się jako weteran drugiej wojny światowej z Florydy. Powiedział, że był lekarzem w Europie podczas wojny i że brał udział w ewakuacji rannych żołnierzy.

- Doktorze, po kilku miesiącach zabierania ludzi z pola bitwy potrafiłem przewidzieć, czy dana osoba przeżyje, czy umrze - stwierdził. - Ciała tych, którzy mieli odejść, wydzielały słodki zapach. Nie wyczuwałem go, jeśli komuś nie groziła śmierć.

Istnieje wiarygodne biologiczne wytłumaczenie owego zjawiska - „słodkiego zapachu śmierci”. W miarę obumierania komórek węglowodany rozpadają się na wiele różnych utlenionych związków, w tym rozmaite rodzaje ketonów - chemicznych związków o charakterystycznej woni. Ketony występują także w dużych ilościach w epizodach nieleczzonej cukrzycy młodzieńczej, a lekarzy uczy się już na początku studiów medycznych, aby włączyć oddech diabetyka w celu określenia, wysokości poziomu cukru. Zatem Oskar mógł po prostu wyczuwać podwyższony poziom związku chemicznego uwalnianego przed śmiercią. Zwierzęta mają przecież znacznie bardziej rozwinięty zmysł węchu niż ludzie.

W artykule opublikowanym w jednym z najlepszych czasopism poświęconych chorobom nowotworowym, proponuje się, aby szkolić psy w celu identyfikowania przez nie mikroskopijnych ilości określonych związków biochemicznych, wydzielanych przez komórki nowotworowe, w oddechu pacjentów z nowotworem płuc i piersi. Podobne badania potwierdziły również umiejętność wyczuwania przez psy czerniaka, a przez ryby - nadchodzącego trzęsienia ziemi. Zatem chyba nie jest niczym dziwnym sugestia, że Oskar, kot mieszkający na piętrze, na którym systematycznie umierają pacjenci w końcowym stadium demencji, po prostu odbiera charakterystyczny zapach wydzielany w ostatnich godzinach życia.

Jednakże ja lubię myśleć o Oskarze jako o czymś więcej niż o systemie wczesnego ostrzegania przed ketonami. Od czasów dzieciństwa, kiedy to słuchałem opowiadań z książki Takie sobie bajeczki Rudyarda Kiplinga, które dziadek czytał mi na dobranoc, przypisywałem zwierzętom ludzkie cechy i słabości. Może po prostu my sami siebie dostrzegamy w

zwierzętach - są dla wielu z nas odbiciem tej lepszej strony naszej natury...

Chcę wierzyć, że tam, na drugim piętrze, gdzie personel robi wszystko, co w jego mocy, aby uczynić proces umierania możliwie znośnym dla rezydentów i ich rodzin, Oskar uosabia empatię i bliskość. Jest kluczowym ogniwem w dobrze naoliwionym i pełnym poświęceń zespole opieki zdrowotnej. Moja praca jako lekarza polega na przepisywaniu właściwych leków chorym i dostarczaniu informacji ich rodzinom; zajęciem pielęgniarki jest zapewnienie odpowiedniej opieki; pastora - niezbędnej porady duchowej; zaś zadanie Oskara to towarzyszenie chorym i ich bliskim w ostatnich godzinach, czasem najtrudniej szych. Jest on bezspornie częścią zespołu oraz źródłem otuchy zarówno dla rodzin, jak i pacjentów, a w niektórych przypadkach jedyną rodziną, jaka pacjentowi została.

Naprawdę nie próbuję zgłębić natury szczególnego daru Oskara - nie jestem behawiorystą. Nie badam też już przyczyn i sposobu jego zachowania. Czy prowadzi go zmysł węchu, szczególna empatia, czy też coś zupełnie innego - wasze domysły są równie dobre jak moje. Ale wierzę, że wszyscy możemy uczyć się na jego przykładzie.

Chociaż wywiady z rodzinami zmarłych miały na celu rzucić trochę światła na to, co robi Oskar, dużo więcej dowiedziałem się z nich o chorobie, która zniszczyła życie moich pacjentów, niż o samym kocie.

Obecnie w Stanach Zjednoczonych żyje ponad pięć milionów ludzi z chorobą Alzheimera i kolejne setki tysięcy z innymi, 'mniej powszechnymi formami demencji. Prowadzone badania sugerują, że bez nowych form terapii liczba ta prawdopodobnie wzrośnie lawinowo, jako że nasze społeczeństwo się starzeje. Ale tragedia demencji nie jest mierzona jedynie liczbą pacjentów, których bezpośrednio dotyka. Na każdego pacjenta z demencją przypada znacznie więcej związanych z nim osób - życie w chwili wykrycia choroby zmienia się diametralnie, już nigdy nie będzie takie jak kiedyś.

Niedawno wraz z żoną zasililiśmy szeregi takich opiekunów - u jej matki zdiagnozowano demencję. Jak mnóstwo innych osób w tym kraju i na całym świecie, wkraczamy w nowy etap naszego życia, czas zmagania się z problemami, jakich rodzinie pacjenta przysparza ta straszna choroba.

Dodajemy nowe obowiązki do niezliczonej liczby innych rodzicielskich, zawodowych i małżeńskich. Skąd weźmiemy dodatkową energię? Zastanawiamy się. Czy uda nam się odnaleźć w sobie zdolność do opiekowania się jeszcze jedną osobą całkowicie od nas zależną - w pełni dorosłą, a jednak wymagającą więcej uwagi niż małe dziecko? I chociaż w mojej pracy stale obcuję z ludźmi zmagającymi się z tymi samymi problemami i zawsze szanowałem ich hart ducha i optymizm, inaczej wszystko odczułem, gdy choroba przydarzyła

się mnie i mojej własnej rodzinie. Nagle stało się to osobiste.

Przeprowadziwszy kolejną irytującą rozmowę telefoniczną z lekarzami matki, którzy nie mieli nic nowego do zaproponowania pacjentce w kwestii szwankującej pamięci, moja żona zwróciła się do mnie po wsparcie.

- Na pewno dzięki tym wszystkim wywiadam dowiedziałeś się czegoś, co pomoże mi uporać się z tym problemem i łatwiej przejść ten czas - powiedziała z nadzieją.

Każdy przypadek jest inny, a każdy opiekun znajduje własną drogę, metodą prób i błędów, stosując odmienne rozwiązania, bo przecież rodziny różnią się między sobą.

Jednakże mogę z pewnością dokonać pewnych uogólnień i udzielić kilku rad.

1. Dbaj o siebie

Jako geriatra widziałem wielu opiekunów, których zdrowie fizyczne i psychiczne podupadało wcześniej, niż u pacjenta z demencją. Wynika to z prostego powodu. Świadczenie opieki to odpowiedzialność trwająca 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu, przez 365 dni w roku. Nie ma przepustek za wzorowe zachowanie, a fizyczne wymagania w związku z opieką nad osobą starszą są przeogromne. Do tego dochodzi również ciężar psychiczny, wynikający z patrzenia na kogoś bliskiego, kto walczy z chorobą. Pamiętaj, że nikt, kto walczy samotnie, nie jest w stanie wciąż odnosić sukcesów - przychodzi chwila, gdy nie potrafisz udźwignąć ciężaru, z jakim się zmagasz. Musisz poszukać pomocy, nawet jeśli ostatecznie wiąże się to z umieszczeniem rodzica lub małżonka w domu częściowej opieki” lub w domu opieki. Powinieneś ponadto dbać o równowagę własnego ciała i umysłu, szukając medycznego i emocjonalnego wsparcia, niezbędnego, aby poradzić sobie z wyzwaniami stojącymi przed każdym opiekunem. Stowarzyszenie Alzheimerera ma odpowiednie środki i możliwości, by taką pomoc zapewnić - ich grupy wsparcia uważam za szczególnie pomocne.

2. Bądź obecny

Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Spróbuj odłożyć na bok codzienną pracę i zobowiązania i znajdź czas dla kogoś, komu zostały ostatnie chwile życia. W końcu tak wiele naszych codziennych obowiązków jest w ostatecznym rozrachunku mało istotnych... Ktoś zawsze może zastąpić cię w pracy, a twoje dzieci wybaczą ci, jeśli nie przyjdiesz na trening piłki nożnej. Tego właśnie warto się nauczyć od zwierząt takich jak Oskar - wytrwałości, cierpliwości i by-

*Assisted living home - dom dla pacjentów, którzy są jeszcze w stanie wykonywać samodzielnie większość czynności i wymagają jedynie stosunkowo niewielkiej pomocy.

cia obecnym tam, gdzie ta obecność ma największe znaczenie. Gdy Oskar odwiedza swoich pacjentów, nie dba o to, która jest godzina, ani nie zastanawia się, czy nie powinien być gdzie indziej. Jest obecny w danej chwili. To takie ważne, by znaleźć czas dla osoby z demencją - nawet jeśli myślisz, że ona już nie wie, kim jesteś.

3. Celebryj małe zwycięstwa, ale nie zapominaj o szerszej perspektywie

Życie z osobą z demencją można porównać do jazdy kolejką górską. Po każdym małym zwycięstwie przynoszącym wiele radości - na przykład poprawie apetytu u chorego czy odzyskaniu przez niego na chwilę jakiegoś wspomnienia, nadchodzi pogorszenie stanu zdrowia. Najlepiej zatem z chorobami demencyjnymi bliskich radzą sobie ludzie, którzy czerpią satysfakcję z małych zwycięstw, nie tracąc przy tym szerszej perspektywy, mający świadomość, że to poprawa chwilowa.

4. Bądź orędownikiem opieki wysokiej jakości

Nasz system opieki zdrowotnej nie zapewnia skutecznej pomocy pacjentom z demencją. Z pewnością niektóre instytucje radzą sobie lepiej niż inne, ale tak naprawdę funkcjonowanie każdej placówki świadczącej opiekę krótkoterminową, domu opieki czy przychodni, mogłoby zostać usprawnione. Bycie orędownikiem opieki wysokiej jakości polega na zaangażowaniu i zadawaniu pytań. To również dokonywanie wyborów i rozumienie ograniczeń, nieodłącznie związanych z opieką nad pacjentem z demencją, zwłaszcza w domu opieki. W każdym z nich można uzyskać więcej lub mniej. Często zależy to od zaangażowania rodziny.

5. Kochaj i pozwól odejść

Mam gorącą nadzieję, że pewnego dnia demencja stanie się jedynie wzmianką w historii medycyny, podobnie jak dzisiaj ospa czy dżuma. Z pewnością w przyszłości lepiej będziemy sobie z nią radzili. Jednak istniejące obecnie możliwości leczenia są niewielkie, a te, którymi dysponujemy, rzadko pomagają na dłużej. Ostatecznie każdy opiekun musi pozwolić odejść choremu - zarówno jeśli oznacza to wysłanie kochanej osoby do domu opieki, jak i zgodę na śmierć, gdy ta jest blisko. Gdy ów czas nadejdzie, proszę, pamiętajcie, że zgoda na odejście osoby w końcowym stadium demencji nie jest oznaką porażki, poddania się: to akt miłości.

Podziękowania

Mam naprawdę szczęście w życiu, gdyż jestem otoczony pacjentami, kolegami, przyjaciółmi i rodziną - każdego dnia uczę się od nich czegoś nowego i ważnego. Pełna lista osób, którym chcę podziękować, byłaby dłuższa niż ta książka, ale szczególne wyrazy wdzięczności chciałbym skierować do następujących osób za ich pomoc w realizacji tego projektu:

Po pierwsze, składam gorące podziękowania Tobie, Seanie Elderze, za wiarę w to przedsięwzięcie oraz za pomoc w jego ulepszeniu i wydobywaniu najistotniejszych punktów. Nie osiągnąłbym tego bez Ciebie.

Chciałbym również wyrazić moją głęboką wdzięczność członkom rodzin pacjentów Oskara z drugiego piętra - byłem i obecnym - którzy spędzili ze mną sporo czasu w trakcie pisania tej książki. Niektórzy z Was pozwolili mi posłużyć się swoimi imionami i opisać swoje historie, inni zaś dostarczyli tła zdarzeń, prosząc o nienaruszanie prywatności. Nie jestem w stanie powiedzieć Wam, jak wiele zawdzięczam zaufaniu, którym mnie obdarzyliście. Powierzyliście mi swoje najbardziej skryte przemyślenia i obudziliście demony. Przepraszam Was wszystkich za niezamierzone błędy, jakie popełniłem, przedstawiając fakty, za wszelką dowolność, z jaką opisywałem Wasze historie, oraz za ból, jaki mogłem spowodować, gdy odtwarzaliśmy wspomnienia.

Dziękuję również Mary Mirandzie, która pomogła mi zebrać wiele historii opisywanych w książce. Mary, to Twoimi oczami po raz pierwszy ujrzałem, jak wiele dobrego jest w Oskarze, a zachwyt pojawiający się w Twoim spojrzeniu, gdy omawiałaś ze mną każde zdarzenie, był naprawdę zaraźliwy. Specjalne podziękowania składam pozostałym pracownikom Steere House oraz Domu i Hospicjum Rhode Island. Choć Wasza praca jest często niedoceniana, mam nadzieję, że ta książka przyczyni się do zmiany błędnego myślenia. Wy wszyscy jesteście prawdziwymi bohaterami opieki długoterminowej i wykonujecie swoje obowiązki z większą pasją, miłością i wrażliwością na szczegóły niż niezliczona liczba innych pracowników służby zdrowia - wliczając w to nas, lekarzy, lepiej opłacanych i otrzymujących przecież więcej wyrazów uznania.

Dziękuję także doktor Joan Teno za czas spędzony na licznych dyskusjach na temat opieki paliatywnej, na rozmowach o kocie Oskarze oraz za dzielenie się przemyśleniami na każdym etapie procesu pisania. Proszę, wiedz, że Twoja pomoc, pasja i wiara w wagę opieki paliatywnej stanowiły dla mnie głęboką inspirację. Dziękuję, że przez lata reagowałaś z entuzjazmem na moje pomysły i co najważniejsze - że zawsze jesteś moim drogim, bliskim

przyjacielem.

Dziękuję także pozostałym kolegom po fachu ze Steere House, Centrum ds. Gerontologii Uniwersytetu Browna (Brown University's Center for Gerontology), Centrum Medycznego ds. Weteranów w Providence (Providence Veterans Affairs Medical Center) oraz z oddziału geriatrycznego. Miałem naprawdę szczęście, że przez lata pracowałem z tak wieloma utalentowanymi ludźmi.

Jak powie wam każdy pisarz, żadna książka nie powstanie bez pomocy wielu utalentowanych osób.

Dziękuję Brendzie Copeland za to, że była moim "kocim guru", nie wspominając o tym, że jest wspaniałym wydawcą. Jestem wdzięczny za zaufanie i wiarę w początkującego autora, że uda mu się opowiedzieć pewną historię, że podoła temu wyzwaniu. Zawsze nastawiona byłaś tak pozytywnie i tak dobrze wiedziałaś, jak się zająć debiutantem.

A ja nieustannie będę pamiętał, aby "przechodzić do sedna". Dziękuję również Ellen Archer, Willowi Balliettowi i pozostałym pracownikom Hyperionu za wasze cenne komentarze i za prowadzenie mnie przez proces pisania na każdym jego etapie.

Jestem też wdzięczny mojej agentce Emmie Sweeney i jej koleżankom Evie Talmadge i Justine Wegner. Dziękuję za utrzymywanie mnie w ryzach, gdy uczyłem się nawigować na tych nieznanach wodach. Zawsze wskazywałyście mi właściwy kierunek. Jak to mówią w filmach: "Mam nadzieję, że to początek pięknej przyjaźni".

Podsumowując, chciałbym przekazać płynące z głębi serca wyrazy wdzięczności mojej rodzinie. Moim dziadkom Evie i Janowi Rocek - dziękuję za waszą miłość, mądrość i za wszystkie wasze opowieści o życiu. Na zawsze zachowam w pamięci te letnie miesiące wspólnie spędzone w domku nad jeziorem - nawet jeśli musiałem trzymać się z dala od

Pumy. Mellissie: dziękuję za to, że jesteś tak ważną częścią naszej rodziny. Mojemu bratu Peterowi i rodzicom Noemi i Stefanowi: dziękuję za waszą miłość i bezwarunkowe wsparcie w dobrych i złych chwilach. Jesteście dla mnie wzorem i nie mógłbym życzyć sobie większego szczęścia niż Wasza obecność w moim życiu. Wreszcie - moim dzieciom

Ethanowi i Emmie oraz mojej kochającej i wspierającej żonie Dionne - dziękuję. Jesteście sensem mojego życia i stanowicie dla mnie codzienną inspirację. W chorobie i zdrowiu, na dobre i na złe, proszę, wiedzcie, że zawsze będę Was kochał. A tak przy okazji: na końcu moich dni wolę kota niż

OIOM.

